

Mimi
Alford

Skrywany
przez pół wieku
sekretny romans
KENNEDY'EGO

Stażystka



Mimi Alford

Stażystka

Mój romans z prezydentem
Kennedym i jego skutki

*tłumaczenie
Anna Gralak*

znak *litera
nova*

Rozdział pierwszy

Każdy ma jakiś sekret. Oto mój.

Latem 1962 roku miałam dziewiętnaście lat i pracowałam jako stażystka w biurze prasowym Białego Domu. Tamtego lata, a także przez następne półtora roku, łączył mnie intymny, nieprzerwany związek z prezydentem Johnem F. Kennedym, zakończony dopiero jego tragiczną śmiercią w listopadzie 1963 roku.

Skrywałam ten sekret z niemal zakonną dyscypliną przez ponad czterdzieści lat, zwierając się zaledwie garstce osób, między innymi mojemu pierwszemu mężowi. Nigdy nie powiedziałam o tym rodzicom ani dzieciom. I zakładałam, że zabiorę tę tajemnicę do grobu.

Myliłam się.

W maju 2003 roku Robert Dallek opublikował książkę zatytułowaną *An Unfinished Life. John F. Kennedy 1917–1963* (Niedokończone życie. John F. Kennedy 1917–1963). Na czterysta siedemdziesiątej szóstej stronie znalazł się fragment osiemnastostronicowej historii opowiedzianej w 1964 roku przez byłą zaufaną pracowniczkę Białego Domu Barbarę Gamarekian. Zapis tej historii został niedawno upubliczniony wraz z innymi dokumentami schowanymi dawno temu w Prezydenckiej Bibliotece imienia JFK w Bostonie, a Dallek skwapliwie wykorzystał pewien szczególnie łakomy kąsek. Wspomniany fragment brzmiał tak:

Rzecz jasna, uganianie się za spódniczkami zawsze było dla Kennedy'ego formą rozrywki, lecz teraz stało się również ucieczką od bezprecedensowych codziennych stresów. Kennedy miał romanse z kilkoma kobietami, między innymi z sekretarzą prasową Jackie Pamelą Turnure, ze szwagierką Bena Bradlee'ego Mary Pinchot Meyer, z dwiema sekretarkami w Białym Domu nazywanymi dowcipnie Fiddle i Faddle*, z Judith Campbell Exner, która z powodu swoich powiązań z takimi mafiosami jak Sam Giancana była obserwowana przez FBI, a także z „wysoką, smukłą i piękną” dziewiętnastoletnią studentką drugiego roku *college*'u i stażystką w Białym Domu, która przez dwa lata z rzędu pracowała w biurze prasowym podczas wakacji (pewien członek personelu biura wspominał, że „nie miała żadnych umiejętności, nie potrafiła pisać na maszynie”).

Nie wiedziałam, że książka Dalleka została wydana. Biografie JFK tworzą oczywiście potężną gałąź chałupnictwa wydawniczego: co roku ukazuje się parę takich książek, które na chwilę budzą sensację, a potem znikają. Bardzo się starałam nie zwracać na nie uwagi. Nie kupiłam żadnej z nich, co jednak nie oznacza, że od czasu do czasu nie zdarzało mi się zaglądać do księgarni na Manhattanie, gdzie mieszkałam, i czytać fragmentów dotyczących lat, które spędziłam w Białym Domu. Po części budziło to we mnie fascynację, bo przecież przebywałam tam w opisywanym okresie i zabawnie było przeżywać tę część życia jeszcze raz. Z drugiej strony czułam jednak pewien niepokój i chciałam się upewnić, że mój sekret nadal jest bezpieczny.

Przegapiłam chwilę, w której książka Dalleka trafiła na rynek, ale nie uszła ona uwagi mediów. Skandal z udziałem Moniki Lewinsky, który pięć lat wcześniej omal nie doprowadził do upadku administracji Clintona, podsycił zainteresowanie opinii publicznej nieobyčajnymi szczegółami życia erotycznego naszych przywódców, a wzmianka Dalleka o „stażystce w Białym Domu” wznieciła prawdziwy pożar w nowojorskich „Daily News”. Wszystko wskazywało na to, że odkryto „sensacyjną historię”. Szybko zorganizowano specjalny zespół dziennikarzy mających za zadanie zidentyfikować i namierzyć tajemniczą kobietę.

Wieczorem 12 maja, przechodząc obok kiosku na Manhattanie, zauważyłam na pierwszej stronie „Daily News” wielkie zdjęcie prezydenta Kennedy’ego. Byłam już spóźniona na jogę, więc nie zwróciłam uwagi na nagłówek, częściowo przysłonięty stosem gazet. A może nie chciałam go zobaczyć. Doskonale wiedziałam, że takie brukowce jak „Daily News” skupiają się zazwyczaj na życiu osobistym i skandalach z udziałem JFK. Od tego typu historii zawsze robiło mi się niedobrze. Przypominały mi, że gdy chodziło o relacje prezydenta Kennedy’ego z kobietami, wcale nie byłam taka wyjątkowa – że zawsze spotykał się z innymi. Dlatego pośpiesznie minęłam kiosk, wypychając z głowy obraz JFK. Skrywanie sekretu przez czterdzieści jeden lat zmusza człowieka do zaprzeczania różnym aspektom własnego życia. Wymaga odgradzenia się od bolesnych, niewygodnych faktów – i poddania ich kwarantannie. Zdążyłam już doskonale opanować tę sztukę.

Pędząc na jogę, nie zauważyłam pod zdjęciem całego nagłówka: „JFK też miał swoją Monicę: historyk twierdzi, że Kennedy romansował z dziewiętnastoletnią stażystką w Białym Domu”. Umieszczony w środku artykuł rozpoczynał się od słów zawartych w książce Dalleka i kończył się świeżym wywiadem z Barbarą Gamarekian, która powiedziała, że pamięta jedynie imię tajemniczej dziewiętnastoletniej stażystki, lecz odmawia jego ujawnienia. Rzecz jasna, jej odmowa tylko podsycała ciekawość dziennikarzy „Daily News” i zachęciła ich do tego, żeby drążyć głębiej.

Nazajutrz o dziewiątej jak zwykle przyjechałam do swojego biura w kościele prezbiteriańskim przy Piątej Alei. Jak zwykle powiesiłam płaszcz na wieszaku. Jak zwykle upiłam pierwszy łyk kawy z C’est Bon Café. A potem usiadłam i sprawdziłam skrzynkę mailową. Przyjaciel przysłał mi wiadomość zawierającą link do artykułu z „Daily News”. Kliknęłam, nie wiedząc, co to takiego. Na ekranie pojawiła się historia

zatytułowana: „Dobra zabawa z Mimi w Białym Domu”. Przyjaciel wyjaśnił, że przysłała mi to ze względu na „zabawną zbieżność” imion.

Po raz pierwszy w życiu poczułam, co mają na myśli ludzie, kiedy mówią, że jakaś wiadomość ich „poraziła”. Zrobiło mi się zimno. Szybko zamknęłam drzwi i przejrzałam artykuł. Mimo że nie wymieniono tam mojego ówczesnego nazwiska – Fahnestock – ogarnął mnie szczególny rodzaj przerażenia: uświadomiłam sobie, że niedługo wszystko się zmieni. To była chwila, której bałam się przez całe dorosłe życie.

Starłam się nie wpaść w panikę. Wzięłam głęboki oddech i wymieniłam w myślach rzeczy, o których nie wspomniano w artykule. Dziennikarze z „Daily News” nie wiedzieli, gdzie mieszkam. Nie kontaktowali się z żadnym z moich przyjaciół. Nie dotarli do osób z czasów mojego stażu w Białym Domu. Nie mieli mojego zdjęcia. Gdyby wiedzieli na mój temat coś więcej, natychmiast by o tym napisali, prawda? I z pewnością by mnie odnaleźli, żeby poprosić o komentarz.

To wszystko wcale mi jednak nie pomogło.

Poza tym w przeszłości też bywało gorąco. Rok wcześniej zadzwoniła do mnie pisarka Sally Bedell Smith. Powiedziała, że pisze książkę o tym, jak traktowano kobiety w latach sześćdziesiątych w Waszyngtonie. Brzmiało to niewinnie, ale wystarczyło, by zapaliła mi się ostrzegawcza lampka. Podejrzewałam, że tak naprawdę temat książki będzie nieco inny. Nie byłam gotowa rzucić z siebie warstw tajemnicy i zaprzeczenia, a już z pewnością nie przed kobietą, której nigdy nie spotkałam. Odparłam, że nie potrafię odpowiedzieć na jej pytania, i grzecznie poprosiłam, żeby więcej do mnie nie dzwoniła, a ona uszanowała tę prośbę. Mój sekret był bezpieczny.

Czułam jednak, że z artykułem w „Daily News” stanie się inaczej.

Dzień po jego opublikowaniu przyjechałam do pracy i zastałam przed biurkiem jakąś kobietę. Przedstawiła się jako dziennikarka „Daily News” Celeste Katz i chciała uzyskać potwierdzenie, że to ja jestem Mimi, bohaterką artykułu z poprzedniego dnia.

Nie miałam się gdzie schować i nie było sensu zaprzeczać. „Tak, to ja” – powiedziałam.

„Mimi przerywa milczenie” – brzmiał nagłówek z następnego dnia.

W tamtej chwili miałam sześćdziesiąt lat i byłam rozwódką. Żyłam sobie spokojnie, sama, w mieszkaniu w Upper East Side, kilka przecznic od Central Parku. Na początku lat dziewięćdziesiątych, czterdzieści lat po rzuceniu *college*'u, wróciłam do nauki i w wieku pięćdziesięciu jeden lat zdobyłam licencjat. Przez całe życie uprawiałam sport i byłam wierną wielbicielek maratonów, która spędziła wiele godzin przed świtem, okrążając biegiem staw w Central Parku i delektując się samotnością. Mój były mąż, z którym rozwiodłam się w burzliwej atmosferze, zmarł w 1993 roku. Dwie córki były już dorosłe i zamężne, miały własne dzieci. Po raz pierwszy od wielu lat czułam odrobinę spokoju.

Przeszłam terapię, żeby dotrzeć do tego punktu w życiu i poznać siebie. Wcześniej byłam mamą, która przeważnie siedzi w domu, lecz nauczyłam się czerpać sporo dumy ze swojej pracy w kościele. Pracowałam tam od pięciu lat, najpierw jako koordynatorka do spraw nagrań duszpasterskich (rejestrowałam niezwykle kazania doktora Thomasa K. Tewella, naszego pastora, i zajmowałam się ich produkcją), a następnie jako menedżerka kościelnej strony internetowej. Kasety, które nagrałam, stały się ważnym źródłem dochodów kościoła – a sama praca dawała mi nie tylko pieniądze, lecz także jakieś zajęcie i pociechę. Nie jestem religijna, ale uduchowiona,

i uwielbiałam swoją działalność w kościele. Uwielbiałam także swoją prywatność.

Gdy gruchnęła wieść o romansie prezydenta Kennedy'ego ze stażystką, mówiono o tym wszędzie – nie tylko w Nowym Jorku, lecz w całych Stanach Zjednoczonych i w Europie. Tak, niestety, rozpoczynało się piętnaście minut mojej sławy. Nagłówki obejmowały pełen wachlarz środków – od przewidywalnych, przez sprośne, aż do głupich: „Od Moniki do Mimi”, „Mimi: Tylko Bóg wie, co tkwi w moim sercu”, „JFK i pani z kościoła!”. Na stronie z komentarzami w „New York Timesie” drwiła ze mnie jedna z moich ulubionych pisarek Nora Ephron. Napływały prośby o udzielenie wywiadu, moja automatyczna sekretarka wypełniła się wiadomościami od Katie Couric, Larry'ego Kinga, Diane Sawyer i oczywiście od magazynu „National Enquirer” – jego przedstawiciel wsunął mi nawet pod drzwi kopertę z dwudziestodolarowym banknotem (który przekazałam kościołowi). Tygodniki zasypały mnie listami. Wszystkie zaczynały się od słów: „Szanowna Pani Fahnestock, przepraszam, że zakłócam Pani spokój. Wiem, że nie jest to dla Pani łatwy okres, ale...” – a potem przystępowano do rzeczy. Pewien producent telewizyjny przysłał mi kwiaty, a potem napisał, że chciałby nabyć prawa do mojej historii. Oferował milion dolarów, choć nawet się jeszcze nie widzieliśmy. Zjawili się agenci literaccy, którzy chcieli mnie reprezentować. Edward Klein, autor nie jednej, lecz dwóch obelżywych książek o Kennedych, zadzwonił i oznajmił, że jeśli zgodzę się opublikować jego książkę pod swoim nazwiskiem, stanę się bogata i będę mogła „żyć w spokoju”. Przychodziły do mnie maile od przyjaciół, życzliwych osób, natrętów naprzykrzających się celebrytom i od krytyków. Znajoma z *college*'u trochę mnie pocieszyła: „Pamiętaj, proszę, że to tylko »wiadomość tygodnia« – napisała. – To minie. Rzecz w tym, że JFK jest jak

Elvis. Wszystkim nam się wydaje, że go znamy, i ciągle chcemy dowiedzieć się o nim czegoś więcej”.

Odrzuciłam wszystkie prośby kierowane przez media. Podziękowałam życzliwym osobom za uprzejmość. Krytyków zignorowałam, dochodząc do wniosku, że nie sposób czegokolwiek wyjaśniać ludziom, którzy uważają, że celowo deprecjuję pamięć o JFK albo że wszystko zmyśliłam. Powtarzałam sobie, że upublicznienie tej historii nie było moim pomysłem, że zostałam do tego zmuszona.

Przez ostatnie czterdzieści lat żyłam w strachu, że pewnego dnia zostanę wytropiona, odnaleziona i obnażona. Ten dzień właśnie nadszedł. Okazał się jednak niespodziewanie wyzwalający. Gdy rozszalała się medialna burza, ogarnął mnie spokój. Uświadomiłam sobie, że dam radę, że nie mam się czego wstydzić. Miałam dość ukrywania się.

Na użytek chmary dziennikarzy koczujących pod moim mieszkaniem wydałam proste oświadczenie:

Od czerwca 1962 roku do listopada 1963 byłam zaangażowana w erotyczny związek z prezydentem Kennedym. Nie rozmawiałam na ten temat przez ostatnie czterdzieści jeden lat. Po niedawnych doniesieniach prasy przedyskutowałam tę sprawę ze swoimi dziećmi i z rodziną, która okazała mi całkowite wsparcie.

Nie chciałam tłumaczyć niczego więcej.

Nazywam się Marion Beardsley Fahnestock Alford. Pod wieloma względami te trzy nazwiska mówią wszystko, co powinniście wiedzieć o mnie i o moim pochodzeniu. Przez pierwsze dwadzieścia lat życia – także wtedy, gdy byłam związana z JFK – nosiłam nazwisko Beardsley. Przez czterdzieści następnych lat nazywałam się Fahnestock, przyjąwszy

nazwisko mężczyzny, którego poślubiłam w styczniu 1964 roku, dwa miesiące po zabójstwie JFK. Fahnestock to nazwisko związane z ogromną częścią mojego dorosłego życia, nadane moim dwóm córkom w chwili urodzenia. Teraz nazywam się Alford, ponieważ w 2005 roku wyszłam za Dicka Alforda, miłość mojego życia, którego, jak na ironię, nigdy bym nie poznała, gdyby w 2003 roku nie wyszła na jaw historia mojego romansu. Dziś używam tylko tego nazwiska i tylko ono znajduje się na okładce tej książki.

Są ku temu powody. Przestałam być trzymaną pod kloszem dziewiętnastoletnią Mimi Beardsley, którą połączył związek z najpotężniejszym człowiekiem na świecie. I nie jestem już wystraszoną, kaleką emocjonalnie Mimi Fahnestock, która przez całe życie zmagала się z konsekwencjami tego związku.

Jestem Mimi Alford i nie żałuję tego, co zrobiłam. Byłam młoda, zawładnęło mną uczucie i nie jestem w stanie tego cofnąć. Odkąd świat poznał mój sekret, minęło prawie dziesięć lat i przez ten czas często rozmyślałam o tym drażliwym epizodzie w moim życiu, zastanawiając się, jak wyrażać związane z nim uczucia i czy w ogóle powinnam to robić. Teraz już nie mam takich wątpliwości. Do tamtego majowego dnia czułam w sobie pustkę i nie wiedziałam, czym ją wypełnić. Szczęście i zadowolenie, których zaznałam później jako Mimi Alford, zdołały mnie jednak wyzwolić – i nauczyć, jak istotne jest objęcie kontroli nad własną przeszłością.

Na początku pisałam listy (nigdy nie wysyłałam ich przez internet) do najstarszej wnuczki, by „naprostować sytuację”. „Najdroższa Emmo – zaczęłam – chciałabym Ci opowiedzieć pewną historię, bo pewnego dnia, kiedy będziesz starsza, prawdopodobnie natkniesz się na moje imię

w jakiejś książce o prezydencie Stanów Zjednoczonych. Chcę, żebyś poznała fakty...”

Ta historia wymagała jednak znacznie więcej niż tylko przedstawienia faktów i podania ich do czyjejs wiadomości. Życie z sekretem zablokowało mnie emocjonalnie i teraz wiem, że te listy były jedynie nieśmiałyymi krokami na drodze ku zrozumieniu. Uzyskanie całkowitej kontroli wymagało intensywnego namysłu nad sobą, a nie jedynie suchego opisanie początku i końca mojego pobytu w Białym Domu.

Ta książka zawiera prywatną historię, która przypadkiem zyskała także publiczne oblicze. A ja nie chcę, by to publiczne oblicze – przez które zostałabym zapamiętana wyłącznie jako zabawka prezydenta – zdefiniowało osobę, którą jestem.

Pewnie trudno pojąć, że niewinna nastolatka może wylądować w łóżku z prezydentem Stanów Zjednoczonych czwartego dnia swojego stażu w Białym Domu. Nie ma jednak prostych historii.

Ta rozpoczyna się w pociągu do Waszyngtonu.

Rozdział drugi

Była gorąca, parna niedziela w Trenton w stanie New Jersey. Czerwiec 1962 roku. Wagon, do którego weszłam, wypełnił się do granic możliwości i nie miał klimatyzacji, przez co moja ulubiona sukienka z madrasu szybko zmieniła się w pomarszczoną masę. Powietrze, jak zawsze w tamtych czasach, przesycone było dymem tytoniowym. Ale mnie żadna z tych rzeczy nie przeszkadzała. Nie byłam jeszcze na drugim roku *college*'u, miałam niespełna dwadzieścia lat, lecz oto jechałam do Waszyngtonu, by rozpocząć najbardziej ekskluzywną z wakacyjnych prac: staż w Białym Domu. Nazajutrz miałam przejść przez zachodnią bramę i stawić się w biurze prasowym administracji Kennedy'ego.

Oczywiście moje pojęcie o tym, co to właściwie oznacza, było dość ograniczone. Podano mi pewne podstawowe informacje: gdzie i z kim będę mieszkała, gdzie i do kogo powinnam się zgłosić pierwszego dnia stażu. Wiedziałam, że włożę swoją ulubioną sukienkę z madrasu – jeżeli przetrwa podróż pociągiem lub jeśli uda mi się ją na czas wyprasować. Ale poza tym nie miałam pojęcia, na czym będzie polegała ta praca ani z kim będę miała do czynienia. Nadal nie do końca rozumiałam, jak w ogóle udało mi się dostać na ten staż.

Wkrótce miałam się dowiedzieć, że większość osób mojego pokroju zapewniało sobie staż dzięki pociąganiu za odpowiednie sznurki albo proszeniu właściwych ludzi o przysługę, co dotyczyło nawet najniżej płatnych staży. Niektórzy stażyści mieli koneksje rodzinne albo rodziców wpłacających wysokie datki na konto partii. Ja nie należałam do tej grupy.

Poza tym byli również tacy, którzy tak bardzo pasjonowali się polityką, że zdobyli staż dzięki czystej sile woli. Do tego grona także się nie zaliczałam. Nawet nie złożyłam podania o staż. Moja wiedza na temat rządu ograniczała się do tego, co usłyszałam na zajęciach z nauk politycznych na pierwszym roku. Gdybym miała jakieś sympatie polityczne, prawdopodobnie byłyby skierowane raczej ku umiarkowanemu republikanizmowi moich rodziców, którzy uwielbiali Eisenhowera, a w wyścigu o fotel prezydencki w 1960 roku kibicowali Richardowi Nixonowi, a nie Johnowi F. Kennedy'emu.

Podobnie jak wielu młodych ludzi na początku lat sześćdziesiątych nie byłam jednak obojętna na gwiazdorski urok i świeże poczucie misji, które uosabiał dynamiczny prezydent z Massachusetts. Był młodszy od mojego ojca o dwanaście lat. W telewizji wydawał się dowcipny, czarujący i przystojny. Miał młodą, piękną żonę, która dorównywała mu pod względem stylu i szyku. I to właśnie Jacqueline Bouvier Kennedy w pośredni sposób zapewniła mi staż w Białym Domu. Pozwólcie, że wytłumaczę.

Nie po raz pierwszy byłam w Białym Domu. Rok wcześniej, w ostatniej klasie Miss Porter's – szkoły z internatem dla dziewcząt w Farmington w stanie Connecticut – pracowałam jako redaktorka uczniowskiej gazetki „Salmagundy”. Tak się złożyło, że Jackie Kennedy też kiedyś uczęszczała do Miss Porter's – ukończyła tę szkołę w 1947 roku – i podobnie jak ja udzielała się w „Salmagundy”. Marząc o pracy dziennikarki, bacznie obserwowałam panią Kennedy przez całą kampanię w 1960 roku. Żona kandydata na prezydenta była najsłynniejszą z naszych absolwentek (nazywaliśmy je „starszyzną”), więc wiedziałam, że gdyby została pierwszą

dama, przeprowadzenie z nią wywiadu byłoby nie lada osiągnięciem. Zamierzałam więc skierować do niej oficjalną prośbę. Czy mogła odmówić „koleżance” z Farmington?

Miesiąc po zaprzysiężeniu prezydenta dyrektor szkoły Hollis French pomógł mi ułożyć list, w którym zwracałam się z oficjalną prośbą o wywiad dla „Salmagundy”. Przepisałam go potem na maszynie, na szkolnej papeterii, wysłałam i przez kilka następných dni – które ciągnęły mi się jak tygodnie – czekałam na odpowiedź, zaglądałam do skrzynki i czułam rozczarowanie, widząc, że nie ma żadnych wieści od pierwszej damy. Wreszcie 9 marca w mojej skrzynce wylądowała kremowa koperta z granatowym monogramem Białego Domu. Miałam ochotę od razu ją otworzyć, ale pobiegłam z nią do gabinetu pana Frencha, żebyśmy mogli przeczytać odpowiedź razem. W środku znajdował się napisany na maszynie list od Letitii Baldrige, osobistej sekretarki pierwszej damy i szefowej jej personelu, która także była absolwentką Miss Porter’s i grzecznie odrzucała moją prośbę. Z wdziękiem i uprzejmością panna Baldrige wspominała o napiętym harmonogramie pierwszej damy oraz „kolejce ponad stu korespondentów i dziennikarzy oczekujących na szansę przeprowadzenia z nią wywiadu”.

To była zła wiadomość. Znalazła się jednak i dobra: panna Baldrige pytała, czy nie byłabym zainteresowana przyjazdem do Białego Domu i przeprowadzeniem z nią wywiadu na temat pani Kennedy. Zasugerowała nawet, że pomoże mi zebrać ciekawe wycinki z gazet, które mogłabym wykorzystać w swoim artykule. Nie było to zatem standardowe spławienie. Zapraszano mnie do Białego Domu i nawet jeśli nie mogłam porozmawiać z pierwszą damą, dostałam szansę napisania o innej ważnej osobie: przedstawicielce szkolnej „starszyszy”, która występowała w wiadomościach i zasiadała u stołu władzy. Moja wizyta została

zaplanowana na ostatni tydzień marca 1961 roku, który wypadł podczas ferii wiosennych.

Dzień wcześniej wylądowałam na lotnisku La Guardia i spędziłam noc w Chevy Chase u przyjaciół rodziców, którzy uczcili mój pierwszy krok na drodze ku wielkiemu dziennikarstwu, zabierając mnie na kolację do Państwowego Klubu Prasowego. Gospodarze dyskretnie wskazywali mi sławne osoby, które jadły posiłek przy stolikach wokół nas. Nazajutrz weszłam przez wschodnią bramę do Białego Domu kilka minut przed jedenastą, bo właśnie o tej godzinie miało się rozpocząć wyznaczone spotkanie.

Panna Baldrige przyjęła mnie w swoim pozbawionym wyrazu gabinecie, gdzie zasiadała za bardzo mało szykownym państwowym biurkiem, otoczona nieotwartymi jeszcze kartonami (państwo Kennedy wprowadzili się zaledwie siedem tygodni wcześniej). Mimo nijakiego wystroju czułam się jak na audyencji u członka rodziny królewskiej. Panna Baldrige – która nalegała, żebym nazywała ją Tish, co mnie wydawało się jednak nie do pomyślenia – była ubrana w nieskazitelny dopasowany kostium z wełny i w jedwabną bluzkę, apoteozę elegancji i gościnności (po opuszczeniu Białego Domu została autorką bestsellerowych książek o etykiecie i dobrych manierach). Być może jedynie okazywała wyjątkową uprzejmość uczennicy Miss Porter's – w każdym razie przygotowała się do mojej wizyty. Zgromadziła stosik wycinków z gazet z całego świata poświęconych pierwszej damie, zapewniła mi przewodniczkę, a nawet zadbała o to, bym mogła się zobaczyć z prezydentem. Powiedziała, że prezydent ma spotkanie z grupą niepełnosprawnych dzieci w ogrodzie różanym i że mogę do nich dołączyć.

Tamtego dnia moją przewodniczką została Priscilla (Fiddle) Wear, następną absolwentką Miss Porter's, która ukończyła tę szkołę w 1958, rok

przed moim przybyciem. Dzięki pracy w Białym Domu Fiddle (tak brzmiało jej przezwisko z dzieciństwa, bo jako mała dziewczynka nie potrafiła powiedzieć „Priscilla”) była w szkole kimś w rodzaju żywej legendy, ale nigdy wcześniej jej nie spotkałam. Wiedziałam jedynie, że wraz ze swoją współlokatorką Jill Cowan rzuciła studia w Goucher College, by pracować dla ówczesnego senatora Kennedy’ego podczas jego kampanii prezydenckiej, i że obie zostały później zatrudnione w Białym Domu. Fiddle i Jill były nierozłączne. Jill (którą, jak można się domyślić, szybko zaczęto nazywać Faddle) pracowała w biurze prasowym, a Fiddle była asystentką Evelyn Lincoln, osobistej sekretarki prezydenta.

Wyszłam za Fiddle z gabinetu panny Baldrige we wschodnim skrzydle i natychmiast zaimponowały mi (i trochę mnie onieśmieliły) pewność siebie i profesjonalizm mojej przewodniczki, pewny krok, jakim przemierzała korytarze, jakby żadna przestrzeń nie była dla niej zakazana. Idąc, wspomniała, że ze względu na ferie wiosenne w Białym Domu roi się od turystów i przyjaciół przyjaciół, co mogło nam bardzo utrudnić przedostanie się do zachodniego skrzydła. Poprowadziła mnie zatem malowniczą trasą przez labirynt podziemnych tuneli i ukrytych klatek schodowych, pokonując je prawie po omacku. Po kilku omyłkowych wizytach w kuchni i pralni wynurzyłyśmy się w zachodnim skrzydle, tuż przed salą gabinetu.

Widząc, że nikogo tam nie ma, Fiddle otworzyła drzwi i skinęła, żebym poszła za nią. Ostrożnie okrążyłam ogromny drewniany stół, dotykając oparcie poszczególnych krzeseł i wyobrażając sobie wszystkie ważne decyzje, jakie tam zapadły, oraz toczące się w tym pomieszczeniu zaciekle debaty. Nie mogłam uwierzyć, że jestem w tym miejscu.

– Prawda, że panna Smedley byłaby zachwycona? – zapytałam, mając na myśli wielce szanowaną nauczycielkę historii nowożytnej Europy

z Farmington. Naśladowując jej ton wielkiej damy i teatralne gesty, wyobrażałam sobie, co by powiedziała, będąc teraz razem z nami. – „W tym oto miejscu Franklin Delano Roosevelt prowadził debaty poświęcone zaletom i-zo-la-cjo-niz-mu i liczył koszty przystąpienia do wojny przeciwko nazistowskim Niemcom...”

Fiddle roześmiała się i dołączyła do zabawy. Przez parę minut znowu byliśmy uczennicami, wymachiwałyśmy rękami jak panna Smedley, udając, że piszemy na tablicy w sali gabinetu.

Gdy wróciłyśmy na korytarz, omal nie zostałyśmy stratowane przez jakąś kobietę pędzącą do Gabinetu Owального.

– To była doktor Janet Travell, lekarka prezydenta – szepnęła Fiddle.

Przez chwilę czekałam obok biurka Fiddle, które stało kilka kroków od Gabinetu Owального, a ona wróciła do pisania na maszynie. Zobaczyłam przez okno, że panna Baldrige prowadzi grupę dzieci do ogrodu różanego, co miało być dla mnie znakiem, aby wyjść i do nich dołączyć. Fiddle wstała zza biurka i wyprowadziła mnie na zewnątrz, przekazując pannie Baldrige. Tish dała mi znak, żebym stanęła obok niej wśród dzieci. Obydwie górowałyśmy nad nimi wzrostem. Czekaliśmy, aż pojawi się prezydent. Nie liczyłam na aż tak wiele. Po chwili drzwi Gabinetu Owального otworzyły się i do ogrodu różanego wszedł prezydent Stanów Zjednoczonych.

Oczywiście byłam zdenerwowana i zafascynowana – który licealista by nie był? Ciekawiło mnie, jak wygląda ten człowiek w zestawieniu z moimi wyobrażeniami albo tym, co o nim czytałam. Na żywo prezydent Kennedy okazał się wyższy, szczuplejszy i przystojniejszy niż na zdjęciach. W stosunku do dzieci był cierpliwy i uroczy, ścisnął im dłonie i z każdym rozmawiał, przykucając, żeby zrównać się z nimi wzrostem. Był przecież politykiem, najbardziej utalentowanym i najważniejszym w kraju. Mimo że

prawdopodobnie w planie dnia prezydenta roilo się od takich spotkań i funkcji reprezentacyjnych, bez wątpienia zapominanych już w chwili przystępowania do wypełniania kolejnego obowiązku, JFK w pełni zdawał sobie sprawę, że tych kilka sekund spędzonych w jego obecności będzie dla tych dzieci czymś, co zapamiętają na zawsze.

Potem przyszła moja kolej na uściśnięcie dłoni prezydentowi. Wtrąciła się panna Baldrige. Przedstawiła mnie imieniem i napomknęła, że marzę o karierze dziennikarskiej.

– Gdzie się pani uczy? – zapytał prezydent, ściskając mi dłoń.

– W Miss Porter’s, proszę pana – zdołałam wykrztusić. Cała ta sytuacja wydawała się nierzeczywista.

Uśmiechnął się na znak, że kojarzy tę szkołę.

– Co panią tu sprowadza? – zapytał.

– Piszę dla szkolnej gazetki „Salmagundy” artykuł poświęcony pierwszej damie.

– Jest pani w ostatniej klasie?

– Tak, proszę pana.

– Do jakiego *college*’u wybiera się pani w przyszłym roku?

– Do Wheaton albo Hollis.

– Cóż, miło było panią poznać – powiedział. – Powodzenia.

– Dziękuję, panie prezydencie.

I odszedł.

Artykuł, w którym opisałam to spotkanie, zatytułowany „Starszyzna w Białym Domu”, zajął prawie cały numer „Salmagundy” i odniósł ogromny sukces w kampusie. W dniu, w którym się ukazał, moje koleżanki z klasy czytały go wszędzie, gdziekolwiek się obejrzałam. Byłam dumna, a moja duma wzrosła jeszcze bardziej, kiedy posłałam egzemplarz gazetki Tish Baldrige, która natychmiast mi odpisała: „Uroczy artykuł – napisany

ze zręcznością Ilki Chase, Clare Luce i Madame de Staël razem wziętych”. Była prawdziwą ekspertką w dziedzinie ogłady towarzyskiej, profesjonalistką umiejącą sprawić, by nastolatka poczuła zadowolenie z siebie. Wsunęłam jej list do albumu fotograficznego, który podarowali mi rodzice.

Tak więc gdy rok później przyszła wiadomość z biura prasowego Białego Domu, nie była ona tak do końca pozbawiona uzasadnienia. W końcu artykuł, który napisałam, mówił przede wszystkim o związku Miss Porter’s z Białym Domem. Najwidoczniej Tish zapamiętała mnie i moje zainteresowanie dziennikarstwem, przyznała mi kilka dodatkowych punktów za przynależność do siostrzanego grona Farmington i zaproponowała moją kandydaturę na wolne miejsce. To jednak tylko moje domysły, bo nigdy jej o to nie zapytałam ani nie dowiedziałam się, dlaczego właściwie zaoferowano mi staż. Wiedziałam jedynie, że nie mogę odmówić.

Ja poczułam się wspaniale, ale mój ojciec nie bardzo. Ta niespodziewana okazja oznaczała dla niego konieczność przeprowadzenia nieprzyjemnej rozmowy telefonicznej i zrezygnowania w moim imieniu z załatwionej mi wcześniej wakacyjnej pracy recepcjonistki w nowojorskiej kancelarii prawniczej. Czułam się z tego powodu fatalnie, bo nie lubię cofać danego słowa, ale mój ojciec nie miał żadnych wątpliwości. „Jeśli masz do wyboru staż w Białym Domu albo szkolenie na recepcjonistkę na Manhattanie – powiedział – to nie ma się nad czym zastanawiać”.

Byłam w drodze do Waszyngtonu.

Dorastałam we wschodniej części New Jersey, w pełnym zakamarków farmerskim domu w stylu kolonialnym, jednym z najstarszych

w Middletown Township. Został wzniesiony w 1781 roku, a następnie rozbudowany: po raz pierwszy w roku 1800, a po raz drugi w 1850. Miał czternaście pokoi, siedem kominków, bibliotekę wyłożoną sosnową boazerią z oryginalnymi ręcznie ciosanymi belkami oraz salę balową, pozostałość po elegantszej przeszłości, wykorzystywaną przez nas jedynie do świętowania urodzin i Bożego Narodzenia. Moja mama nazwała ten dom „farmą spokojnego stawu”. „Koniec z przeprowadzkami” – powiedziała.

Gdybym tamtego lata nie pojechała do Waszyngtonu, codziennie dojeżdżałabym godzinę pociągiem do centrum Manhattanu, a weekendy spędzała z rodziną i przyjaciółmi, pływając w klubie plażowym oddalonym o pół godziny drogi od naszej farmy, oraz pomagałabym mamie w ogródku i w domu. Mój tata, w dni powszednie menedżer funduszy powierniczych w Fidelity Union Trust Company w Newark, a w weekendy farmer dżentelmen, był najszczęśliwszy, kiedy siedział w ogrodniczkach na traktorze, kosząc nasze sześćdziesiąt akrów łąk. Kiedy o nim myślę, wyobrażam go sobie właśnie na perkoczącym traktorze, jeżdżącego w przygaszonym słońcu ciepłych letnich wieczorów i wracającego do domu dopiero w porze kolacji.

Z zewnątrz moje życie przypominało los typowej uprzywilejowanej panienci z dobrego domu. Miałam o cztery lata starszą siostrę przezywaną Buffy. Miałam też brata Josha, który uczył się o dwie klasy wyżej niż ja, skończył St. Paul's w New Hampshire i studiował na przedostatnim roku w Princeton, idąc w ślady naszego ojca. Drugi brat, Jimmy, cztery lata młodszy ode mnie, wkrótce miał zostać posłany do prywatnego liceum w Rhode Island, a następnie do Princeton. Siostra Deb, sześć lat młodsza ode mnie, za dwa lata wybierała się do Miss Porter's. O tak, często nosiliśmy ubrania w szkocką kratę.

Spełnialiśmy wszystkie warunki stawiane WASP-om (członkom amerykańskiej białej elity anglosaskiego pochodzenia) i uczniom prywatnych szkół, a mimo to dorastając, wcale nie czułam się szczególnie uprzywilejowana. W dużej mierze przyczyniła się do tego moja mama. Była orędowniczką i wirtuozem oszczędności. Nigdy nie zatrudniłaby stolarza, malarza ani innego rzemieślnika, jeśli sama potrafiła wykonać jego zadanie. Już jako ośmioletnia dziewczynka, kiedy wyprowadziliśmy się z Nowego Jorku na farmę w New Jersey, doskonale znałam etos „zrobię to sama”. Nie sposób go było nie zauważyć. Pierwszym przedsięwzięciem mojej mamy w naszym nowym domu było zerwanie we wszystkich pokojach starej, odklejającej się tapety za pomocą pary, wyrównanie tynków i własnoręczne pomalowanie ścian. Potem mama wzięła się do płowiejących pokrowców i zasłon, kupiła materiał i uszyła nowe. Zbiła regały i odnowiła stare meble, wypolerowała i pomalowała wszystkie drewniane okiennice, uszyła okrągłe pilśniowe spódniczki dla mnie i moich sióstr, ozdabiając je aplikacjami z Curriera i Ivesa, bez końca podwoziła nas do szkoły, kibicowała nam we wszystkich szkolnych grach, sprzątała w domu, gotowała nam, doglądała kurcząt i owiec na farmie (zwierzęta nie były maskotkami, lecz źródłem pożywienia, choć ja i moje rodzeństwo nigdy nie mogliśmy znieść myśli o jedzeniu jagniąt pasących się na naszych łąkach). Była wulkanem energii i samowystarczalności dysponującym zestawem umiejętności, który przepełniłby dumą Marthę Stewart.

Tak została zaprogramowana. Jej życiową ambicją było wyjść za mąż, wychować gromadkę grzecznych dzieci, uwolnić męża od wszelkich obowiązków, które mogłyby zakłócić jego niezwykle ważną karierę, stworzyć szczęśliwy, wygodny dom i zarządzać rodzinnymi finansami w taki sposób, by nigdy nie wydawać więcej, niż mieliśmy. Pod tym względem niewiele się różniła od innych mam z naszego sąsiedztwa

i z całej ówczesnej Ameryki, choć podejrzewam, że była skrajną przedstawicielką tego gatunku.

Moja mama była atrakcyjną kobietą o ponadprzeciętnym wzroście (metr siedemdziesiąt trzy), delikatnych rysach twarzy, smukłej sylwetce, idealnej postawie i krótkich brązowych włosach. Wszyscy nazywali ją Liddy, co zdawało się do niej pasować. Była przyjazna i otwarta, a w razie potrzeby potrafiła emanować łagodnym, pozytywnym urokiem gospodyni, ale przeważnie nosiła się z powagą i silnym poczuciem odpowiedzialności. Rzadko zajmowała się błahymi sprawami, choć pamiętam, że od czasu do czasu stosowała niemądre diety – na przykład przez tydzień jadła wyłącznie banany. Diety nie były jej jednak potrzebne: jej nieumiejętność usiedzenia w miejscu praktycznie gwarantowała brak problemów z nadwagą (pewnego razu jej ojciec, który mieszkał niedaleko na farmie, zatrudnił dla nas kucharkę, bojąc się, że mama za ciężko pracuje i padnie z wyczerpania. Kucharka odeszła przed upływem miesiąca, kiedy odkryliśmy, że opróżnia butelkę z dżinem mojego taty, uzupełniając ją wodą, i ku naszej uciechu gotowaniem posiłków znowu zajęła się mama).

Mój tata, Randy, był potężnym, jowialnym mężczyzną – miał duże uszy, duży nos i szeroki, często pojawiający się uśmiech. Nie mam ani jednego zdjęcia, na którym by się nie uśmiechał, śmiał albo wyglądał na rozbawionego. Za tym uśmiechem czaiło się jednak coś mroczniejszego, co dopiero później, w latach sześćdziesiątych, zdiagnozowano jako psychozę maniakalno-depresyjną. W dzieciństwie nie zauważaliśmy przejawów tego smutku i rozpacz, bo w najgorszych chwilach mama przejmowała kontrolę i kryła tatę. Były to dla niej bardzo trudne lata, ale nie sądzę, by choć przez chwilę żałowała, że wybrała na swojego życiowego partnera właśnie tego człowieka – i *vice versa*.

Moi rodzice byli małżeństwem przez trzydzieści sześć lat. Tata zmarł nagle, na atak serca, w 1973 roku. Miał sześćdziesiąt osiem lat. Zawsze uwielbiał kapelusze, a kiedy odszedł, mama podarowała każdemu ze swoich dzieci koliaż z jego zdjęciami w ulubionych nakryciach głowy – ten, który dostałam, do dziś wisi w moim biurze.

Jeśli z powyższego opisu wynika, że nasze życie w New Jersey w latach pięćdziesiątych i na początku lat sześćdziesiątych wyglądało jak idylla sielskiej nobliwości, to dlatego, że takie mi się wówczas wydawało. Znalazłam tam szczęście i nauczyłam się kochać samotność. Jako nastolatka godzinami bawiłam się masywnym, ale eleganckim wiktoriańskim drewnianym domkiem dla lalek, który stał na stole w moim pokoju (teraz dostrzegam w tym pełne podziwu naśladowanie domowego dynamizmu mojej mamy). Oświetliłam go, pomalowałam ściany w pokojach, położyłam tapetę i wypełniłam kupionymi w sklepie stylowymi meblami, zawsze w odpowiedniej skali. Pochłaniał mnie każdy szczegół, nie tylko od strony technicznej, lecz również emocjonalnej. Zakwaterowałam w domku wyimaginowaną francuską rodzinę – małżeństwo Marie i Paula Perotów z trojgiem dzieci – dla której stworzyłam misterną przeszłość i życiowe kryzysy. Aranżując różne sytuacje i układając dialogi, przenosiłam ich z piętra na piętro, z pokoju do pokoju. Godziny poświęcane temu domkowi dla lalek dawały mi poczucie swobody i kontroli. To moja francuska rodzina musiała mi się podporządkować, a nie odwrotnie.

Jeśli tak wyglądał bunt w moim wykonaniu, to miał wyłącznie osobisty charakter. Współgrał z moją osobowością. Czasami myślę, że urodziłam się z wewnętrznym zarządcą emocji ustawiającym je na stałym poziomie między umiarkowanym a niskim napięciem. Nie kwestionowałam tego, co mówili rodzice, i nigdy nie przyszłoby mi do głowy im odpyskować.

Rzadko kłóciłam się, a nawet spierałam z rodzeństwem. Chyba za bardzo obawiałam się konfrontacji i jej konsekwencji.

Mieszkałyśmy we własnym świecie, w którym prawie każda faza życia była dla nas zaplanowana i określona przez oczekiwania naszej tak zwanej klasy. Ja i moje siostry dygałyśmy już jako małe dziewczynki i zawsze wstawaliśmy, kiedy do pomieszczenia wchodził ktoś dorosły. Uczono nas, że każdy uprzejmy gest wymaga liściku z podziękowaniem. Modliliśmy się przed każdym posiłkiem i „przekazywaliśmy miłość” przy stole, trzymając się za ręce i ściskając je sobie nawzajem. Przestrzegaliśmy niepisanej umowy, że nigdy nie dyskutuje się o polityce ani religii, bo mogłoby to kogoś urazić. Pieniądze były tematem tabu: wspomnianie o wysokości czyichś zarobków lub wydatków na cokolwiek uznawaliśmy za niesmaczne, a bogactwo zdecydowanie nie było czymś, czym należy się chwalić. Zakładało się, że wszyscy, których znamy, są republikanami i dzielą naszą protestancką wiarę.

Nieustannie nam przypominano, że najwyższą wartością jest samodzielność. Każde z nas miało na farmie swoje obowiązki, które wykaczały poza ścielenie łóżek i utrzymywanie porządku w pokojach. Moje zadanie polegało na pieleniu ogródka i starannym przycinaniu rosnących w nim kwiatów. W wypadku poważnych katastrof, na przykład gdy powódź zniszczyła nam szambo, wszyscy chwytałyśmy za wiadra i łopaty, żeby pomagać rodzicom w odbudowie.

W naszej rodzinie najważniejsze było to, do jakiej chodzi się szkoły. Najzwyczajniej zakładano, że pójdziemy do jednej z prestiżowych szkół z internatem, do których uczęszczała nasza mama i jej rodzeństwo: do Miss Porter's, St. Paul's lub St. George's. Wykształcenie było cnotą, ale tu chodziło o coś więcej niż cnota: nazwa jednej z tych szkół na świadectwie była hasłem kojarzonym ze statusem i znaczeniem.

Social Register, wydawany co roku tom ze spisem najważniejszych rodzin w Nowym Jorku, był stałym elementem wyposażenia spoczywającym na biurku mojej mamy. Nie przypominam sobie, żeby rodzice traktowali go z równie nabożną czcią jak zabawny sir Walter Elliot z początku *Perswazji* Jane Austen, który „nie brał nigdy do ręki książki innej niż *Almanach baronetów*”^{**}, ale teraz ze zdziwieniem przyznaję, że w kręgu towarzyskim moich rodziców ta publikacja była niezmiernie ważna.

W mojej młodości żadne wydarzenie nie było dla statusu równie istotne jak „wejście do towarzystwa”. Ponieważ mieszkaliśmy zarówno w Nowym Jorku, jak i w New Jersey, moja mama nalegała, by jej córki „zadebiutowały” nie w jednym, lecz w dwóch stanach. Kierowały nią dobre intencje – chciała dla nas jedynie tego, co najlepsze – ale dla mnie była to prawdziwa próba nerwów. Nie żebym miała coś przeciwko strojeniu się w długą białą suknię z jedwabiu i białe giemzowe rękawiczki do łokci. Rzecz w tym, że te bale debutantek, powszechnie znane jako „pokazy bydła”, wymagały obecności młodych mężczyzn, którzy pełnili funkcję naszej eskorty. A to oznaczało, że musiałam zaprosić paru znajomych chłopców oraz swoją sympatię. Mój problem polegał na tym, że jako osiemnastolatka nie miałam szczęścia do chłopców. Ci, którzy mi się podobali, zazwyczaj nie zwracali na mnie uwagi, skupiając się na dziewczynach trochę bardziej – no cóż – dziewczęcych. Ja natomiast miałam opinię sportowca. Byłam kapitanem drużyny hokeja na trawie i drużyny koszykówki w prywatnej szkole Rumson Country Day School, a na dodatek biegałam tak szybko, że wystartowałam obok chłopaków i ich ojców w Dniu Sportu z udziałem absolwentów – i wygrałam. Trudno to jednak uznać za zaletę, gdy mowa o randkowaniu.

Moim największym – i jedynym – sukcesem w kontaktach z chłopcami było zwrócenie na siebie uwagi Louisa Timolata, kiedy oboje byliśmy

w ósmej klasie, i pozwolenie mu na pocałunek. Jeden.

Był to ostatni pocałunek, jaki przydarzył mi się w liceum.

We wrześniu 1961 roku nie miałam więc sympatii na balu debiutantek w New Jersey, który odbył się w klubie tenisa i krykieta Seabright. Poprosiłam dwóch braci przyjaciółek z Farmington, którzy łaskawie zgodzili się mi towarzyszyć. Przez cały wieczór zachowywali się jak prawdziwi dżentelmeni, ale wcale się nie zdziwiłam, że zależało im przede wszystkim na poznawaniu innych dziewcząt. Zaprosiłam także dwóch kolegów mojego brata z Princeton, ale oni od początku traktowali mnie jak młodszą siostrę kumpla i przez cały wieczór nie zwracali na mnie uwagi. Teraz mogę to wszystko wspominać raczej z zakłopotaniem niż ze złością, ale wtedy te mało istotne zniewagi naprawdę mnie zaboląły. Wieczór był parny, lepki i pełen skrępowania. Nawet po tych wszystkich latach pamiętam, że czułam przede wszystkim rozczarowanie.

Mój debiut na Manhattanie nastąpił trzy miesiące później na jednym z balów Junior Assemblies w sali hotelu Plaza. Tym razem towarzyszył mi starszy brat Josh, który we fraku prezentował się tak olśniewająco, że mogłam mieć pewność, iż będzie tańczył ze wszystkimi dziewczynami oprócz mnie. Pocieszałam się wspomnieniem innego tańca, podczas którego Josh, w ramach braterskiego płatania figli, wprowadził ze mną tańczył, ale za moimi plecami machał pięciodolarówką, zachęcając innych chłopców, żeby podeszli i go ode mnie uwolnili. Przynajmniej tym razem Josh okazał się na tyle dobrze wychowany, by oszczędzić mi podobnego zażenowania.

Dziwne, że nie buntowałam się przeciwko tym upokarzającym doświadczeniom – a przy okazji przeciwko mamie, która kazała mi przez nie przechodzić. Podawanie czegoś w wątpliwość i protesty nie były jednak

w moim stylu. Jako posłuszna córka spełniałam polecenia i oczekiwania rodziny.

Jest wiele powodów, dla których w tamtym okresie miałam tyle kłopotów z chłopcami. Po pierwsze, mierząc metr siedemdziesiąt osiem, przewyższałam wzrostem wielu potencjalnych zalotników. Po drugie, byłam koścista. W rozwoju wielu wysokich dziewcząt występuje pewna niezręczna martwa strefa, zanim ciało się wypełni – ich ruchy tkwią wtedy w pułapce niezdarności albo wręcz pokraczności. Tak było ze mną w wieku piętnastu lat (i dlatego zaczęto mnie nazywać Małą – miałam niesamowicie długie ręce i nogi).

Po trzecie, jako piętnastolatka zostałam wysłana do Miss Porter's. Uczęszczanie do szkoły dla dziewcząt zdecydowanie ogranicza szanse poznawania chłopców. Dwieście dwadzieścia dziewcząt z mojej szkoły żyło w odizolowaniu od świata, jakie trudno sobie wyobrazić u kogoś, kto nie składał ślubów zakonnych. Kiedy się tam uczyłam, w mrocznych latach między rokiem 1958 a 1961, do szkoły nie mógł się zbliżyć żaden chłopiec – chyba że w sobotę po południu, ale nawet wtedy dziewczyna musiała z tygodniowym wyprzedzeniem zapowiedzieć go jako swojego „gościa odwiedzającego”. Spotkania trzeba było umawiać listownie, bo nie mogłyśmy przyjmować ani nawiązywać połączeń telefonicznych (pozwalano nam jedynie na rozmowy z rodzicami, nie częściej niż raz w tygodniu). Jeśli goście wyrażali chęć pokonania tych przeszkód, musieli stawić czoła szeregowi protokołów wynalezionych najprawdopodobniej po to, by wyzuć randkę z wszelkiego romantyzmu. Najpierw gościa witał Miller, długoletni umundurowany strażnik szkolny, który szukał nazwiska przybysza na liście. Jeśli wszystko się zgadzało, dziewczęta i ich goście mogli spacerować po półtorakilometrowej „jarmarcznej pętli” i pod żadnym pozorem nie wolno im było się zatrzymywać, aby nie doszło do godnych

potępienia zachowań w rodzaju trzymania się za ręce. Miarą zażyłości pary był pokonywany dystans: najbardziej wytrwałe robiły nawet cztery, pięć okrążeń. Gdy spacer dobiegał końca, dziewczęta odprowadzały gości do domu dyrekcji na obowiązkową filiżankę herbaty. Potem chłopcy wychodzili i wracali do swoich pokoi w Groton, Deerfield i Taft.

Biorąc pod uwagę to całe zniechęcające, wymagające wysiłku planowanie, konieczne, aby uzyskać wstęp do naszego kampusu, oraz ograniczony zakres dopuszczalnych zachowań podczas samej wizyty, aż dziw, że jakikolwiek chłopak w ogóle chciał wyruszać na wyprawę do naszej szkoły. Zresztą po przyjeździe nie widywali nas w najlepszej, wystrojonej wersji. Nasza garderoba niczym nas nie wyróżniała: nosiłyśmy nieoficjalne mundurki złożone z rozpinanych swetrów wkładanych na chłopięce, zapięte pod szyję koszule, oraz wełniane spódnice w kratę sięgające podkolanówek. Kupowałyśmy buty Ambercrombie – solidne, wiązane, z brązowej skóry ozdobionej frędzlami na języku***. Stosowałyśmy ujednolicony zestaw dodatków – beret, który miał trzymać nasze włosy pod kontrolą, okrągłą złotą broszkę, sznur pereł – i nie interesowałyśmy się makijażem. Nie używałyśmy nawet szminki. U okolicznych mieszkańców, którzy widywali nasze blade twarze w niedzielę w kościele, budziłyśmy strach, że chorujemy na grypę.

Nie od razu polubiłam Miss Porter's. Przez pierwsze pół roku tak bardzo tęskniłam za domem, że większość wolnego czasu spędzałam, patrząc przez okno na przejeżdżające samochody i modląc się, żeby w jednym z nich był mój tata, który zabierze mnie z powrotem. Wcale nie pomagało to, że nie mieszkaliśmy we wspólnych sypialniach, lecz w dużych domach – bo te domy tylko przypominały mi o tym, co zostawiłam w New Jersey, i budziły jeszcze większą tęsknotę. Koleżanki z klasy mnie onieśmiały – zwłaszcza te z Nowego Jorku, które wydawały

się bardzo mądre, obyte w świecie i dorosłe. Uczono je, że dla wszystkich należy być miłym i sympatycznym, także dla takich nowych uczennic jak ja. Jeśli dochodziło do jakiegokolwiek zastraszania, to tylko w moim niepewnym umyśle. W Rumson Country Day byłam kimś w rodzaju gwiazdy sportu, ale w Farmington musiałam zaczynać od samego dołu hierarchii. W tamtym okresie nie miałam wystarczająco rozumu, aby wiedzieć, że będzie lepiej. Wiedziałam jedynie, że przez pierwsze pół roku spędzone w Miss Porter's byłam zalękniona, samotna i brakowało mi pewności siebie. Po raz pierwszy w życiu czułam, że gdzieś nie pasuję.

Poradziłam sobie z brakiem poczucia własnej wartości w osobiwy, ale mało oryginalny sposób: przestałam jeść. Z jakiegoś powodu prześladował mnie obraz dziewczyny poznanej w New Jersey, która po trzech miesiącach w szkole z internatem wróciła na święta Bożego Narodzenia o czternaście kilogramów cięższa. Nie chciałam skończyć tak jak ona. Im bardziej się bałam, tym bardziej skupiałam się na tej dziewczynie. Mnóstwo czasu spędzałam przed lustrem, zastanawiając się, czy przypadkiem nie tyję. Kiedy nie ignorowałam jedzenia ani się go nie pozbywałam, żywiłam się białkami jajek na twardo, bo gdzieś przeczytałam, że wszystkie kalorie zawierają się w żółtkach. W rezultacie przyjechałam do domu na ferie wiosenne prawie czternaście kilogramów lżejsza niż na święta Bożego Narodzenia.

Moja mama się przeraziła – całe życie byłam szczupłą, ale teraz zmieniłam się w szkielet. Natychmiast zawiozła mnie do lekarza w Nowym Jorku, który był bliskim przyjacielem naszej rodziny. Porozmawiał ze mną mądrym, kojącym tonem, bez śladu protekcyjnego spychania winy na moją samotność, brak bliskich przyjaciół i poczucie niedopasowania. Nie przypominam sobie, by choć raz padło słowo „anoreksja”. Wyjaśnił, że nie

jestem bezsilna wobec takich problemów, że mogę nad nimi zapanować. Byłam bardzo zagubiona, ale jego słowa zabrzmiały sensownie.

Wróciłam do szkoły odświeżona emocjonalnie. Zaczęłam jeść. Zaczęłam traktować koleżanki z klasy nie jak rywalki, lecz jak przyjaciółki, i poczułam, że wcale nie muszę się poddawać. Dostosowałam się i odnalazłam spokój. Przez dwa pozostałe lata skupiałam się na nauce i zajęciach pozalekcyjnych, takich jak kółko teatralne Gracze, klub książki Krótkowidze i gazetka „Salmagundy”, w której kierowałam małym zespołem i odpowiadałam za to, by gazetka wychodziła na czas. W 1961 roku, kiedy kończyłam tę szkołę, w zasadzie rozumiałam, dlaczego zostałam wybrana „najbardziej odmienioną uczennicą od pierwszej klasy”. Za to byłam bardzo zaskoczona, kiedy wraz z dwiema innymi koleżankami wytypowano mnie na „pierwszą panią prezydent”.

Jeśli w naszej skądinąd pierwszorzędnej edukacji była jakaś luka, to polegała ona na tym, że tylko nieliczne z nas poważnie rozważały jakąkolwiek karierę po ukończeniu szkoły. Zamiast tego nie mogłyśmy się doczekać zamążpójścia i założenia rodziny. Nie winię za to szkoły, to był znak tamtych czasów. Gdy rozpoczęłam następny etap kształcenia jako studentka pierwszego roku Wheaton College, humanistycznej uczelni dla dziewcząt w Norton w stanie Massachusetts, nie czułam się jak osoba przygotowana do życia z regularną wypłatą. Podobnie jak koleżanki marzyłam o poślubieniu odpowiedniego młodego mężczyzny o pochodzeniu zbliżonym do mojego. To prawda, nie miałam szczęścia do chłopców, ale lata młodości były już za mną. Nie traciłam nadziei.

Kiedy oglądam swoje zdjęcia z tamtego okresu, widzę wysoką, szczupłą, wysportowaną dziewczynę, która w końcu zdobyła trochę towarzyskiej pewności siebie. Nie wstydziłam się chłopców. Z łatwością

mogłam z nimi rozmawiać, flirtować i toczyć spory. Po prostu potrzebowałam kogoś, kto mnie zrozumie.

Właśnie taką dziewczyną byłam w 1962 roku, kiedy patrzyłam przez okno pociągu jadącego do Waszyngtonu. Byłam wykształcona i pewna siebie, ale zarazem niewinna, naiwna, nieposiadająca żadnego doświadczenia w sferze erotyki oraz (podobnie jak wszystkie dziewiętnastolatki z wyjątkiem tych najbardziej obytych w świecie) nieświadoma niczego, co nie miało na mnie bezpośredniego wpływu. Kiedy zadymiony i zatłoczony pociąg z kłopotem przejeżdżał przez Filadelfię i Baltimore, moim największym zmartwieniem było to, że przepociłam już swoją ulubioną szmizjerkę z madrasu i będę musiała znaleźć jakiś inny strój na pierwszy dzień pracy. Poczułam się lepiej, wiedząc, że mama spakowała mi także dwie schnące bez wyżymania szmizjerki z katalogu Johnny'ego Appleseeda. Miały być idealnym strojem do pracy w parnym klimacie Waszyngtonu latem.

Innymi słowy, wszystkie moje zmartwienia sprowadzały się do tego, co na siebie włożyć.

Kiedy pociąg wjechał na stację Union w Waszyngtonie, zaniiosłam swoją jedyną walizkę na chodnik i zamówiłam taksówkę do domu przyjaciółki rodziny, Wendy Gilmore, u której miałam zamieszkać. Pracowała w Departamencie Stanu. Jej dom bardziej przypominał bungalow, ale stał w samym sercu Georgetown przy O Street.

Wendy miała dwadzieścia pięć lat i od razu powitała mnie jak młodszą siostrę. Tamtego pierwszego wieczoru ugotowałyśmy razem kolację, a potem szukałyśmy na mapie najlepszych połączeń autobusowych z Białym Domem. Próbowałam ukryć swoje zdenerwowanie związane

z czekającą mnie pracą. Nie myślałam o splendorze i prestiżu praktykowania w Białym Domu ani o tym, jakiego blasku doda ten staż mojemu CV, jeśli oczywiście kiedykolwiek będę musiała je napisać. Zastanawiałam się z niepokojem, czy zdążę na czas i czy dobrze się tam spiszę. Zadzwoniłam do rodziców, żeby powiedzieć, że dotarłam bezpiecznie, a potem wcześniej położyłam się spać.

Nazajutrz, kiedy zbiegałam po schodach domu w swoich balerinkach Pappagallo i w świeżo wyprasowanej sukience z madrasu, zastanawiałam się, czy nie złapać taksówki tylko po to, by przeżyć dreszcz emocji towarzyszący słowom: „Na Pennsylvania Avenue 1600 poproszę”. Ale szybko zrezygnowałam z tego niemądrego pomysłu. Trzymając pieniądze w kieszeni, poszłam na róg ulicy i wsiadłam do autobusu jadącego do Białego Domu.

Rozdział trzeci

– Mimi Beardsley – przedstawiłam się strażnikowi, kiedy dotarłam do zachodniej bramy. Bardzo się starałam, żeby to brzmiało profesjonalnie.

Spojrzał na listę.

– To znaczy... Marion Beardsley? – zapytał.

– Tak, to ja – potwierdziłam.

– Dobrze, może pani wejść – powiedział.

Gdy tylko go minęłam, odetchnęłam z ulgą.

Jadąc do Białego Domu autobusem, wprowadziłam się w stan gorączkowego zdenerwowania, tłumacząc sobie, że mój staż to pomyłka albo jakiś okrutny żart – i że nie zostanę wpuszczona do Białego Domu. Typowe rozterki nastolatki: czasami czuje się jak oszustka albo intruz, myśli, że nie powinna się znaleźć tam, gdzie jest.

Moja ulga po przejściu przez bramę nie trwała jednak długo. Następnym wyzwaniem okazało się znalezienie biura prasowego bez zabłądzenia w budynku. Ruszyłam chodniczkiem do głównych drzwi zachodniego skrzydła i weszłam do Białego Domu. Przeszłam przez hol, w którym lubili przesiadywać dziennikarze mający nadzieję, że przypadkiem uda im się namówić na wywiad jakąś wysoko postawioną osobę wychodzącą z Gabinetu Ovalnego, i zatrzymałam się. Nie miałam pojęcia, dokąd iść, więc poprosiłam strażnika o pomoc. Uśmiechnął się i wskazał mi krótki korytarz, na którego końcu miałam skrócić w lewo.

Miałam nadzieję, że Fiddle już tam na mnie czeka, ale nigdzie nie było jej widać. Pierwszą osobą, jaką napotkałam, był Pierre Salinger, sekretarz

prasowy prezydenta, który szorstkim tonem wezwał mnie do swojego gabinetu. Miał zaledwie trzydzieści sześć lat, ale już stał się szeroko znaną osobistością w stolicy, a także ulubieńcem mediów****. Był sekretarzem Kennedy'ego podczas kampanii prezydenckiej, więc wydawał się naturalnym kandydatem na to stanowisko w Białym Domu. Był niski, nieco brzuchaty i sprawiał wrażenie modnisią, choć efekt końcowy częściej bywał niechlujny niż elegancki. Rzadko widywano go bez cygara w jednej ręce i pliku kartek w drugiej. Nie miał polotu z Ivy League ani patrycjuszowskiej rezerwy właściwej osobom z najbliższego grona Kennedy'ego, lecz był zarówno kulturalny (jako dziecko zasłynął w swoim rodzinnym San Francisco wyjątkowym talentem do gry na fortepianie), jak i cwany. To właśnie Salinger był pod tak wielkim wrażeniem błyskotliwego uwiedzenia mediów przez Kennedy'ego, że namówił prezydenta na prowadzenie konferencji prasowych na żywo w telewizji – nie odważył się tego zrobić żaden wcześniejszy prezydent. Wówczas głównym zadaniem Salingera – podobnie jak dzisiejszych sekretarzy prasowych – było kontrolowanie i od czasu do czasu pacyfikowanie napastliwych dziennikarzy w Białym Domu, którzy nigdy nie mieli takiego dostępu do prezydenta, jakiego by chcieli. Salinger przemawiał wspaniałym, dźwięcznym barytonem niedającym się powstrzymać ani drzwiom, ani ścianom. Właśnie dlatego go usłyszałam, kiedy chodził po swoim gabinecie tam i z powrotem, wymachując rękami w powietrzu i wydając warknięciami polecenia dwóm mężczyznom stojącym obok jego biurka. Byli ubrani tak samo jak on: w eleganckie szare garnitury, śnieżnobiałe koszule i cienkie krawaty. Okazało się, że są jego asystentami: Malcolmem Kilduffem i Andrew Hatcherem. Pan Salinger przedstawił mnie jako nową letnią stażystkę, a potem ich odprawił.

Odwrócił się do mnie i wymienił moje najpilniejsze obowiązki.

– Widzisz te dalekopisy? – zapytał, teatralnym gestem otwierając drzwi do łazienki i wprowadzając mnie do środka.

Nigdy wcześniej nie widziałam takich urządzeń i nie miałam pojęcia, dlaczego cztery z nich stoją w łazience – dwa pod ścianą, a dwa w wannie. Postukując, bez przerwy wypluwały pasma papieru wypełnione informacjami z Associated Press, United Press International, Agence France Presse i Reutersa.

– To przez ten hałas – wyjaśnił, domyślając się, że jestem zaskoczona takim miejscem ich pracy.

Następnie wskazał kilka podkładek z klipsem wiszących na ścianie w jego gabinecie. Wy tłumaczył, że moja praca będzie polegała na cięciu papieru z dalekopisów na trzydziestocentymetrowe kawałki i przyczepianiu ich do podkładek, z każdej agencji osobno, zanim zdążą zasłać całą podłogę.

Na koniec polecił, żebym mówiła do niego Pierre.

Potem mnie odprawił, mówiąc:

– Dziewczyny pokażą ci resztę.

Mówiąc: „dziewczyny”, miał na myśli sekretarki pracujące w pomieszczeniu obok jego gabinetu: poważne, zdeterminowane kobiety, przeważnie po trzydziestce, które nie widziały żadnego problemu w tym, że ktoś nazywa je „dziewczynami”. Szczerze mówiąc, ja też nie miałam nic przeciwko temu. Słowo „feminizm” nie weszło jeszcze do mojego słownika. Ten rodzaj dynamiki wydawał mi się całkowicie naturalnym porządkiem rzeczy. Rządzili mężczyźni. Kobiety im asystowały.

Christine Camp, naczelną sekretarką Pierre’a i faktyczną liderką damskiego personelu jego gabinetu, kontynuowała zapoznawanie mnie z Białym Domem. Przez następne pół godziny wypełniałam formularze zatrudnienia, żeby zainkasować wypłatę w wysokości sześćdziesięciu

siedmiu dolarów tygodniowo – przed opodatkowaniem. Następnie Christine pokazała mi zwyczajne szare biurko tuż pod drzwiami biura prasowego. Powiedziała, że będzie moje, podobnie jak stojąca na nim niezgrabna maszyna do pisania Remington. Był tam jeszcze telefon, standardowy czarny aparat z okrągłą tarczą i sześcioma świecącymi przyciskami na dole, których miałam używać. Na kimś, kto nigdy wcześniej nie pracował w biurze – jedyne prace, jakie kiedykolwiek wykonywałam, polegały na niańczeniu dzieci i pomaganiu mamie – to wszystko sprawiało wrażenie zupełnie nowego świata, który otwierał przede mną swoje drzwi. Na myśl, że dostanę własne biurko i własną maszynę do pisania w biurze prasowym Białego Domu, nagle poczułam się tak, jakbym osiągnęła wielki sukces. Ze wszystkich sił starałam się zachowywać normalnie, ale to nie była normalna sytuacja. To wszystko wydawało mi się niesamowicie ekscytujące.

Miałam wrażenie, że pod tym względem nie jestem odosobniona. Wszyscy wokół najwidoczniej opanowali już jednak efektowną sztukę wyglądu na osobę niezwykle aktywną i jednocześnie zrelaksowaną. Zdawali się emanować radością z powodu uczestniczenia w czymś wyjątkowym. To uczucie szybko udzieliło się także mnie i chyba po raz pierwszy w życiu również poczułam się kimś wyjątkowym. Poczułam, że mam cel.

Chris Camp wyjaśniła, że jedno z moich zadań będzie polegało na odbieraniu telefonów w biurze prasowym – i wyraźnie dała do zrozumienia, że obsługa połączeń wymaga zastosowania określonej procedury. Jeśli dzwonił dziennikarz z rutynowym pytaniem – na przykład o to, o której godzinie Pierre Salinger zwoła konferencję prasową w swoim gabinecie – mogłam swobodnie udzielić informacji. Jeśli jednak chodziło o coś choćby odrobinę bardziej istotnego – na przykład wyjaśnienie polityki administracji lub jedynie potwierdzenie cytatu – miałam natychmiast przełączyć

rozmówcę do kogoś z wyższego szczebla. Musiałam się nauczyć żonglowania sześcioma mrugającymi światłkami – sześcioma różnymi liniami, na które bez przerwy ktoś dzwonił – tak, żeby nikogo nie rozłączyć. Nie była to technologia raketowa, ale przez kilka pierwszych nocy, zanim doskonale opanowałam ten system, nie mogłam spać.

W sumie w biurze prasowym pracowało dziewięć osób, siedmioro z nas tłoczyło się w ciasnym pomieszczeniu, a Pierre pracował w luksusowym, przestronnym gabinecie z dwójgciem drzwi, z których jedne prowadziły do nas, a drugie wychodziły na korytarz wiodący do Gabinetu Owального. (Później przeczytałam w pamiętniku Pierre’a zatytułowanym *With Kennedy* (Z Kennedym), że czasami po wyjściu z Gabinetu Owального prezydent zachodził wieczorem do biura prasowego, żeby pomyszkować na biurkach. Miał w zwyczaju pożyczać książki i dokumenty, które Pierre musiał potem zabierać z jego szafki nocnej). W biurze prasowym panowała wyjątkowo otwarta i swobodna atmosfera: w przeciwnym razie na tak małej przestrzeni nie dałoby się nic zrobić. Sam Pierre pomimo delikatnej natury swojej pracy rzadko zamykał drzwi, dzięki czemu słyszałam dźwięki teleksu sygnalizujące nadejście ważnych wieści: cztery dzwonki oznaczały pilną wiadomość, pięć – serwis informacyjny, a dziesięć – wiadomość z ostatniej chwili zarezerwowaną dla najważniejszych doniesień. Dźwięk dzwonka był dla mnie sygnałem, żeby wstać i przygotować kopię dla Pierre’a.

Hierarchę panującą wśród „dziewczyn” można było odgadnąć na podstawie odległości dzielącej nasze stanowiska pracy od gabinetu Pierre’a. Byłam najmłodsza, więc moje biurko stało najdalej, przy drzwiach. Jill Cowan, bliska przyjaciółka Fiddle, siedziała naprzeciwko mnie. Jill miała tytuł sekretarki, ale nigdy nie było jasne, komu właściwie podlega. Helen Ganss, stały element wyposażenia biura prasowego od czasów Trumana, siedziała tuż pod drzwiami Pierre’a. Chris Camp, moja szefowa, pracowała

dosłownie w jego biurze. Pod ścianą stały tam stłoczone małe szafy na dokumenty i regał z książkami. Z lewej były drzwi prowadzące do innego pomieszczenia, które dzielili Andy Hatcher i Mac Kilduff wraz ze swoimi sekretarkami: Barbarą Gamarekian i Sue Mortensen Vogelsinger.

Dwa razy dziennie Pierre zwoływał u siebie w gabinecie krótkie spotkania informacyjne, na które tłumnie przybywali dziennikarze, powodując – jak mawiał Pierre – ścisk jak w wagonie nowojorskiego metra w godzinach szczytu. W pomieszczeniu wyczuwało się wtedy olbrzymią energię, ciągły pośpiech i nieustanną próbę zapanowania nad dziesiątkami rzeczy dziejących się jednocześnie. Wszyscy zakasywali rękawy. Było to niesamowicie inspirujące miejsce pracy, ul wypełniony inteligentnymi, pomysłowymi ludźmi.

Drugiego dnia stażu dostałam awans. Barbara Gamarekian powierzyła mi opiekę nad zbiorem zdjęć z prasy. Do jej obowiązków należało między innymi wprowadzanie fotoreporterów i wyprowadzanie ich z Gabinetu Ovalnego podczas podpisywania projektów ustaw oraz identyfikowanie kongresmenów, senatorów i innych gości specjalnych uczestniczących w spotkaniach, aby opatrzeć publikowane zdjęcia odpowiednimi podpisami. Miała jednak zaległości i rozpaczliwie potrzebowała pomocy.

– Jestem tak bardzo zajęta, że nawet nie mam czasu uporządkować teczek, a straszny w nich bałagan – wyznała. – Mogłabyś się tym zająć?

Zgodziłam się bez wahania. Przynajmniej wiedziałam, jak to się robi. Pracując w redakcji „Salmagundy”, zostałam mistrzynią katalogowania i zaopatrywania w odnośniki. Teraz wiem, że Barbara kontynuowała uświęconą tradycję rządzącą wszystkimi letnimi stażami: ładnie się uśmiechasz i zwalasz na stażystów wszystkie odmózzające albo czasochłonne zadania, których nie chcesz wykonywać. Nie miałam jednak nic przeciwko temu. Uwielbiałam przeglądać zdjęcia, poznawać nazwiska

osób pozujących u boku prezydenta. Byłam zaskoczona, że tak wielka część jego dnia upływa w błysku fleszy.

Swobodna atmosfera biura prasowego, w którym wszyscy mężczyźni zdejmowali marynarki i podwijali rękawy oraz zwracano się do siebie po imieniu, zdawała się panować w całym Białym Domu, nawet przy bramach. Pierwszego dnia, kiedy Jill Cowan zabrała mnie na lunch, strażnik odnotował nasze wyjście i przypomniał sobie, że wolę być nazywana Mimi, a nie Marion. Nie było cementowych barykad zagradzających różne wejścia tak jak w dzisiejszych czasach, a samochody od razu wjeżdżały bramą przy Pennsylvania Avenue. Biały Dom i wszyscy ludzie w środku byli wtedy znacznie bardziej dostępni. Tamtego pierwszego dnia usiadłyśmy z Jill przy barze w pobliskiej kawiarni, zamówiłyśmy kanapki z pastą jajeczną i rozmawiałyśmy o wszystkim, tylko nie o polityce i rządzie. Równie dobrze mogłyśmy być turystkami przechadzającymi się wokół Kapitolu, a nie osobami, które pracują dwanaście metrów od Gabinetu Ovalnego.

Pomimo luźnej i swobodnej atmosfery mnie tego luzu brakowało. Martwiłam się, czy dobrze wykonuję swoją pracę, i przerażała mnie wizja zaprzepaszczenia szansy. W pewnej chwili podczas lunchu miałam lekki atak paniki, bo wyobraziłam sobie, że dalekopisy wypływają tony papieru, który zaściela całą podłogę w łazience Pierre'a Salingera, i że zostanę przez to zwolniona. Zjadłam ostatni kęs kanapki i przekonałam Jill, że musimy czym prędzej wracać. W końcu chciałam być takim pracownikiem, którego zaprasza się w następnym roku.

Tamten pierwszy tydzień był gorączkowy i wyczerpujący w jak najlepszym sensie tych słów. Prezydent niebawem wybierał się do Meksyku na spotkanie z prezydentem Adolfem Lópezem Mateosem i całe biuro prasowe zajmowało się logistyką – kto wejdzie w skład zespołu doradców, którzy dziennikarze pojedą i gdzie ich zakwaterować, gdzie zostanie

stworzone tymczasowe biuro prasowe i tak dalej. Nieustannie przychodzili dziennikarze i mijając mnie po drodze, kiwali głową, witając się z nową twarzą. Jill przedstawiła mnie niektórym z nich – takim ludziom jak Merriman Smith z United Press International (który później zdobył Pulitzera za artykuł o zabójstwie prezydenta) i Hugh Sidey, który pisał o Białym Domu w magazynie „Time”. Zawsze byli w zasięgu wzroku, zawsze przymawiali się o nowinki albo prosili o organizowanie wywiadów. Ulubieńcem biura był zapewne Sander Vancour z NBC, niestrudzenie czarujący i zasypujący personel pudełkami lukrowanych pączków. Dla młodej dziewczyny, która wcześniej redagowała jedynie szkolną gazetkę, ci mężczyźni byli bohaterami.

Pracownicy Białego Domu także często wpadali do biura prasowego. Pamiętam, jak jeden z nich, Wayne Hawks, który organizował transport dziennikarzy i personelu, przystanął przy moim biurku po spotkaniu w sprawie zbliżającej się podróży do Meksyku. Wiedział już, że przyjechałam z New Jersey, i powiedział mi, że podczas drugiej wojny światowej był na szkoleniu dla oficerów w Fort Monmouth niedaleko naszej farmy. Przez chwilę siedzieliśmy i rozmawialiśmy o New Jersey. Później ze zdumieniem przeczytałam o naszym spotkaniu w „Newark Evening News” w dziale zatytułowanym „Przypisy z Waszyngtonu”. Moja mama wycięła tę małą wzmiankę i rozesłała ją do wszystkich krewnych. „Mimi Beardsley ze Sleepy Hollow Road jest ozdobą biura prasowego Białego Domu pod kierunkiem Pierre’a Salingera...” – głosił podpis pod zdjęciem. Mogę jedynie przypuszczać, że Wayne Hawks wpadł na ten pomysł w ramach wielce wyrefinowanej próby zapewnienia głosów w Monmouth County, być może w wyborach w połowie kadencji albo gdy prezydent będzie się ubiegał o reelekcję.

Nie mogłam pojąć, że wszyscy – od strażników przy bramie po ludzi z biura do spraw delegacji – wydają się znać moje imię, mimo że nigdy nas sobie oficjalnie nie przedstawiono. Zupełnie jakby przyznano mi członkostwo elitarnego klubu bez konieczności przejścia procesu inicjacji. Nawet jako stażystka natychmiast poczułam się częścią zespołu. Patrząc na to z perspektywy czasu, myślę, że to najbardziej niezwykle doznanie, jakie pamiętam z tamtych pierwszych dni: poczucie przynależności.

Rozdział czwarty

Czwartego dnia w Białym Domu czułam się znacznie pewniej, wypełniając swoje obowiązki przy dalekopisach. Nie budziłam się już w nocy, martwiąc się, że przegapię dźwięk nadchodzącej depeszy albo wejść do łazienki i zastanę podłogę usłaną papierem. Tamtego przedpołudnia, tuż przed porą lunchu, kiedy przycinałam plik wiadomości, zadzwonił mój telefon. Podbiegłam do biurka i podniosłam słuchawkę.

- Masz ochotę popływać? – zapytał męski głos na drugim końcu linii.
- Kto mówi? – odpowiedziałam, mimo że głos wydawał się znajomy.
- Dave Powers.

Dave Powers był jednym z najbliższych współpracowników prezydenta. Poznaliśmy się dzień wcześniej, gdy Jill zauważyła Dave'a na korytarzu i zawołała go, żeby nas sobie przedstawić. Uśmiechnięty i tryskający dobrym humorem Dave powitał mnie jak dawno niewidzianą przyjaciółkę. Podobnie jak Wayne Hawks z biura do spraw delegacji zdawał się traktować moje przybycie z New Jersey jak fakt o ogromnym znaczeniu geopolitycznym – i wyraźnie zasugerował, że wie o mnie wszystko. Wiedział, że mam dwóch braci i dwie siostry, a nawet z właściwym sobie dowcipem oznajmił, że marna gromadka pięciorga dzieci nie kwalifikuje Beardsleyów do miana dobrej katolickiej rodziny (zignorował fakt, że tak naprawdę należeliśmy do Kościoła episkopalnego). Sam był irlandzkim katolikiem i przyznał, że jest jeszcze dalej od spełnienia oczekiwań, bo ma jedynie troje dzieci. Nasze spotkanie tylko odrobinę wykraczało poza wymianę zwyczajnych żarcików, ale Dave zawarł w nim wszystkie

elementy robiące wrażenie – schlebiające wzmianki na temat mnie i mojej rodziny, umniejszanie swojej wartości z powodu nieposiadania większej liczby dzieci, stworzenie przyjaznej, niemal poufalej atmosfery sugerującej, że mamy ze sobą coś wspólnego – oraz sprawiające, że pamięta się czyjś głos już po pierwszej rozmowie.

A teraz dzwonił, pytając, czy nie mam ochoty popływać w środku dnia w Białym Domu.

Popływać?

Podejrzewam, że moją pierwszą reakcją powinno być zakwestionowanie stosowności takiego zaproszenia, nie wspominając o tym, że było ono bardzo dziwaczne. Być może Dave znał szczegóły na temat mojego życia, ale nie znał mnie. Pływanie to coś, co się robi z przyjaciółmi i rodziną. Ludzie nie wskakują w kostiumy kąpielowe w obecności obcych, a już z pewnością nie w swoim nowym miejscu pracy.

Chyba powinnam była ostrożnie zastanowić się nad odpowiedzią, ale tego nie zrobiłam. Patrząc na to z perspektywy czasu, dochodzę do wniosku, że propozycja Dave'a wytrąciła mnie z równowagi.

– Gdzie? – zapytałam, co prawdopodobnie było szczytem moich możliwości wyrażenia zakłopotania.

Nie wiedziałam, że w Białym Domu jest basen. Dave Powers zapewnił mnie, że owszem, jest, mniej więcej sto metrów od biura prasowego.

Moja druga reakcja była bardziej adekwatna do sytuacji:

– Nie mam kostiumu.

– O to się nie martw – powiedział Dave i dodał: – Przyjdzie jeszcze paru innych pracowników. Poza tym mamy mnóstwo kostiumów kąpielowych. Na pewno znajdziesz taki, który będzie pasował. Za kilka minut wpadnę do biura prasowego i będziemy mogli pójść na basen razem.

Po tych słowach się rozłączył, jakby sprawa była przypieczętowana.

Przez kilka sekund wpatrywałam się w słuchawkę, zanim wreszcie odłożyłam ją na widełki, oszołomiona zaproszeniem. Potem spojrzałam na biurko Jill w poszukiwaniu jakiejś rady. Chciałam zapytać, czy to normalne. Czy takie rzeczy ciągle się tutaj zdarzają. Ale Jill nie było. Pomyślałam o mamie, tacie i o tym, że powinnam tworzyć listę wszystkich zadziwiających rzeczy, z jakimi się tu stykam, żeby później móc im o nich opowiedzieć. Pomyślałam o tym, ile mam szczęścia, że się tu znalazłam. Wyobraziłam sobie, jacy zdumieni będą moi rodzice, kiedy wieczorem do nich zadzwonię i opowiem, jak pływałam w Białym Domu.

Nigdy nie wykonałam tego telefonu.

Kilka minut później do biura prasowego przyszedł Dave Powers, żeby odprowadzić mnie na basen. Przywitał się serdecznie i podtrzymywał wesołą rozmowę, kiedy szliśmy krytą kolumnadą graniczącą z ogrodem różanym i prowadzącą na basen. Znowu wspomniał, że nie będę sama. Nie wydawał się w najmniejszym stopniu zakłopotany sytuacją – perspektywą pływania w środku dnia z młodą, nieznaną dziewczyną.

Oficjalnie Dave zajmował stanowisko specjalnego asystenta prezydenta, a nieoficjalnie nazywano go „pierwszym przyjacielem”. Jego znajomość z Kennedym sięgała czasów pierwszej kampanii przed wyborami do Kongresu w 1946 roku, gdy wyjątkowe umiejętności Powersa w dziedzinie kontaktów międzyludzkich pomogły bogatemu kandydatowi zyskać poparcie bostońskiej klasy robotniczej. Pojechał za Kennedym do Waszyngtonu i nie opuścił go przez trzy kadencje w Izbie Reprezentantów i jedną w Senacie, a teraz doradzał przywódcy wolnego świata. „Newsweek” nie bez podziwu nazwał go „energicznym irlandzkim krasnalem”, a on oddał swój szelmowski urok w służbę prezydentowi. Nikt

nie był bardziej lojalny w stosunku do głowy państwa i bardziej jej oddany. Powers wspominał, że kiedy po raz pierwszy chodził z Kennedym po zachodnim skrzydle, poczuł się „jak Alicja w Krainie Czarów”. Miał wrażenie, że Kennedy „mierzy trzy metry i z każdym dniem rośnie jeszcze bardziej”. Z prezydenckim błogosławieństwem Powers miał w Białym Domu wolną rękę. Mógł wszędzie wejść i wszystko powiedzieć (słynął z zuchwałości: to właśnie on, wprowadzając szacha Iranu do Gabinetu Ovalnego, poklepał władcę po ramieniu i powiedział: „Chcę, żebyś wiedział, że lubię takich szachów jak ty”). Praca Dave’a Powersa polegała przede wszystkim na uszczęśliwianiu prezydenta.

Kiedy dotarliśmy do wejścia na basen, nagle obok mnie zjawily się Fiddle i Jill. Sprawiały wrażenie weteranek tego rytuału pływania, przez co od razu się rozluźniłam. Nie widziałam Fiddle, odkąd rok wcześniej oprowadziła mnie po Białym Domu. Przyjeżdżając na staż, miałam nadzieję, że bardzo się zaprzyjaźnimy, ale była cztery lata starsza ode mnie, co wśród dziewcząt w naszym wieku równało się międzypokoleniowej przepaści.

Poszłam za dziewczynami do szatni, gdzie, tak jak obiecał Dave, na wieszakach wisiało kilkanaście kostiumów kąpielowych. Były prostymi jednocześnie strojami z bawełny w różnych rozmiarach, z bokserkami i marszczeniem na dekolcie. Zastanawiałam się, czy do kogoś należą, czy może zostawiono je tutaj jako własność publiczną oddaną do dyspozycji osób, które zapragną zażyć trochę ruchu. Fiddle i Jill nie traciły czasu na zastanawianie się. Po prostu zaczęły się rozbierać i wskoczyły w kostiumy. Ich entuzjizm był zaraźliwy, więc sięgnęłam po pierwszy kostium z brzegu. Nie pasował tak dobrze, jak bym chciała, lecz z drugiej strony nie groził też spadnięciem w chwili zderzenia z wodą.

Basen w Białym Domu, już dawno przekształcony w dzisiejsze biuro prasowe i salę konferencyjną, był idealną oazą zaprojektowaną tak, by imitować tropikalną wyspę. Ściany z trzech stron pokryte były malowidłami przedstawiającymi sceny z Saint Croix na Amerykańskich Wyspach Dziewiczych: z palmami kołyszącymi się na wietrze i pękatymi żaglówkami pływającymi po turkusowej wodzie. Malowidła były zorganizowanym przez panią Kennedy prezentem od ojca prezydenta, Josepha Kennedy'ego. Na czwartej ścianie wisiały lustra, więc pomieszczenie wydawało się ogromne, a przebywających w nim ludzi otaczało sztuczne ciepło i słońce. Idąc wzdłuż luster w stronę brzegu basenu, spojrzałam ukradkiem na swoje odbicie i poczułam przypływ ulgi. Być może nie miałam wielu krągłości, ale przynajmniej mogłam się pochwalić dobrą postawą, a długie nogi podkreślały mój wzrost i szczupłą sylwetkę.

Dave Powers też się przyłączył – w pewnym sensie. Zdjął buty, podwinął nogawki i usiadł na brzegu basenu, zanurzając stopy w wodzie. Odważnie dałam nura, spragniona orzeźwiającego plusku chłodnej wody na ciele oraz towarzystwa Fiddle i Jill, które już pływały, rozmawiając ze sobą i chichocząc. Ale woda wcale nie była orzeźwiająca: okazała się ciepła jak w wannie. Później dowiedziałam się, że na żądanie prezydenta zawsze ustawiano temperaturę na poziomie trzydziestu dwóch stopni, by koiła jego chroniczny ból pleców. Pamiętam, że kiedy pływałam w miejscu z Fiddle i Jill, pytając, czy kanapki i napoje zostawione przy basenie są dla nas, wszedł prezydent Kennedy.

Staął nad nami trzema – przystojny, opalony, w garniturze i krawacie.

– Mogę się przyłączyć? – zapytał.

Fiddle, jak zawsze pewna siebie, odpowiedziała:

– Cała przyjemność po naszej stronie, panie prezydencie.

Poszedł do szatni i kilka minut później pojawił się znowu, tym razem w ciemnych kąpielówkach. Jak na czterdziestopięciolatka był wyjątkowo wysportowany – miał płaski brzuch i muskularne ręce. Fiddle i Jill nie wydawały się ani trochę zaskoczone jego widokiem, co potwierdziło moje przypuszczenia, że to pływanie w ciągu dnia było dla nich czymś zwyczajnym, a zatem chyba nie aż tak dziwnym, jak myślałam.

Prezydent zsunął się do basenu i podpłynął do mnie.

– Mimi, prawda? – zapytał.

– Tak, proszę pana – odpowiedziałam. – Mimi Beardsley.

– I latem pracujesz w biurze prasowym, zgadza się?

– Tak, proszę pana – potwierdziłam.

– Czy Pierre dobrze cię traktuje?

– Tak, panie prezydencie. Wydaje się bardzo miły.

– Jakie zadanie ci przydzielił?

Opowiedziałam mu o gromadzeniu depech, odbieraniu telefonów i segregowaniu zdjęć z prasy.

– Mam nadzieję, że coś z tego okaże się interesujące – powiedział. – Masz jakąś dobrą kwaterę na lato?

– Tak, proszę pana. W Georgetown. Moja współlokatorka pracuje w Departamencie Stanu.

– Cóż, miło cię widzieć, Mimi – powiedział, po czym popłynął do Fiddle i Jill.

Kilka minut krążyłam w basenie, nie bardzo wiedząc, co robić, a potem podpłynęłam do krawędzi i przez chwilę gawędziłam z Dave'em. Po chwili prezydent wynurzył się z basenu, co Dave potraktował jako sygnał, że pływanie dobiegło końca. Pospiesznie skubnęłam coś z tacy z jedzeniem, gdyż wyprawa na basen zajęła mi przerwę na lunch, a później zdjęłam mokry kostium i wróciłam za biurko.

Tam, w ciasnej kwaterze biura prasowego – w zwartej grupie kobiet, które pracowały w Białym Domu od pierwszego dnia nowej administracji – zaczęło do mnie docierać, co się stało. Nagle poczułam się skrępowana, jakby wszyscy wiedzieli, gdzie byłam, i gapili się na mnie z surową dezaprobatą. Właściwie nietrudno było się domyślić, co robiłam: miałam mokre włosy i pachniałam chlorem. To, że pływałam, musiało być oczywiste, ale żadna z moich współpracowniczek nie skomentowała tego choćby słowem. Ja też nie zamierzałam poruszać tego tematu. Kto by mi uwierzył? I co by pomyślał?

Te specjalne względy raczej nie zaskarbiłyby mi sympatii koleżanek z biura. Tylko nieliczne pracowniczki Białego Domu nie oceniały swojego statusu na podstawie częstości kontaktów z prezydentem – lub choćby tego, czy prezydent znał je z imienia. Na przykład Barbara Gamarekian twierdziła, że od początku pracowała przy kampanii Kennedy’ego i była zatrudniona w Białym Domu przez półtora roku, zanim prezydent po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. Przyznała to w relacji, której zapis znajduje się w Bibliotece Prezydenckiej imienia Johna F. Kennedy’ego. „Pamiętam, że wróciłam wtedy do biura jak na różowej chmurce, mówiąc wszystkim: »On wie, jak mam na imię! On wie, jak mam na imię!«, – powiedziała. A teraz ja, letnia stażystka, stawałam na początku kolejki, przeskakując stałe członkinie personelu, które długo i ciężko pracowały przy kampanii prezydenckiej, by zdobyć wymarzone stanowisko w Białym Domu. Dlatego spuściłam głowę i siedziałam w milczeniu, wykonując swoją pracę, jakby nic się nie stało.

Moje włosy nie zdążyły jeszcze wyschnąć, kiedy znowu zadzwonił telefon. Ponownie usłyszałam głos Dave’a Powersa, który pytał, czy po

pracy, o piątej trzydzieści, miałabym ochotę wpaść na spotkanie i uczcić początek swojego stażu w Białym Domu. Nie sposób było odmówić.

– Gdzie to będzie? – zapytałam.

– Na górze – odpowiedział. – Wpadnę po ciebie.

Nie wiedziałam, co dokładnie znaczy „na górze”, ale miałam wystarczająco rozumu, by nie pytać o to koleżanek z biura prasowego – na wypadek, gdyby one nie dostały zaproszenia. Chciałam, żeby mnie lubiły, bo w przeciwnym razie czekałoby mnie bardzo długie lato.

Na początku żałowałam, że Dave nie dał mi więcej czasu, żebym mogła umyć włosy i włożyć ładniejszą sukienkę, ale uznałam, że jakoś sobie poradzę. Kiedy dzień pracy dobiegał końca, obserwowałam koleżanki z biura, chcąc zobaczyć, czy pójdą do toalety wyszczotkować włosy albo umalować usta, ale one wykonywały tylko swoje rutynowe obowiązki, nie działo się nic niezwykłego.

Kiedy przy moim biurku stanął Dave, ogarnęło mnie wielkie zakłopotanie, bo poczułam na sobie zaciekawione spojrzenia ze wszystkich stron, co prawdopodobnie nie było jedynie wytworem mojej wyobraźni.

Po raz drugi w ciągu kilku godzin poszłam za Dave’em do nieznannej mi wcześniej części Białego Domu. Kiedy szliśmy, Dave cicho nucił pod nosem. Biały Dom nie jest prostym budynkiem. To labirynt biur, dziwnych korytarzy i ogromnych przestrzeni publicznych obejmujący cztery kondygnacje nad ziemią i dwie pod jej powierzchnią. Zachodnie skrzydło, nie licząc Gabinetu Owального i sali gabinetu, jest zaskakująco klaustrofobiczne – i reprezentuje zaledwie mały ułamek całkowitej powierzchni Białego Domu. Dave poprowadził mnie krętymi korytarzami obok sali gabinetu, następnie przeszliśmy pod zachodnią kolumnadą, minęliśmy drzwi prowadzące na basen, a w końcu znowu znaleźliśmy się w budynku i przeszedłszy szerokim korytarzem, skorzystaliśmy z windy.

Kiedy drzwi windy otworzyły się na drugim piętrze, w końcu zdałam sobie sprawę, że stoję w rezydencji rodzinnej. Była wielka i elegancka: oaza spokoju w bardzo gwarnym budynku. Chciałam na chwilę przystanąć, żeby się przyjrzeć, ale Dave nie zwalniał kroku, prowadząc mnie do części zwanej zachodnim salonem. Otaczały ją regały z książkami, a wygodne kanapy i fotele stały przed ogromnym oknem w kształcie półksiężyca z widokiem na zachodnie niebo. Zastałam tam Fiddle i Jill pogrążone w rozmowie z Kennym O'Donnellem, który był sekretarzem do spraw spotkań prezydenta lojalnym wobec Kennedy'ego na równi z Dave'em Powersem. O'Donnell był pochmurnym, poważnym kontrastem dla nadwornego błazna Powersa. Prezydent ogromnie ich obu cenił, lecz z odmiennych powodów.

– Napij się daiquiri – powiedział Dave, podnosząc ze stolika do kawy oszroniony dzban i nalewając mi kieliszek.

Zawahałam się, nieczęsto piłam alkohol.

– Dzięki – powiedziałam, przyjmując kieliszek i grzecznie upijając łyżek.

– Witaj wśród personelu Białego Domu – podjął Dave, unosząc swój kieliszek.

Brzmiało to prawie tak, jakby koktajl został zorganizowany wyłącznie dla uczczenia mojego przybycia do Waszyngtonu.

– Wspaniale jest być tutaj – zdołałam wykrztusić.

Wypiłam daiquiri i poczułam się trochę bardziej odprężona, więc nie protestowałam, kiedy Dave ponownie napełnił mój kieliszek. Może i nie miałam wielkiego doświadczenia z alkoholem, ale wiedziałam, że powinnam coś zjeść. Usiadłam na krześle obok pękatych serowych przystawek na stoliku do kawy i przysłuchiwałam się temu, o czym Jill i Fiddle rozmawiały z Dave'em i Kennym. Z bardziej interesujących

ciekawostek usłyszałam wieść o tym, że pani Kennedy i jej dwoje dzieci, czteroletnia Caroline i półtoraroczny John John, wyjechali do Glen Ora, domu wynajmowanego przez Kennedych w Wirginii, gdzie pierwsza dama trzymała swoje konie.

Nagle wszyscy wstali, jakby zaczęto grać marsz *Hail to the Chief* (Chwała przywódcy), i do salonu wszedł prezydent Kennedy. Nie jestem pewna, dlaczego jego widok po raz drugi tego samego dnia mnie zaskoczył. Przecież on tam mieszkał. Ale byłam tak bardzo pochłonięta pićm daiquiri, że nawet nie przyszło mi do głowy, iż mógłby się tam zjawić.

Prezydent przywitał się z nami, zdjął marynarkę, usiadł na kanapie i oparł nogi o stół do kawy. Czułam, jak środek ciężkości w salonie natychmiast zmienia położenie. Przestaliśmy rozmawiać między sobą i lekko zwróciliśmy się w stronę prezydenta, stawiając go w centrum uwagi. Bez wątpienia o tym wiedział. Musiało go to spotykać dziesiątki razy dziennie.

Delektowałam się myślą, że zostałam włączona do zaufanego grona prezydenta w Białym Domu, do kręgu ludzi, których wybierał po to, żeby się odprężyć i odpocząć od nieustannych obowiązków dnia. To było naprawdę fascynujące. Czułam się tak, jakby ktoś dał mi medal albo jakby przyjęto mnie do najbardziej prestiżowego klubu w szkole. Poza tym czułam się jednak niezręcznie. Mimo wesołej atmosfery w salonie i wszechogarniającego prestiżu związanego z przebywaniem na drugim piętrze Białego Domu, w miejscu widywanym przez tak nielicznych ludzi, wiedziałam, że nie należę do tego grona. Nie zrobiłam nic, żeby na to zasłużyć. Nie wiedziałam, czy powinnam zostać, czy wyjść. Nie odrywałam wzroku od Fiddle i Jill, postanowiwszy, że wyjdę razem z nimi.

Nagle prezydent wstał z kanapy i podszedł do krzesła, na którym siedziałam.

– Oprowadzić cię po rezydencji, Mimi?

Zwiedzanie Białego Domu z prezydentem Stanów Zjednoczonych. Niezwykle zaproszenie. Szeroko opisywano misję pani Kennedy, która postanowiła odświeżyć przestarzałe i nijakie wnętrza Białego Domu. Sama zebrała pieniądze i namówiła bogatych darczyńców na ofiarowanie cennych dzieł sztuki i mebli, aby urządzić Biały Dom zgodnie ze swoją wizją stonowanej elegancji. Interesowałam się dekoracją wnętrza od trzynastego roku życia, kiedy dostałam w prezencie domek dla lalek. Starania pani Kennedy nie uszły mojej uwagi. Nie można było odrzucić takiego zaproszenia.

Kiedy wstałam, alkohol od razu uderzył mi do głowy. Rozejrzałam się, podchmielona, myśląc, że wyruszymy na zwiedzanie razem z całym gronem. Ale nikt inny się nie poruszył. Oczywiście, pomyślałam. Przecież ciągle tu bywają. Znają każde pomieszczenie na pamięć.

Prezydent Kennedy już wychodził z salonu, więc poszłam za nim, jakby przyciągał mnie magnes. JFK otworzył pierwsze drzwi w korytarzu, wyjaśniając, że kiedyś był to pokój gościnny, który pani Kennedy przekształciła w rodzinną jadalnię. Stojąc z prezydentem w drzwiach, próbowałam nacieszyć wzrok nowo położoną tapetą przedstawiającą sceny z rewolucji amerykańskiej. Odniosłam jednak wrażenie, że prezydent pokazywał te wnętrza wielu gościom i nie ma ochoty zwlekać. Poprowadził mnie na drugą stronę głównego korytarza i otworzył inne drzwi, odsuwając się na bok, żebym weszła do środka,

– To sypialnia pani Kennedy – powiedział.

Poczułam się dziwnie. Pomyślałam: jej sypialnia? Więc gdzie śpi on? Pokój był piękny, urządzony w barwach błękitu, delikatnego i pudrowego, z oknami od podłogi do sufitu wychodzącymi na południowy trawnik. Łóżko z udrapowanym baldachimem tak naprawdę składało się z dwóch

części: materac prezydenta był twardy z uwagi na jego problemy z kręgosłupem, a materac pierwszej damy bardziej miękki. Przed kominkiem można było usiąść na małej białej sofie. Obydwoje patrzyliśmy przez okno na blednące czerwcowe słońce.

– Piękne światło, prawda? – powiedział.

Przytaknęłam. Pokazał mi osobiste pamiątki zgromadzone w pokoju: portret Caroline, popiersie z terakoty przedstawiające małego chłopca.

Zauważyłam, że prezydent coraz bardziej się do mnie przysuwa. Poczułam jego oddech na karku. Położył mi dłoń na ramieniu.

– To bardzo prywatny pokój – powiedział.

Już po chwili stał naprzeciwko mnie z twarzą zbliżoną do mojej i patrzył mi prosto w oczy. Położył ręce na moich ramionach i poprowadził mnie w stronę łóżka. Wylądowałam na łokciach, zastygając w pół drogi między podźwignięciem się do pozycji siedzącej a położeniem się na plecach. Powoli rozpiął górę mojej szmizjerki i dotknął moich piersi. Potem sięgnął między moje nogi i zaczął mi zdejmować majtki. Nie mogłam uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. A jeszcze bardziej nie mogłam uwierzyć w to, co po chwili zrobiłam. Dokończyłam rozpinąć szmizjerkę i pozwoliłam, żeby zsunęła mi się z ramion. On spuścił spodnie i już po chwili był na mnie.

Przerwał na moment, kiedy poczuł opór.

– Jeszcze nigdy tego nie robiłaś? – zapytał.

– Nie – powiedziałam.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak – potwierdziłam.

A on zaczął znowu, tym razem delikatniej.

– Wszystko w porządku? – powtarzał.

Kiwałam głową, wsparta na łokciach.

Kiedy skończył i podciągnął spodnie, uśmiechnął się do mnie i wskazał drzwi w rogu.

– Jeśli chcesz, możesz skorzystać z łazienki – powiedział.

Podniosłam majtki z podłogi i sukienkę z łóżka. Nadal miałam na sobie stanik, ale poza tym byłam naga, kiedy szłam przez pokój do łazienki.

Gdy wróciłam, nie było go już w pokoju.

– Jestem tutaj – zawołał z zachodniego salonu, w którym rozpoczął się nasz wieczór. Poszłam do niego. Siedział na kanapie. Rozejrzałam się w poszukiwaniu pozostałych, ale rezydencja była pusta. Zostaliśmy tylko we dwoje.

Byłam w szoku. Za to on zachowywał się bardzo rzeczowo, jak gdyby to, co się przed chwilą stało, było najbardziej naturalną rzeczą na świecie.

– Chciałabyś coś zjeść? – zapytał. – Mamy tu kuchnię.

– Nie, dziękuję, panie prezydencie – odpowiedziałam.

Tak naprawdę chciałam stamtąd wyjść i widocznie to poczuł. Zapytał, gdzie mieszkam, zadzwonił do kogoś, a potem wyjaśnił, że samochód odbierze mnie z południowego portyku. Odprowadził mnie do prywatnej windy.

– Dobranoc, Mimi – pożegnał się, kiedy drzwi się otworzyły. – Mam nadzieję, że wszystko w porządku.

– W porządku, panie prezydencie.

Na dole strażnik wskazał mi drogę do południowego portyku, gdzie, jak obiecał prezydent, czekał samochód, który zawiózł mnie do domu.

Rozdział piąty

Był jeszcze wczesny wieczór, trzeci czwartek czerwca 1962 roku, kilka dni przed przesileniem letnim, najdłuższym dniem w roku. Przez tylną szybę limuzyny widziałam Biały Dom, w którym odbijały się złote odcienie zachodzącego słońca, i dostrzegłam światła w oknach pokoi w rezydencji na drugim piętrze. Kiedy wyjechaliśmy bramą, pomyślałam: „Przed chwilą tam byłam. Z prezydentem”.

Nie byłam smutna, dumna ani zadowolona z siebie. Odwracając się, chciałam zyskać pewność, że to, co się stało, wydarzyło się naprawdę i nie jest snem.

To nie był sen.

Szybko odwróciłam się z powrotem i wbiłam wzrok prosto przed siebie, podczas gdy kierowca manewrował ulicami Waszyngtonu. Nie zwracałam uwagi na budynki rządowe i turystyczne atrakcje, które mijaliśmy po drodze, byłam zagubiona we własnych myślach i próbowałam zrozumieć wydarzenia ostatnich dwóch godzin, poskładać je tak, żeby chwile spędzone z prezydentem mogły się wydać... no właśnie: jakie? Nieuniknione? Przyjemne? Niezwykłe? Niepojęte?

W wieku dziewiętnastu lat nie potrafiłam ułożyć z tego wydarzenia sensownej relacji. Dlatego skupiałam się na najbardziej oczywistej prawdzie: przestałam być dziewicą. Te słowa ciągle odbijały się echem w mojej głowie: „Przestałam być dziewicą”. Zawsze sobie wyobrażałam, że po raz pierwszy zrobię to z ukochanym mężczyzną w noc poślubną. Nie „oszczędzałam się” z powodów religijnych ani moralnych. Takie

nastawienie było zwyczajne – i powszechnie akceptowane – wśród dziewcząt w moim wieku. A ja byłam najzwyczajniejszą dziewczyną na świecie.

Za to okoliczności towarzyszące mojemu „pierwszemu razowi” trudno było uznać za zwyczajne. Nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałam, że zrobię to ze starszym mężczyzną – a co dopiero z kimś z pokolenia moich rodziców. A co dopiero z prezydentem Stanów Zjednoczonych!

Jak to możliwe, że znalazłam się w takiej sytuacji?

Odtwarzałam w myślach scenę z rezydencji, wspominając śmiech w salonie i szum w głowie po wypiciu daiquiri. Żaden element nie sugerował atmosfery intrygi o podłożu seksualnym ani jakiegokolwiek zagrożenia. Analizując to wszystko, starałam się określić rolę Fiddle i Jill, ale obie pozostawały na marginesie, poza obrazem. Próbowałam umiejscowić w tym Dave’a Powersa, ale on też uparcie trzymał się na uboczu. Jedynym trwałym obrazem był ten z prezydentem bez marynarki opierającym nogi na stoliku do kawy. JFK wydawał się niesamowicie przystojny, władczyi urzekający.

Właśnie takie myśli krążyły mi po głowie, kiedy siedziałam na tylnym siedzeniu limuzyny: oszołomiła mnie obecność prezydenta.

Wendy Gilmore nie było w domu, kiedy samochód zatrzymał się przed moimi drzwiami. Poczułam lekką ulgę. Nie chciałam patrzeć jej w twarz, bojąc się, że zapyta, jak mi minął dzień. Nie, nie bałam się, że mogłabym wybuchnąć płaczem – po prostu byłam wyczerpana i chciałam zostać sama. Poszłam prosto na górę, do swojego pokoju, i spojrzałam na własne odbicie w lustrze. Nic się nie zmieniło. Nie przeobraziłam się z „dziewczyny” w „kobietę” w ciągu jednego wieczoru. Nadal czułam na sobie zapach prezydenckiej wody kolońskiej 4711, więc weszłam pod prysznic. Kiedy

obmywała mnie gorąca woda i spojrzałam w dół na swoje ciało, pomyślałam, że inne kobiety z mojego pokolenia, odgradzane od wiedzy o własnym ciele, zadają sobie w takiej sytuacji pytanie: „Więc to jest seks?”. Nie miałam pojęcia, czy było mi dobrze, źle, czy obojętnie. Nie wiedziałam, czy należy to robić powoli, czy szybko. Nie miałam zdania na temat tego, czy było „czule” albo „znacząco”. Nie miałam z czym tego porównać.

Wycierając się ręcznikiem, nadal analizowałam swoje działania z tamtego dnia. Zastanawiałam się, jaki impuls kazał Dave’owi Powersowi zaproponować mi pływanie w porze lunchu. Czy zaplanował to wszystko, żeby dać prezydentowi szansę obejrzenia mnie? I co z Fiddle i Jill? Czy one też miały w tym jakiś udział?

Wtedy nie odważyłam się jeszcze podjąć próby odpowiedzenia sobie na te pytania.

Przez lata zmagalam się w innymi pytaniami dotyczącymi tamtego dnia. Zastanawiałam się, dlaczego małe grono wyszło z salonu, kiedy prezydent zabrał mnie na zwiedzanie rezydencji, i czy tamci ludzie wiedzieli, co się stanie w sypialni. Podejrzewam, że tak. Zastanawiałam się też nad niespodziewaną ofertą stażu w Białym Domu – czy dostałam ją dlatego, że prezydent miał słabość do dziewczyn z Farmington? Przecież jedną z nich wziął za żonę, a w całym Białym Domu pracowało wiele absolwentek z Farmington. Prawda wygląda tak, że nigdy się tego nie dowiem.

Nie zastanawiałam się natomiast nad tym, czy w jakiś sposób go sprowokowałam lub uwiodłam. Już na pierwszy rzut oka taka myśl wydawała się śmieszna. Moje umiejętności jako uwodzicielki były tak znikome, że myśl, iż mogłaby nas połączyć jakaś intymna relacja, dotarła

do mnie dopiero, gdy ta relacja już powstała. Jak wspomniałam, byłam wychowana pod kloszem i niezwykle naiwna. Nie mam jednak żadnych wątpliwości, że tam, w rezydencji, stałam się obiektem jego umiejętności i siły perswazji. Był mistrzem w stawianiu na swoim – i był do tego przyzwyczajony. Posiadał godny wielkiego polityka dar sprawiania, by przebywający w jego towarzystwie człowiek czuł się jak najważniejsza i najbardziej interesująca osoba na świecie. To przecież on zaledwie kilka miesięcy temu zahipnotyzował cały naród swoim stylem bycia i urokiem, błyskotliwością i wigorem.

To wszystko każe mi się teraz zastanowić, czy mogłam mu się oprzeć. Pytanie jest istotne, a moja szczerą odpowiedź brzmi: „Nie”. Gdy znaleźliśmy się w sypialni, manewrował mną tak zręcznie i niespodziewanie, z takim autorytetem i siłą, że wątpię, abym w jakikolwiek sposób mogła mu popsuć szyki – chyba że zaczęłabym krzyczeć.

Nie mówię tego po to, by usprawiedliwić swoją bierność w tamtej chwili – bo szczerze mówiąc, nie sędzę, żebym potrzebowała usprawiedliwienia. Nie wstydzę się tego, co zrobiłam. Po prostu usiłuję to zrozumieć – teraz, pięćdziesiąt lat później.

Nie próbuję też szukać usprawiedliwienia dla prezydenta Kennedy’ego. Bez wątpienia potrafił każdego oczarować, był uwodzicielem, nienasyconym kobieciarzem, o czym w końcu wszyscy się dowiedzieliśmy, każdy w swoim czasie, niektórzy wcześniej niż inni.

Dzieląc się szczegółami tamtego wieczoru, zawsze spotykam się z identycznymi reakcjami na zachowanie prezydenta Kennedy’ego. Na początku przybierają one formę konsternacji związanej ze złowrogimi zamiarami prezydenta. „Przecież musiałaś o tym wiedzieć, Mimi – słyszę. – Wrobił cię! Zachował się jak drapieżnik!” Potem, kiedy zaprzeczam,

reakcja zmienia się w rozczarowanie – mną. Inni podążają krok dalej. Nie wstydzą się wypowiedzieć słowa na G – gwałt – by opisać to, co mnie spotkało. Ja nie widzę tego w ten sposób.

Tamtego wieczoru, pośród szoku i zakłopotania, po raz pierwszy poczułam dreszcz towarzyszący byciu pożądaną. A fakt, że pożył mnie najślawniejszy i najpotężniejszy mężczyzna w Ameryce, tylko wzmacniał moje uczucia – aż do poziomu, na którym żaden opór nie wchodził w rachubę. Właśnie dlatego nie odmówiłam prezydentowi. To najlepsza odpowiedź, jakiej potrafię udzielić.

Była taka chwila, tuż po tym jak prezydent zdał sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie uprawiał seksu i odczuwam pewien dyskomfort, gdy stał się czulszy i troskliwszy, bardziej skupiony na mnie, i naprawdę poczułam z nim pewną bliskość. Nie nazwałabym tego, co zaszło tamtego wieczoru, uprawianiem miłości. Ale z drugiej strony nie mogę powiedzieć, że odbyło się to bez mojego przyzwolenia.

Rozdział szósty

Nazajutrz weszłam do Białego Domu, próbując zachowywać się jak gdyby nic, jakbym nie miała absolutnie żadnych zmartwień. Tylko tak byłam w stanie zamaskować głębokie uczucie przerażenia, że wszyscy w biurze prasowym domyślą się, co zaszło poprzedniego wieczoru w rezydencji. Obawiałam się zwłaszcza spotkania z Fiddle i Jill. Co sobie o mnie pomyślą? Jak dużo wiedzą? Były wesołymi i beztruskimi młodymi kobietami, które w towarzystwie prezydenta czuły się niezwykle swobodnie – i *vice versa*. Czy uznają mnie za intruza, który przekroczył granicę? A może powitają mnie znaczącymi uśmiezkami? Nie byłam pewna, co byłoby gorsze: ich uraza czy aprobata.

Okazało się, że mój strach jest nieuzasadniony. Gdy punktualnie o dziewiątej weszłam do biura, wszystko wyglądało normalnie i leżało na swoim miejscu. Nie zauważyłam żadnych porozumiewawczych spojrzeń. Dwie koleżanki, które przyszły kilka minut przede mną, siedziały już za biurkami i zdejmowały pokrowce z maszyn do pisania. Przywitały się ze mną i natychmiast wróciły do pracy. Pierre Salinger nie był obecny w swoim gabinecie. Cała scena wydawała się dziwnie, niepokojąco spokojna, co uzmysłowiło mi, że mamy piątek i jest lato – a ludzie mają inne sprawy na głowie oprócz ślęczenia za biurkiem. Generalnie większość personelu Białego Domu pracowała od dziewiątej do piątej – co z dzisiejszej perspektywy wydaje się dziwne. Wszyscy zjawiali się punktualnie i jeśli nie było niczego pilnego, wychodzili o przyzwoitej porze, przed zachodem słońca. Choć każdy, kogo widywałam w zachodnim

skrzydle, ciężko pracował, a biura tętniły energią i ożywionymi rozmowami, daleko temu było do wszechogarniającego chaosu, który widywałam później w takich programach telewizyjnych jak *The West Wing* (Zachodnie skrzydło), gdzie pracownicy harowali po godzinach i zamiast chodzić korytarzami, pędzili po nich, kłócąc się o liczenie głosów w Kongresie albo o jakieś złowieszcze dane przedstawione przez rządową agencję Bureau of Labor Statistics. Biały Dom za czasów JFK był ekscytującym miejscem, ale w żadnym razie nie można go było uznać za siedlisko emocji na hollywoodzkim poziomie. Nie w tamtych latach.

To wszystko przypomina mi, jak mało znaczyłam w ogólnym porządku rzeczy. Byłam wakacyjną stażystką, ledwie zauważanym przez otoczenie cieniem przycupniętym w kącie, spinającym depecze i odbierającym telefony. Wszelkie obawy o to, że moje spotkanie z prezydentem stanie się przedmiotem plotek w pracy, istniały jedynie w mojej głowie – bo w cudzych nie zajmowałam żadnego miejsca.

Podobnie jak w głowie prezydenta, rzecz jasna.

Mniej więcej tydzień wcześniej JFK ulokował swojego brata Teda na swoim dawnym miejscu senatora z Massachusetts. W lutym Ted skończył trzydzieści lat, osiągając minimalny wiek senatorów w Stanach Zjednoczonych, i już wkrótce miał stanąć do zacieklej walki przeciwko stanowemu ministrowi sprawiedliwości z Massachusetts Edwardowi McCormackowi, który także miał mocne koneksje w Waszyngtonie: jego wuj John McCormack był nowym przewodniczącym Izby Reprezentantów. Kampania Teda była prowadzona z Białego Domu i pochłaniała sporo uwagi prezydenta. Jednocześnie JFK próbował wytyczyć nową granicę w kwestii praw obywatelskich, odpierając naciski nakłaniające go do podpisania dekretu prezydenckiego zakazującego dyskryminacji rasowej i do wprowadzenia krajowej ustawy o prawie wyborczym. Za jedno

z najważniejszych zadań swojej administracji uznał opiekę zdrowotną nad Amerykanami w wieku ponad sześćdziesięciu pięciu lat. Jego szandarowy program zwany Medicare miał zostać poddany pod trzytygodniową intensywną dyskusję w Senacie, zanim ostatecznie odrzucono go w głosowaniu pięćdziesięcioma dwoma głosami przy czterdziestu ośmiu głosach poparcia. Poza tym jak zwykle skupiano się na pobudzeniu gospodarczym, uniknięciu recesji, zbilansowaniu budżetu, kontroli inflacji i zapewnieniu amerykańskich biznesmenów, że prezydent działa na ich korzyść. W dniu czterdziestych piątych urodzin JFK Indeks Dow Jones zaliczył rekordowy spadek, co zainspirowało prasę biznesową do nazwania go „krachem Kennedy’ego”.

Krótko mówiąc, na początku lata 1962 roku było dość wiele niecierpiących zwłoki spraw, które zaprzętały uwagę prezydenta. Nie miałam złudzeń: nie byłam jedną z nich.

Tamtego piątkowego ranka usiadłam za biurkiem i pochłonęły mnie bieżące zadania. Kiedy przypadkiem usłyszałam, jak jedna z moich współpracowniczek mówi, że prezydent jedzie na weekend do pierwszej damy w Glen Ora, odetchnęłam z ulgą.

Pamiętam tamten weekend bardziej ze względu na to, czego nie robiłam, niż na to, co robiłam.

Nie zadzwoniłam do rodziców.

Nie zadzwoniłam do starszej siostry.

Nie spotkałam się z przyjaciółmi.

Nie rozmawiałam z Wendy, która – dzięki Bogu – wyjechała na weekend.

Co wcale nie znaczy, że przez cały weekend ukrywałam się i użalałam nad sobą. Kiedy czuję niepokój, zabieram się do organizowania. Dlatego poświęciłam weekend na pranie, sprzątanie w kuchni, mycie podłogi,

szorowanie wanny i porządku w lodówce. Poszłam na zakupy, żeby zdobyć kilka przedmiotów do mojego maleńkiego, spartańskiego pokoiku. Kilka razy wybrałam się na samotny spacer po Georgetown, zatracając się w labiryncie pięknych uliczek.

Mój niepokój osiągnął szczyt w niedzielę późnym wieczorem, kiedy przygotowywałam ubrania na następny dzień. Stojąc nad łóżkiem i rozważając dostępne możliwości, nagle uświadomiłam sobie, że nie mam pojęcia, czego się spodziewać po tej pracy. Myślałam, że przyjechałam do Białego Domu, żeby się uczyć, spotykać z pierwszoligowymi dziennikarzami. I pierwsze trzy dni w biurze prasowym spełniły te oczekiwania. Ale wydarzenia czwartkowego wieczoru na zawsze wszystko zmieniły. Byłam zdezorientowana. Nie potrafiłam rozgryźć tego miejsca, pracujących w nim ludzi i własnej roli w tym wszystkim. Tamtego niedzielnego wieczoru przez krótką chwilę czułam, że nie chcę wracać do Białego Domu.

To uczucie zniknęło jednak równie szybko, jak się pojawiło. Powiedziałam sobie, że muszę być dzielna, a potem poszłam spać.

Drugi tydzień w Białym Domu rozpoczął się dość spokojnie. Od czasu spotkania z prezydentem nie widziałam jeszcze Fiddle ani Jill i nie miałam żadnych wiadomości od Dave'a Powersa. Rano, kiedy siedziałam ze spuszczoną głową i wykonywałam swoje obowiązki, usłyszałam przypadkiem, że prezydent wrócił z Glen Ora, a pani Kennedy została w Wirginii. Na sam dźwięk jego nazwiska poczułam się jak rażona prądem. Siedziałam przy biurku sparaliżowana, ze wzrokiem skupionym na telefonie. Co będzie, jeśli znowu zadzwoni Dave? Jak sobie z tym poradzę? Co powiem?

Teraz, pięćdziesiąt lat później, dziwię się, że targały mną takie wątpliwości, że od razu nie zdecydowałam, co powiem, jeśli Dave zaproponuje następne popołudniowe pływanie albo drinka w rezydencji. Szczerze mówiąc, nie umiałam zdecydować, co robić. Nie byłam w stanie niczego postanowić. Nie czułam odrazy ani przerażenia po tym, co się stało, nie czułam się skrzywdzona. Byłam za to bardzo zdezorientowana. Prawdopodobnie najtrafniejszym określeniem mojego ówczesnego stanu umysłu było „zafascynowanie”. Wyróżnienie przez prezydenta sprawiło, że poczułam się kimś wyjątkowym, a nie byłam przyzwyczajona do takiego uczucia. Rozgrywała się przede mną historia – ze mną w roli głównej – a ja szukałam odpowiedzi na uniwersalne pytanie: co teraz będzie?

Modliłam się, żeby telefon nie zadzwonił.

Ale zadzwonił. W słuchawce odezwał się głos Dave’a Powersa.

– Chciałabyś popływać w porze lunchu? – zapytał.

Uważam, że każda historia życia ma przynajmniej jeden punkt zwrotny: centralne, energetyzujące zdarzenie dające początek innym zdarzeniom. Gdyby ktoś mnie zapytał, co było takim punktem w moim życiu, zanim zaczęłam pisać tę książkę, wymieniałabym narodziny moich córek – bo te dwa wydarzenia przyniosły mi mnóstwo radości. Teraz jednak rozumiem, że takim punktem zwrotnym wcale nie musi być coś, co wydaje się najweselsze lub najbardziej zapada w pamięć. Często jest nim chwila, która okazuje się najbardziej brzemienne w skutki.

Teraz już wiem, że moim osobistym punktem zwrotnym był właśnie tamten telefon Dave’a Powersa, który trwał zaledwie piętnaście sekund – bo gdybym odmówiła, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej.

Ale nie odmówiłam.

W tamtym czasie nie znałam jeszcze Dave'a ani prezydenta wystarczająco dobrze, by docenić fakt, że mam możliwość wyboru – że mogę odrzucić zaproszenie i wszystko, co ono ze sobą niesie, nie ponosząc żadnych konsekwencji. Dave nie poczułby się rozdrażniony tym, że stażystka odmówiła popołudniowego pływania z jego szefem, i nie chciałby się za to mścić. Później zrozumiałam, że prezydent Kennedy w ogóle nie przejąłby się moją nieobecnością na basenie. Może przez chwilę byłby zawiedziony albo zaskoczony, ale szybko by o tym zapomniał. Nie ukarałby mnie za tę decyzję. Był miłym, życzliwym człowiekiem uwielbianym przez wszystkich swoich pracowników. W kontaktach z ludźmi wykazywał prawdziwy wdzięk. Nie potrafiłby powiedzieć Dave'owi Powersowi, żeby jakoś mnie ukarał*****. Potrafił być ostry i twardy, ale zachowywał takie oznaki władzy dla ludzi, którzy zagrażali jego prezydenturze albo programowi politycznemu, a nie dla swoich pracowników. Ja nie byłam dla niego żadnym zagrożeniem.

Liczy się jednak to, co myślałam wtedy. A wtedy byłam przekonana, że jeśli odmówię, moje marzenie o pracy na pełny etat w Białym Domu na zawsze pryśnie. Że już nigdy nie zostanę zaproszona do wąskiego prezydenckiego grona. Że już nigdy nie doznam oszałamiającego uczucia, które towarzyszy przebywaniu w jednym pokoju z prezydentem.

Więc choć teraz się krzywię, rozumiem, dlaczego tamta dziesiętnastoletnia dziewczyna przyjęła zaproszenie Dave'a Powersa. Po raz pierwszy w życiu była zdana tylko na siebie, z dala od rodziców, rodzeństwa, domu i szkoły. Ponowne zaproszenie jej schlebiało. Postanowiła dobrze się bawić i nie zważać na konsekwencje.

Dlatego wstałam zza biurka i poszłam na basen.

Fiddle i Jill były już w wodzie i pływały wokół prezydenta. On unosił się na plecach, pozwalając ciepłej wodzie czynić cuda, i żartował z Fiddle

i Jill. Prawie nie zwrócił uwagi na moje przyjście, w żaden sposób nie nawiązując do tego, co między nami zaszło zaledwie kilka dni wcześniej. Nie potrafiłam spojrzeć mu w oczy. Ale przecież stałam nad basenem w kostiumie kąpielowym, prawda? Czego się spodziewałam? Weszłam do wody i podpłynęłam do grupki. Prezydent odwrócił się w moją stronę i wydawał się szczerze uradowany, że mnie widzi, ale trzymał się banalnej rozmowy. Zapytał, czy miałam przyjemny weekend, czy podoba mi się praca – nie mówił nic bardziej interesującego. Jeśli miał jakieś poczucie winy albo wyrzuty sumienia z powodu naszego poprzedniego spotkania, nie okazywał tego.

Patrząc na to z perspektywy czasu, widzę, że postąpił sprytnie – i bez wątpienia instyktownie, jak osoba naturalnie nastrojona na współgranie z innymi ludźmi. Stwarzał na basenie atmosferę normalności i powoli zaczęłam się odprężyć. Prezydent nie dotknął mnie, nie traktował inaczej i nie robił niczego niestosownego, co w pewnym sensie podniosło mnie na duchu. Może nasze poprzednie spotkanie było jednorazowym zdarzeniem, które nie miało się więcej powtórzyć. Nie jestem pewna, dlaczego tak myślałam, bo chyba nie mogę powiedzieć, że nie chciałam, aby to się powtórzyło. Tak naprawdę oszukiwałam samą siebie, zachowując się jak dziewczyna, która odrzuca zaloty chłopaka, ale narzeka jeszcze głośniej, kiedy on przestaje się zalecać. Dlatego kiedy po południu Dave zadzwonił jeszcze raz i poprosił, żebym po pracy wpadła do rezydencji, zgodziłam się. Zakładałam, że Fiddle i Jill też tam będą.

Gdy jednak Dave przyprowadził mnie na górę, w salonie było pusto. Na stoliku do kawy stał ten sam dzbanek z daiquiri tuż obok tej samej patery z serowymi przekąskami, a kilka minut później zjawił się prezydent. Żartował z Dave'em, a ja miałam nadzieję, że za chwilę przyjdzie reszta

towarzystwa. Kiedy Dave wstał, żeby wyjść, wpadłam w panikę i też wstałam, ale prezydent mnie zatrzymał.

– Zostań na kolację, Mimi – powiedział. – Personel kuchenny zostawia jedzenie w lodówce.

Zamarłam.

– I napij się jeszcze daiquiri – dodał.

Wkrótce potem zaprowadził mnie do pokoju, którego wcześniej nie widziałam. Okazało się, że to jego sypialnia.

– Masz ochotę się wykąpać? – zapytał, pokazując mi łazienkę. – Możesz zamknąć drzwi.

Byłam tak bardzo zdenerwowana, że miła ciepła kąpiel wydała mi się dobrym sposobem na odprężenie.

– Spotkamy się w mojej sypialni – powiedział i zostawił mnie samą.

Tak rozpoczął się nasz romans.

Prezydencki harmonogram dnia był napięty i drobiazgowo zaplanowany, ale JFK musiał wygospodarować czas, aby przynajmniej raz dziennie zadbać o bolące plecy. Stał się przez to niewolnikiem własnych przyzwyczajzeń. Pływanie w środku dnia w podgrzanej wodzie basenu było nienaruszalnym elementem jego codziennej rutyny, więc stało się także częścią mojej. Pływałam z prezydentem około południa albo pod koniec dnia pracy, a potem pędziłam z powrotem za biurko i czekałam na telefon, żeby wieczorem pójść na górę. Czynnikiem decydującym o tych telefonach była oczywiście obecność – a raczej nieobecność – pani Kennedy w Białym Domu.

Pod koniec czerwca 1962 roku, po powrocie prezydenta i pierwszej damy z wizyty państwowej w Meksyku – przez tydzień nazywaliśmy go

„El P”, po tym jak obywatele Meksyku wiwatowali, wołając do niego: „El Presidente” – pani Kennedy wyruszyła w długą podróż, najpierw do Hyannis Port z dziećmi, a potem do Włoch na większość sierpnia. Spędzając ogromną część tamtego lata samotnie w Białym Domu, prezydent wzywał mnie co najmniej raz, a często dwa razy w tygodniu.

Po tamtym pierwszym razie nigdy więcej nie wchodziliśmy do sypialni pani Kennedy. Korzystaliśmy z sypialni prezydenta, która nie była aż tak ładna, ale miała urocze zabytkowe łóżce z czterema kolumnami i wzorzystym niebieskim baldachimem, a przed kominkiem, w którym można było rozpalić ogień, stały dwa niebieskie krzesła. Wokół leżały porozrzucane stosy książek, gazet i magazynów.

Spędzaliśmy ze sobą coraz więcej czasu. Poczucie absurdalności naszego związku i moje skrępowanie stopniowo słabły. Prezydent wyjątkowo sprawnie rozładowywał wszelką niezręczność związaną z dzielącą nas potężną różnicą statusu, otwarcie nawiązując do tego, że jestem studentką – i trochę się z tego nabijając.

– Co robiłyście zamknięte w tej szkole z internatem? – pytał często.

Oczywiście oczekiwał skandalizującej odpowiedzi, ale naprawdę nie było wiele do opowiadania.

– Nic – odpowiadałam szczerze.

Nie chciał przyjąć takiej odpowiedzi. Jakaś część prezydenta pozostała nastolatkiem z Choate Rosemary Hall i być może przypominałam mu o znacznie prostszym, beztroskim okresie jego życia. Kiedy byliśmy razem, zawsze wydawał się dość chłopięcy i zrelaksowany. Z upływem czasu poświęcał mi także więcej uwagi i był większym dżentelmenem niż podczas naszego pierwszego spotkania. Z jego sposobu bycia zniknęła wszelka gwałtowność. Tamtego lata w relacjach ze mną prezydent był uwodzicielski. Czasami był wesoły. Czasami zachowywał się tak, jakby

miał mnóstwo wolnego czasu. Innym razem nie był w nastroju do zwlekania. Nasz erotyczny związek był urozmaicony i zabawny.

Prezydent Kennedy był hedonistą. Niesamowicie duża część naszych wspólnych wieczorów upływała nam na kąpielach w wannie. Zmieniał koszule nawet sześć razy w ciągu dnia, bo nie znosił potu i brudu. Tamtego pierwszego lata przemieniliśmy elegancką łazienkę przy jego sypialni – z grubymi białymi ręcznikami, luksusowymi mydłami i puchatymi białymi szlafrokami ozdobionymi wypukłym monogramem prezydenta – w swoje prywatne minispa. Jediną fałszywą nutą były tam gumowe kacuszki, które pojawiły się jesienią, mniej więcej w okresie, w którym satyryczny album z nagraniami Vaughna Meadera *The First Family* (Pierwsza rodzina) trafił na szczyt krajowej listy bestsellerów*****. Najwidoczniej po tym, jak w jednym ze skeczy Meader kazał prezydentowi wymieniać, które zabawki należą do Caroline, a które do Johna, a następnie zawołać: „Gumowa kacuszka jest moja!”, przyjaciel przysłał JFK stadko żółtych gumowych kacuszek, które natychmiast weszły na stałe do wyposażenia łazienki, zajmując miejsce na brzegu wanny. Za każdym razem, kiedy prezydent je widział, od razu dochodziła do głosu jego radosna natura. Między innymi na tym polegał jego urok: był poważnym, wyrafinowanym mężczyzną pełniącym nadzwyczajne obowiązki, a mimo to chętnie się wygłupiał, żartując z samego siebie. Była to cecha, której nie sposób się oprzeć. Nadaliśmy kacuszkom imiona członków jego rodziny, wymyślaliśmy różne historie na ich temat i często urządzaliśmy im wyścigi z jednego końca wanny na drugi. Czterdzieści pięć lat później, kiedy mój sekret wyszedł na jaw, opowiedziałam o tych kacuszkach przyjaciółce. „Nie miałaś romansu z prezydentem – podsumowała. – To była wspólna zabawa”.

Po kąpielach jedliśmy lekki posiłek – zazwyczaj zimnego kurczaka, koktajl z krewetek albo kanapki z pieczoną wołowiną, w zależności od tego, co personel zostawił w lodówce albo na stoliku na kółkach. Nie przypominam sobie, byśmy kiedykolwiek zasiedli w rezydencji do ciepłego posiłku. Z oczywistych powodów prezydent prosił pracowników, aby zostawili mu coś do jedzenia i picia, a potem dawał im wolny wieczór. Najwidoczniej uważał jednak, że w prywatnych sprawach może ufać Dave’owi Powersowi, Kenny’emu O’Donnellowi i swojemu służącemu George’owi Thomasowi, bo wszyscy trzej mieli swobodny wstęp do rezydencji o każdej porze. Agenci Secret Service zostawali zazwyczaj na dole i rzadko zapuszczali się na drugie piętro.

Całą rezydencję mieliśmy tylko dla siebie, ale rzadko wychodziliśmy poza pokój prezydenta i kuchnię. JFK nauczył mnie przyrządzać jajecznicę na swój ulubiony sposób, powoli mieszając jajka w podwójnym garnku.

W którymś momencie wieczoru nastawiał gramofon wbudowany w ścianę w przejściu łączącym jego pokój z sypialnią pani Kennedy. Uwielbiał muzykę pop, zwłaszcza Tony’ego Bennetta i Franka Sinatrę. Nie była to muzyka w moim guście. Wolałam piosenki o dziewczynach chorych z miłości, takie jak *I Will Follow Him* Little Peggy March i *Will You Love Me Tomorrow* The Shirelles. Chyba jedynym miejscem, w którym nasze muzyczne gusta się spotykały, był utwór *I Believe in You* z musicalu Franka Loessera *How to Succeed in Business Without Really Trying*. Prezydent wyjmował płytę z oryginalnym wykonaniem i nastawiał wspaniałą melodię z drugiego aktu tego popularnego przedstawienia*****. Głos Roberta Morse’a nucący: „*You have the cool, clear eyes of a seeker of wisdom and truth*” (Masz chłodne, jasne oczy poszukiwacza mądrości i prawdy), zdawał się pobudzać jakiś ośrodek przyjemności głęboko w jego mózgu. Tak

bardzo lubił tę piosenkę, że nauczyłam się słów, żeby móc śpiewać razem z Morse'em.

Czasami, jeśli zrobiło się za późno, zostawałam na noc z prezydentem, co dzisiaj wydaje mi się niepojęte, biorąc pod uwagę obecną dociekliwość mediów. Wtedy jednak było to całkowicie naturalne.

– Rób, jak chcesz – mówił do mnie prezydent. – Możesz wrócić do domu albo zostać tutaj.

Kiedy zostawałam, pożyczał mi jedną ze swoich miękkich koszul do spania z niebieskiej bawełny. Czasami rano po przebudzeniu widziałam, jak prezydent je śniadanie w łóżku, czytając jedną z wielu gazet dostarczanych codziennie do rezydencji. Potem brał kąpiel i jednocześnie się golił, żeby zaoszczędzić na czasie, ubierał się, a między dziewiątą a dziesiątą trzydzieści wychodził do Gabinetu Owalnego.

Nigdy nie miałam poczucia, że powinnam się wymknąć z rezydencji wcześniej rano, zanim przybędzie służba. Przeciwnie, czułam się swobodnie, przebywając tam zarówno z prezydentem, jak i sama. Agenci Secret Service wiedzieli, że spędziłam noc z prezydentem. Pan Thomas witał mnie uprzejmie, ale był zbyt dyskretny i lojalny, by kiedykolwiek choćby zasugerować – słowem albo znaczącym spojrzeniem – że nie pochwała mojej obecności. Zazwyczaj szłam do domu, żeby przebrać się przed pójściem do pracy, ale czasami po prostu zjeżdżałam windą na dół, przechodziłam portykiem, mijałam basen i salę gabinetu, a potem wchodziłam do biura prasowego. Rola wybranki prezydenta tak bardzo mnie uszczęśliwiała, że wcale się nie krępowałam przychodzić w tym samym ubraniu dwa dni pod rząd. Nawet jeśli moi współpracownicy cokolwiek zauważyli, nic mnie to nie obchodziło. Czułam się nietykalna, jakby otaczała mnie prezydencka moc.

Tamtego pierwszego lata z prezydentem między mną a Dave'em Powersem wytworzyła się więź, którą uważałam za bliską przyjaźń. Nie sposób było nie lubić tego człowieka. W rozmowach emanował irlandzką swobodą, lecz zarazem był dyskretny jak ksiądz. Czułam, że opiekuje się mną z dobrego serca i dba, żeby nie spotkała mnie żadna krzywda. Teraz wiem, że tworzył zasłonę dymną jak wprawny polityk. Nie dbał o mnie. Dbął o prezydenta. Często się zastanawiałam, w jaki sposób Dave – biorąc pod uwagę mój młody wiek i fakt, że sam miał dwie córki – tłumaczył sobie swoją rolę pośrednika. Obydwoje spędziliśmy w rezydencji mnóstwo czasu, popijając daiquiri i czekając na prezydenta, ale nie przypominam sobie, żeby Dave chociaż raz wspomniał o swoich dzieciach. Oznaczałoby to brutalne pozbawienie mnie przekonania, że ktoś się o mnie troszczy, poczucia przynależności. Jego zadanie polegało na zaprowadzeniu mnie na górę, posiedzeniu ze mną kilka minut i wyjściu. Często brałam potem długą kąpiel i czekałam na prezydenta w jednym ze szlafroków.

Czasami Dave wracał wieczorem i wypijał drinka, racząc nas różnymi opowiastkami i plotkami ze świata polityki. Ci dwaj mężczyźni uwielbiali przebywać w swoim towarzystwie – a czasami ich uwaga zwracała się w moją stronę. Na przykład ani Dave, ani prezydent nie potrafili uwierzyć, że nie jestem obiektem zalotów wszystkich chłopców w moim wieku.

W końcu poradziłam sobie z ich niedowierzaniem, które bez wątpienia było przesadzone, żeby mi zrobić przyjemność, i opowiedziałam im o Jimmym Robbinsie, studencie z Uniwersytetu Pennsylvania, z którym przez krótki czas chodziłam na randki na pierwszym roku w Wheaton. „Randki” były zbyt mocnym określeniem na to, co tak naprawdę robiliśmy. Nasz „romans” składał się z jednego weekendu w Penn, weekendu w moim domu w New Jersey i weekendu u jego rodziców w Bedford w stanie Nowy

Jork, gdzie, jak się szybko okazało, wolał przez cały dzień grać w golfa, niż dotrzymywać mi towarzystwa. Kiedy w niedzielne popołudnie czekałam na powrót Jimmy'ego, jego brat zlitował się nade mną i podał mi lunch. Ale nie powiedziałam prezydentowi i Dave'owi o tym szczególe. Pozwoliłam, by uwierzyli w mój potencjalny związek z Jimmym.

Obaj od razu zainteresowali się tym tematem, zwłaszcza informacją, że Jimmy studiuje na Uniwersytecie Pennsylvania. Za każdym razem, kiedy byliśmy we troje, zaczęli na ten temat żartować. „Dave, przekaż Secret Service, że jeśli zjawi się chłopak w bluzie z Penn i będzie chciał zwiedzić Biały Dom, mają mu powiedzieć, że już zamknięte”. Albo: „Pamięta pan tego chłopaka w bluzie Penn, panie prezydencie? Dzisiaj go aresztowaliśmy”.

Przekomarzali się ze mną w przemiły sposób i promieniałam, będąc w centrum ich zainteresowania.

Oczywiście nie wiedziałam, że nie jestem jedyna, że w życiu prezydenta są też inne kobiety. Nigdy nie doszłam do logicznego wniosku, że skoro zachowuje się w ten sposób w stosunku do mnie, prawdopodobnie postępuje tak samo wobec innych. Później przeczytałam, że Dave Powers ostrzegał wiele prezydenckich kochanek, mówiąc, żeby zachowały milczenie, gdyż takie potajemne spotkania mogą być sprawą „bezpieczeństwa narodowego”, ale mnie nigdy o tym nie wspominał. Nie musiał. Domyślałam się, że gdybym powiedziała komukolwiek o swoim związku z prezydentem, nie tylko zdradziłabym prezydenta, lecz także ujawniła własne wątpliwe zachowanie.

Trudno mnie uznać za pierwszą osobę piszącą o tym, jak wielkie fory dawały prezydentowi media, gdy chodziło o jego życie prywatne – biorąc pod uwagę dzisiejszą rzeczywistość, to wręcz nie do pomyślenia: teraz donosi się nam nawet o najbardziej osobistych chwilach z życia osób

publicznych. Ważnym powodem – poza tym że po prostu żyliśmy wtedy w innych, bardziej dyskretnych czasach – było to, że media (nie wszystkie, ale większość z nich) wielbiły prezydenta Kennedy’ego. Oczywiście padały pewne niezbyt dociekliwe pytania o grzechy prezydenta, choć nie wiem, czy dotyczyły mnie, czy innych kobiet. Trzydzieści lat później w wywiadzie dla magazynu „Washingtonian” Pierre Salinger wspominał, z jaką łatwością odprawił jedną z osób, która zainteresowała się tym tematem.

– Udzieliłem odpowiedzi z lat sześćdziesiątych, a nie z lat dziewięćdziesiątych – powiedział. – „Proszę posłuchać, to prezydent Stanów Zjednoczonych. Musi pracować czternaście, szesnaście godzin dziennie. Musi kierować polityką wewnętrzną i zagraniczną. Jeśli po tym wszystkim ma jeszcze czas na kochanki, to co z tego, do cholery?” Dziennikarz roześmiał się i wyszedł. I taki był koniec tej historii.

Teraz moja teoria na temat tego, w jaki sposób prezydentowi udawało się ukrywać swoje poczynania przed licznymi i bardzo bliskimi współpracownikami z Białego Domu, opiera się na jego geniuszu w dziedzinie szufladkowania. Jak napisał Ted Sorensen w swoim pamiętniku *Counselor* z 2009 roku:

W ciągu lat współpracy w naszych wzajemnych relacjach dawała się zauważyć pewna dychotomia. Byłem całkowicie zaangażowany w ważną część życia prezydenta, ale nie miałem absolutnie żadnego udziału w części towarzyskiej i prywatnej. Nie licząc kilku oficjalnych bankietów, przez wszystkie lata spędzone w Białym Domu nigdy nie jadaliśmy wspólnie posiłków. Przypadków, kiedy w ciągu jedenastu lat spotykaliśmy się na gruncie towarzyskim, było tak niewiele, że pamiętam każdy z nich.

Jako główny autor przemówień Kennedy’ego, Sorensen dawał prezydentowi „głos”. Wiedział, jak funkcjonuje umysł prezydenta, umiał lepiej niż ktokolwiek inny wyartykułować jego poglądy i marzenia. Ale nawet ten człowiek, który uważał, że tylko Bobby Kennedy ma większy

dostęp do prezydenta i jest przez niego wyżej ceniony, nigdy nie jadał z JFK sam na sam, nigdy tak naprawdę nie widywał go poza godzinami pracy.

Słowa Sorensena mają dla mnie ogromny sens. Szufladkowanie pozwalało prezydentowi skutecznie segregować ludzi ze wszystkich dziedzin jego życia, odgradzając jednych od drugich. Była szufladka dla żony i dzieci. Była szufladka dla rozległego klanu Kennedych, który zbierał się w rodzinnej posiadłości w Hyannis Port. Była szufladka dla ścisłego grona doradców. Była szufladka dla przyjaciół. Była szufladka dla dziennikarzy, z których wielu traktowało go nie tylko jako bohatera swoich artykułów, lecz także jako przyjaciela. I oczywiście szufladka dla kobiet. Jego geniusz polegał na ograniczaniu liczby sytuacji, w których różne szufladki mogłyby się nakładać. Jak to ujął Sorensen: „Nic o nim nie pamiętam, bo nigdy nic o nim nie wiedziałem. Nikt nie wiedział. Różne części jego życia, pracy i myśli były widywane przez różne osoby – ale nikt nie widział ich wszystkich”.

Dlatego wydaje się prawdopodobne, że tak niewielu ludzi, którzy twierdzili, że go znali, wiedziało, jak wielkim był kobieciarzem. Prezydent całkowicie kontrolował, kogo zapraszał do swojego świata i ile pozwalał temu komuś zobaczyć. Ale to musiało być wyczerpujące.

Mimo prezydenckiej strategii nawet ja ciągle snułam domysły na temat charakteru jego relacji z Fiddle i Jill. Czy sypiał także z którąś – lub z obiema – z nich? Pierwsza dama z pewnością miała pewne podejrzenia co do Fiddle. „To dziewczyna, która rzekomo sypia z moim mężem” – napomknęła pewnego razu po francusku (wedle słów Barbary Gamarekian), zwracając się do dziennikarki z „Paris Match”, kiedy oprowadzała ją po zachodnim skrzydle i natknęły się na siedzącą za biurkiem Fiddle. Ale nie mam pojęcia, czy to prawda. Gdybym jednak miała podejrzewać, że któraś

z pracowniczek Białego Domu jedzie na tym samym wózku co ja, wskazałabym właśnie Fiddle. Uwielbiałam ją. Zawsze była pewna siebie, zawsze mówiła to, co należy. Zawsze witała się ze mną z entuzjazmem, traktując mnie jak młodszą siostrę. Mimo radosnej, wesołej osobowości była jednak dyskretna niczym agent CIA. Dużo rozmawiałyśmy – głównie o ubraniach – ale nie przypominam sobie, żeby choć raz ujawniła jakąś informację o prezydencie. Prezydenta i Fiddle – podobnie jak prezydenta i Jill – łączyły swobodne stosunki i obie kobiety regularnie pływały w południe w basenie, ale niczego poza tym nie wiem.

Wiele mówiący przykład tego, jak agresywnie prezydent Kennedy testował te granice, pojawił się w książce *Grace nad Power* (Wdzięk i władza) Sally Bedell. Bedell napisała, że w drugim tygodniu czerwca 1961 roku prezydentowi zaczęły dokuczać tak silne bóle pleców, że jego lekarka doktor Janet Travell poleciła mu wziąć urlop i spędzić cztery dni w Palm Beach na Florydzie, żeby mógł popływać w należącym do bogatego przyjaciela, Paula Wrightsmana, basenie ze słoną wodą i odpocząć. Prezydentowi towarzyszyli bliski przyjaciel Chuck Spalding, doktor Travell, szef kuchni w Białym Domu Rene Verdon i kilka osób z personelu, między innymi Fiddle i Jill. W grupie dziennikarzy, którzy zawsze jeździli za prezydentem Kennedym, znalazł się piszący o Białym Domu korespondent magazynu „Time” Hugh Sidey. Jak wspominał ten dziennikarz, pewnego wieczoru Kennedy zaprosił go na uroczystą kolację w Palm Beach, w której uczestniczyli także Spalding, Fiddle i Jill. Sidey wspominał, że był to „dziwny wieczór”: prezydent perorował, sypał dowcipami i opowiadał niestworzone historie w zupełnie nierozważny sposób. Po kolacji Sidey zaproponował Fiddle i Jill, że odwiezie je do hotelu, w którym także się zatrzymał – a to zapoczątkowało niezręczną wymianę zdań. Fiddle i Jill powiedziały mu, że mają własny samochód, ale

mimo to wstały i ruszyły do wyjścia. Potem oznajmiły Sideyowi, że ich samochód nie chce zapalić, więc muszą wrócić do domu i poprosić o pomoc. W tej chwili Sidey doznał olśnienia. „Aleś ty głupi, Hugh!” – pomyślał.

Mimo że moja przygoda w Białym Domu rozpoczęła się dlatego, że chciałam przeprowadzić wywiad z Jacqueline Kennedy, nigdy jej nie spotkałam – ani nawet nie zobaczyłam – podczas swojego pobytu w Waszyngtonie. Stało się tak między innymi dlatego, że miała gabinet we wschodnim skrzydle, a ja pracowałam w zachodnim – te dwie strony Białego Domu, choć oddalone o niespełna sto metrów, były odrębnymi światami i funkcjonowały niezależnie od siebie. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś z moich współpracowników z biura prasowego mówił, że idzie do wschodniego skrzydła.

Najważniejszym powodem, dla którego nigdy nie widziałam ani nie spotkałam pierwszej damy, było jednak to, że większość lata w 1962 roku spędziła z dala od Białego Domu. Po czerwcowej wizycie państwowej z prezydentem w Meksyku – gdzie oczarowała gospodarzy, wygłaszając krótkie przemówienie bezbłędną hiszpańszczyzną – w zasadzie opuściła Waszyngton i wyjechała na trzymiesięczne wakacje. Oprócz Glen Ora, gdzie często wracała z dziećmi na długie weekendy, wynajęła dom z siedmioma sypialniami w Hyannis, niedaleko posiadłości Kennedych. Od 7 do 30 sierpnia przebywała z Caroline we Włoszech, a po powrocie pojechała prosto do Hammersmith Farm, swojego rodzinnego domu w Newport w Rhode Island, i została tam razem z dziećmi do początku października. Dopiero wtedy wróciła do Białego Domu. To wyjaśnia, dlaczego prezydent miał dla mnie tak dużo czasu.

Jak wiele młodych kobiet w ówczesnej Ameryce, podziwiałam królewski szyk pani Kennedy i jej wyczucie stylu. (Podobnie jak moja mama, która zobaczyła ją osobiście w 1961 roku, kiedy pani Kennedy przyjęła absolwentki Miss Porter's w Białym Domu. Moja mama przechowywała zaproszenie i listek zapalek z Białego Domu w swoim albumie ze zdjęciami). Wszystko wskazywało na to, że pierwsza dama jest oddaną matką i wspierającą żoną, kobietą – jak się później okazało, i to aż nazbyt wyraźnie – o ogromnej sile i wielkim charakterze. Dlatego czuję się zawstydzona, wyznając, że nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek nękały mnie wyrzuty sumienia w związku z rolą, jaką odegrałam w jej życiu. Jak na mój rozum dziesięcioletka nie byłam intruzem w małżeństwie Kennedych. Umilałam jedynie czas prezydentowi, kiedy nie było jego żony. Jej widmo nie wisiało nad naszymi spotkaniami, prawdopodobnie dlatego, że wyjechała na całe lato. Kiedy prezydent był ze mną, prawie nigdy o niej nie wspominał – a już na pewno nie mówił niczego niepocholebnego ani krytycznego. Teraz z bólem wyznaję, że podobnie jak w wielu innych sprawach, najzwyczajniej brałam przykład z prezydenta. Skoro on nie przejmował się żoną, to dlaczego ja miałam się nią przejmować?

Zdaję sobie sprawę, jak niefrasobliwie to brzmi, ale taka jest prawda. Jak już wspomniałam, nigdy nie przychodziło mi do głowy, że być może nie jestem jedyną „inną kobietą” w życiu prezydenta. Zwyczajnie nie chciałam o tym myśleć.

Dopiero znacznie później, kiedy zaczęto wydawać biografie JFK, powoli zdawałam sobie sprawę z prawdziwych rozmiarów jego miłosnych podbojów. Wtedy usłyszałam o takich kobietach jak Helen Chavchavadze, kolejna młoda absolwentka z Farmington, i Mary Pinchot Meyer, obyta w świecie bywalczyń salonów i olśniewająca była dziennikarka, które

zyskały niemal ikoniczny status wśród biografów, w dużej mierze dlatego, że jako jedne z nielicznych kobiet prezydenta udało się je zidentyfikować z imienia i nazwiska. W przeciwieństwie do mnie nie były niewidzialne. Przez lata stanowiły integralną część życia towarzyskiego Kennedych, spotykały się z ich dziećmi, wznosiły toasty za ich sukcesy i uczestniczyły w kameralnych kolacjach wydawanych przez panią Kennedy w latach pięćdziesiątych, kiedy była żoną senatora, i w latach sześćdziesiątych, kiedy była pierwszą damą.

Czytając o tych kobietach – i uświadamiając sobie, że prezydent romansował z częścią z nich w tym samym czasie co ze mną – stopniowo zrozumiałam dwie rzeczy.

Po pierwsze, ogromną dbałość, z jaką chronił przed tymi zdradami swoją żonę. Myślę, że stawiał ją na piedestale jako idealną partnerkę, która pomagała mu realizować ambicje. Co więcej, wznosił ten piedestał w prywatnej przestrzeni, do której nigdy nie wpuściłby żadnej ze swoich „innych kobiet”, w tym także mnie.

Po drugie, fakt, że cały czas chronił także siebie. Jak tego dokonać, kiedy wychowuje się dzieci, jest się mężem, kieruje się partią i całym krajem oraz jeździ po świecie, głosząc idee demokracji?

Trzeba wznieść mury i szufladkować, dbając o to, żeby nikt nie poznał cię do końca.

Rozdział siódmy

Prezydent był dość próżnym człowiekiem, zwłaszcza gdy chodziło o włosy. Tamtego lata często wzywał mnie do Gabinetu Owального i przygotowując się do jednej ze swoich konferencji prasowych, prosił, żebym zajęła się jego włosami. Najwidoczniej pielęgnacja włosów była jego codziennym rytuałem zapoczątkowanym podczas kampanii w 1960 roku. Upierał się, by używać wyłącznie produktów Frances Fox z północnej części stanu Nowy Jork. Sadowił się wygodnie w bujanym fotelu i zamykał oczy, a ja wmasowywałam mu w skórę głowy tonik i bursztynową maść. Potem szczotkowałam włosy – nigdy nie cesałam ich grzebieniem. Czasami wchodził jakiś gość. Wtedy prezydent dawał mi znak, żebym nie przerywała, a sam prowadził rozmowę.

Kiedy nie zajmowałam się jego włosami, nadal pracowałam w biurze prasowym, załatwiałam różne sprawy, odbierałam telefony, uzupełniałam zapasy artykułów papierniczych, porządkowałam depesze, roznosiłam informacje prasowe i uzupełniałam zbiory zdjęć z prasy. Z upływem dni czułam się jednak coraz mniej związana z tą pracą. Więcej czasu poświęcałam na rozmyślanie o moim romansie z prezydentem i coraz bardziej dawałam się wciągnąć w jego prywatną orbitę.

Mimo całego spędzanego wspólnie czasu i rosnącej poufałości, jaka się między nami wytworzyła, nigdy nie wyszłam z roli posłusznej partnerki – najzwyczajniej dzieliła nas zbyt ogromna, oczywista przepaść władzy. Choć spędziłam z prezydentem mnóstwo czasu, ani razu nie przyszło mi do głowy, żeby zwrócić się do niego po imieniu. Nawet w najbardziej

intymnych chwilach nazywałam go panem prezydentem. Dziś nadal go tak nazywam. To chyba pewien stan umysłu, który nigdy nie słabnie. Biorąc pod uwagę atrybuty władzy, które otaczały Johna Kennedy'ego nawet poza sferą publiczną – służących, kucharzy, agentów Secret Service, takich pracowników jak Dave Powers, którzy choć byli z nim zaprzyjaźnieni, zawsze zwracali się do niego *per* „panie prezydencie” – wcale nie było to takie dziwne, jak się dzisiaj wydaje. Używanie innej formuły wydawałoby się czymś niewłaściwym.

Letnie weekendy, podczas których prezydent przebywał w Hyannis, były dla mnie mglistymi, pustymi i pozbawionymi sensu dniami. Moja współlokatorka zazwyczaj spędzała weekendy poza miastem, pozostawiając mnie samej sobie. Robiłam wtedy pranie, oglądałam wystawy sklepów w Georgetown, a wieczorami czytałam w łóżku. Nie miałam żadnego godnego wzmianki życia towarzyskiego. Pamiętam, że wyszłam tylko raz, na przyjęcie wydane w Georgetown przez młodego Jaya Rockefellera, przyszłego gubernatora i senatora z Wirginii Zachodniej. Miałam wrażenie, że wszyscy goście są świeżo po *college*'u i wykonują ważną pracę dla ważnych ludzi. Pomyślałam, że ja też pracuję dla ważnych ludzi, tyle że pełnię mało istotną funkcję. Fakt, że byłam w związku z najważniejszą osobą w kraju, na nic mi się tam nie przydał: nie było to przecież coś, o czym mogłabym rozmawiać. Dlatego sącząc drinka, doszłam do wniosku, że kompletnie nie pasuję do towarzystwa, i wróciłam do domu przed końcem imprezy. Nie mogłam się doczekać poniedziałków.

Pod koniec lata popołudniami prezydent często wychodził z gabinetu trochę wcześniej i zabierał swoich gości w rejsy po Potomaku prezydenckim jachtem Sequoia. Sequoia była pięknym statkiem

zbudowanym w 1925 roku, miała trzydzieści pięć metrów długości, ogromny salon i kilka pokładów, na których goście mogli sączyć koktajle, kiedy lekka bryza łagodziła napastliwy waszyngtoński upał. Na pokładzie często bywał Dave Powers, podobnie jak kongresmen z Massachusetts Torbert „Torby” Macdonald, współlokator prezydenta z Harvardu, i Paul „Red” Fay, podsekretarz marynarki wojennej i przyjaciel prezydenta od czasu wojny. Panowała tam atmosfera spokojnego spotkania towarzyskiego w braterskim kręgu. Było więcej mężczyzn niż kobiet, a kobiety niekoniecznie były żonami mężczyzn, z którymi wchodziły na pokład. Zawsze przedstawiano mnie jako „Mimi, która pracuje u Pierre’a w biurze prasowym”.

Pewnego popołudnia przedstawiono mnie kobiecie, która natychmiast wyczuła, że moja rola na pokładzie nie ma żadnego związku z prasą. Nie była naiwna. Pracowała dla senatora z Florydy George’a Smathersa, z którym – jak głosiła plotka – łączył ją romans. Kiedy sączyliśmy drinki na górnym pokładzie, poprosiła mnie na stronę.

– Jesteś za młoda, żeby tu przebywać – powiedziała. – Będiesz tego żałować. Pewnego dnia spojrzysz wstecz i nagle zobaczysz, że masz dwadzieścia pięć lat i żadnego życia.

Poczułam się tak, jakby uderzyła mnie w brzuch. Jak się domyśliła? Jak przystało na absolwentkę z Farmington, zachowałam zimną krew i oznajmiłam:

– Nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

Nie zważałam na nic, byłam zaślepiona władzą i charyzmą prezydenta i robiłam wszystko, by nasz romans nie wyszedł na jaw. Jak miałam zareagować na słowa tej kobiety, jeśli nie udawanym zaskoczeniem i zaprzeczeniem? W pewnym sensie powiedziałam jej prawdę. Chciałam ją spławić i dać do zrozumienia, że nie powinna się wtrącać w cudze sprawy,

ale rzeczywiście nie miałam pojęcia, o czym ona mówi. Nie brałam pod uwagę tego, że jestem młoda, że to dla mnie za wysokie progi, że blask romansu z czasem gaśnie, że niezdrowo być na każde skinienie i zawołanie żonatego mężczyzny, że faktycznie nastąpią konsekwencje tego, co teraz robię. Nawet nie byłam w stanie sobie wyobrazić, że kiedyś będę miała dwadzieścia pięć lat – miałam dziewiętnaście, dobrze się bawiłam i żyłam chwilą. Wydawało mi się, że od dwudziestego piątego roku życia dzieli mnie cała wieczność.

W połowie sierpnia, kiedy szczotkowałam prezydentowi włosy w Gabinetce Owalnym, JFK zapytał, czy nie miałabym ochoty wybrać się do parku narodowego Yosemite. Powiedział to beztróskim tonem osoby, która pyta, czy mam ochotę iść do kina. Wyjaśnił, że jego sekretarz spraw wewnętrznych Stewart Udall namawia go do upublicznienia palących kwestii ochrony środowiska, więc postanowił odwiedzić kilka ważnych miejsc na zachodzie kraju. Powiedział, że na pewno mi się tam spodoba – więc czy nie zechciałabym z nim pojechać?

Oczywiście trudno było się oprzeć takiej propozycji. Nigdy nie widziałam Yosemite, a swoje dotychczasowe podróże samolotem mogłam policzyć na palcach jednej ręki. Zgodziłam się. Powiedziałam, że pojedę z przyjemnością. Prezydent dodał, że wszystkimi przygotowaniami zajmie się Dave Powers.

W piątek 17 sierpnia prezydent wyruszył w trasę, która odbywała się w oszałamiającym tempie, jakiemu mogą podołać jedynie szefowie państw dysponujący zespołami doradców i własną flotą powietrzną. Najpierw zatrzymał się w Pierre w Południowej Dakocie, żeby oddać do użytku tamę na rzece Missouri. Jeszcze tego samego dnia wystartował do Pueblo w Kolorado, by obejrzeć następne przedsięwzięcie w dziedzinie

infrastruktury wodnej i otrzymać od lokalnego politykiera patelnię z kutego żelaza, symbol starego Zachodu. Stamtąd poleciał do Kalifornii, gdzie spędził noc w parku narodowym Yosemite, a następnie złożył krótką wizytę przy tamie San Luis w Los Banos w Kalifornii.

Ja miałam lecieć samolotem sił powietrznych razem z bagażem, sprzętem biura prasowego i innymi pracownikami Białego Domu. Sułtański styl podróży prezydenckich natychmiast mnie oczarował. Niczego nie pozostawiano przypadkowi, o nic nie musieliśmy się martwić. Powiedziano mi, w którym miejscu Białego Domu zostawić walizkę i jakim samochodem pojedę do bazy sił powietrznych Andrews (prezydent nie jechał z nami, poleciał helikopterem). Nie było zamieszania z biletami, żadnego taszczenia walizek. Moje nazwisko znalazło się na oficjalnej liście pasażerów – a jeśli nawet wzbudziło to zawiść innych kobiet z biura prasowego, które tę listę widziały, to ja nie miałam o tym pojęcia. Zawieziono nas kawalkadą samochodów, która minęła wartę honorową i ruszyła w stronę bazy sił powietrznych. Wysadzono nas na płycie lotniska i po długich schodach weszliśmy do samolotu, gdzie zostaliśmy powitani napojami i paterami z jedzeniem. Poinformowano nas, że po wylądowaniu nasze walizki zostaną dostarczone bezpośrednio do pokoi.

W Yosemite było pięknie, na Wschodnim Wybrzeżu nigdy nie widziałam czegoś, co tak bardzo przypominałoby krajobraz księżycowy. Właśnie tam zrodziła się tradycja, do której niestety wkrótce przywykłam. Potem nazwałam to grą w czekanie. Siedziałam i czekałam, aż prezydent mnie wezwie. Na tym polegała moja rola. Kiedy więc cała prezydencka świta mogła swobodnie spacerować po hotelu Ahwahnee – solidnym górskim pensjonacie z widokiem na wodospady Yosemite, z masywnymi kominkami i belkami pod sufitem – ja nawet nie wyszłam z pokoju.

– Czekaj u siebie – polecił mi Dave po przyjeździe. – Zadzwoń, kiedy prezydent będzie chciał się z tobą zobaczyć.

No więc czekałam. Siedziałam na krześle i gapiłam się przez okno, patrząc na blisko czterystumetrową wstęgę wody spadającą kaskadą z granitowego urwiska niespełna dwa kilometry dalej. Potem, kiedy przyszedł wieczór i słońce przygasło, zamówiłam kolację do pokoju. Siedząc samotnie, skubałam jedzenie i czekałam na telefon od prezydenta. Teraz wygląda to na przygnębiającą scenę. Jeśli jednak użalałam się nad sobą albo czułam się w tym pokoju samotna, to niczego takiego nie pamiętam. Tak naprawdę byłam zachwycona, że mogę należeć do świty prezydenta, że wyrwałam się z dusznego Waszyngtonu w samym środku sierpnia i – co najważniejsze – że spędzam czas z prezydentem Kennedym. Przydzielono mi pokój troje drzwi od apartamentu prezydenta. To miała być pierwsza noc, jaką spędziliśmy wspólnie poza Białym Domem.

Tamtego wieczoru około wpół do dziewiątej zjawił się Dave Powers i zaprowadził mnie do pokoju prezydenta. Zapukałam, a prezydent zaprosił mnie do środka. Kiedy weszłam, nie było żadnych uścisków ani pocałunku. W zasadzie nie pamiętam, żeby prezydent kiedykolwiek mnie pocałował – ani na powitanie, ani na pożegnanie, ani nawet podczas seksu. Zamiast tego powitał mnie wesołym „cześć”. Wydawał się niemal zaskoczony, widząc mnie na progu swojego pokoju. Potem odprężony usiadł na krześle, powiedział, że ładnie wyglądam, i zapytał, jak mi minął dzień. Nie wspomniałam o tym, że cały czas siedziałam w pokoju i czekałam. W końcu usiadł na krawędzi łóżka i zdjął buty. Potrzebował pomocy przy zdejmowaniu koszuli, bo nadal bolały go plecy. Zdążyłam się już nauczyć, że w takiej sytuacji powinnam do niego podejść i pomóc, nie czekając, aż mnie o to poprosi. Tak też zrobiłam.

Nie mogę powiedzieć, żeby nasz związek był romantyczny. Miał w sobie erotyzm, intymność i namiętność. Zawsze jednak dzielił nas pewien dystans, który prawdopodobnie wyjaśnia, dlaczego ani razu się nie pocałowaliśmy. Szeroka przepaść między nami – wiek, władza, doświadczenie – gwarantowała, że nasz romans nie rozwinie się w nic poważniejszego. Nie miałam co do tego żadnych złudzeń.

Znałam swoją rolę i dobrze ją odgrywałam. Byłam dla prezydenta miłą towarzyszką: po części dlatego, że nie znośli być sam, a po części dlatego, że przy kimś takim jak ja – młodym, pełnym energii, skorym do spełniania jego wszelkich zachcianek – znajdował upragnioną odmianę. Żartowaliśmy na temat pracowników biura prasowego, mówiąc o tym, kto opowiada o kim i co. Prezydent uwielbiał plotki, im pikantniejsze, tym lepiej. Poza tym uwielbiał się śmiać. Pewnego dnia zaskoczył mnie pytaniem, czy znam jakieś szkolne piosenki z czasów mojej nauki w Miss Porter's. Pytanie było dziwne, ale odpowiedziałam, że tak. Kiedy zaśpiewałam jedną z nich, zaczął chichotać. Nie była to reakcja, na jaką liczyłam, ale rozumiałam, skąd się bierze ta wesołość. Wywodziłam się ze środowiska, w którym wyznacznikiem aspiracji był *Social Register*, lecz śpiewałam żabim głosem. Mimo to nie potrafił mi się oprzeć.

Przyjaciele nigdy nie wahają się pytać, czy byłam zakochana w prezydencie Kennedym. Zawsze ostrożnie odpowiadam: „Nie wydaje mi się”. Ale tak naprawdę oczywiście byłam zakochana. Moje uczucie miało w sobie odrobinę uwielbienia dla bohatera, odrobinę szkolnego zadurzenia, odrobinę dreszczyku emocji związanego z bliskością władzy – a to wszystko razem tworzyło potężną, odurzającą mieszankę. Poza tym w towarzystwie prezydenta zawsze gwałtownie rosła mi samoocena. Najzwyczajniej czułam wtedy, że żyję – wydawałam się sobie kimś wyjątkowym. Chcę jednak, żeby jedno było jasne: rozumiałam sytuację.

Wiedziałam, że nie jesteśmy równymi sobie partnerami i że moja miłość nie zostanie odwzajemniona. W końcu on był przywódcą wolnego świata. Żonatym przywódcą wolnego świata. A ja nie osiągnęłam jeszcze nawet wieku, w którym można głosować.

Po wizycie w Yosemite poleciliśmy do Los Angeles i zostałam zakwaterowana w hotelu Beverly Hilton w Beverly Hills. Prezydent spędzał sobotnie i niedzielne popołudnia ze swoją siostrą Pat i szwagrem Peterem Lawfordem w ich domu przy plaży w Santa Monica, a ja zostawałam w hotelu i grałam w czekanie – aż do wieczora, kiedy prezydent wracał i się ze mną spotykał. W zasadzie nie było to nic trudnego. Hotel z pięknym wnętrzem i ogromnym basenem oferował aż nadto atrakcji i nie mogłam się nudzić.

Wracając z Kalifornii do Waszyngtonu, jeden jedyny raz w życiu leciałam samolotem Air Force One. To był przypadek, naprawdę: jeden z pracowników wrócił do Waszyngtonu wcześniej i zwolniło się miejsce, które zaproponowano mnie. Jak wszyscy pasażerowie Air Force One, weszłam na pokład znacznie wcześniej niż prezydent. Usiadłam z tyłu, naprzeciwko kuchni, razem z innymi młodszymi członkami personelu. Między nami i sekcją prezydencką mieściła się sala konferencyjna, w której rezerwowano miejsca dla osób z wąskiego prezydenckiego grona – w tym wypadku dla Kenny’ego O’Donnella, Dave’a Powersa, Pierre’a Salinger’a, łącznika prezydenta z Kongresem Larry’ego O’Briena oraz dla sekretarza Udalla. Fotele były duże i miękkie, wszystko było opatrzone prezydenckim monogramem. Zwyczajny pasażer zabrałby pewnie z takiej podróży jakąś pamiątkę – serwetkę, podkładkę pod szklankę albo pudełko zapalek – ale ja nie chciałam się czuć jak zwyczajny pasażer, więc się powstrzymałam.

Tamtego lata wyruszyłam z prezydentem w jeszcze jedną podróż, lecz do miejsc mniej malowniczych niż Yosemite i Beverly Hills. Wyścig

kosmiczny ze Związkiem Radzieckim figurował wysoko na liście priorytetów prezydenta i JFK postanowił, że Stany Zjednoczone będą pierwszym krajem, który wyśle człowieka na Księżyc. Dlatego trasa prezydenckiej podróży objęła najważniejsze bazy powietrzne i kosmiczne w państwie: ośrodek NASA w Huntsville w Alabamie, przylądek Canaveral na Florydzie, działające od niedawna Centrum Lotów Kosmicznych w Houston oraz McDonnell Aircraft Corporation w Saint Louis, gdzie produkowano części do programów NASA: Mercury i Gemini. Była to nieprzerwana dwudniowa podróż z tylko jednym noclegiem w Houston. Znowu leciałam samolotem dodatkowym wypełnionym ważnymi osobistościami: był tam wiceprezydent Lyndon Johnson, a także sekretarz armii Cyrus Vance, dyrektor NASA James Webb i trochę niepasujący do takiego grona Arthur Godfrey, osobowość radiowa i telewizyjna, który był pilotem i gorliwym rzecznikiem branży lotniczej.

Podróż była nieprzerwaną serią przyjazdów i odjazdów. Moim najwyrazistszym związanym z nią wspomnieniem jest pojawienie się wiceprezydenta Johnsona przy moim fotelu podczas lotu z Florydy do Houston. Johnson, górując nade mną, grzecznie się przedstawił, a ja – niestety nieskutecznie – usiłowałam się wyswobodzić z pasów i wstać. Kiedy wieczorem w hotelu powiedziałam prezydentowi, że poznałam jego zastępcę, JFK na ułamek sekundy wyraźnie stracił opanowanie.

– Trzymaj się od niego z daleka – powiedział.

Wtedy jego reakcja wydała mi się dziwna, ale teraz rozumiem, że mógł go ogarnąć niepokój, że wyslizgnęłam się z prywatnej szufladki, w której mnie umieścił. Być może martwił się, że polityk o tak przenikliwym umyśle jak Lyndon Johnson – uosobienie maksymy: „Wiedza to władza” – domyśli się, kim jestem i dlaczego znalazłam się na pokładzie, a potem będzie mógł to wykorzystać.

Gdy nadszedł czas powrotu do Wheaton na drugi rok *college*'u, błagałam rodziców, żeby pozwolili mi zrezygnować z nauki i zostać w Waszyngtonie. Nie wydawali się zaniepokojeni tym, że chcę porzucić edukację na rzecz pracy na niskim stanowisku w Białym Domu – jeżeli oczywiście udałoby mi się je zdobyć po zakończeniu stażu. Nie ja pierwsza dałabym się uwieść bliskości władzy albo prestiżowi administracji Kennedy'ego. Wtajemniczeni z kręgu prezydenta nazywali to „gorączką Białego Domu” i z tego, co widziałam, byli nią zarażeni wszyscy pracownicy. Rodzice założyli, że zakochałam się w polityce i wypełniam swoje prawdziwe powołanie – z pewnością nie podejrzewali, że mam inne, znacznie bardziej osobiste powody, żeby zostać w Waszyngtonie. Ostatecznie zawetowali jednak mój plan z przyczyn finansowych: zapłacili już czesne za następny rok i nie chcieli wyrzucić tych pieniędzy w błoto.

Rozumiałam ich, ale nie byłam szczęśliwa. Miałam za sobą wyzwalające, wspaniałe lato i na myśl o powrocie do Wheaton, spokojnego *college*'u dla dziewcząt, gdzie obowiązywały sztywne zasady, czułam przygnębienie.

Kiedy powiedziałam prezydentowi o swoich planach, obiecał, że będzie do mnie często dzwonił. Gdy zauważyłam, że takie telefony mogłyby go narazić na problemy, powiedział, że już się nad tym zastanawiał. Oznajmił, że będzie używał pseudonimu Michael Carter. Przekomarzał się ze mną, mówiąc, że mój powrót do *college*'u to raczej porzucenie – jego. Potem nastawił w rezydencji płytę z *Autumn Leaves* (Jesienne liście) w wersji Nat „King” Cole'a i zwrócił mi uwagę na fragment: „*But I miss you most of all, my darling, when autumn leaves start to fall*” (Ale najbardziej mi cię brak,

kochanie, gdy zaczynają opadać jesienne liście). Czasami bywał ckliwy i sentymentalny i nie wstydził się tego pokazywać.

Tuż przed wyjazdem kupiłam mu drugi egzemplarz tej płyty. Ozdobiłam okładkę liśćmi zebranymi w parku i podarowałam mu ją jako prezent pożegnalny.

– Chcesz, żebym się rozpłakał – powiedział.

– Nie chcę, żeby się pan rozpłakał, panie prezydencie – zaprzeczyłam. – Próbuję się upewnić, że będzie pan o mnie pamiętał.

Rozdział ósmy

Ku mojemu zaskoczeniu prezydent jednak mnie zapamiętał.

W połowie września 1962 roku byłam już z powrotem w *college*'u, wprowadziłam się do akademika dla drugiego roku w Wheaton i zaczęły się zajęcia. Przed upływem tygodnia zadzwonił Michael Carter.

Pomimo licznych spotkań i wystąpień publicznych prezydent Kennedy słynął z tego, że codziennie wykonuje około pięćdziesięciu telefonów, wiele jeszcze przed opuszczeniem rezydencji o poranku albo po powrocie wieczorem. Powiedział mi, że telefon jest linią życia łączącą go ze zwyczajnym światem. Kiedy byliśmy razem w Białym Domu, zawsze dzwonił do przyjaciół, do członków Kongresu, do swoich braci i sióstr. Nie był w stanie usiedzieć w miejscu ani powstrzymać się od wykorzystania chwili wolnego czasu na wysłuchanie najnowszych wieści albo dowcipnej historii – na poszukiwanie jakiejś formy kontaktu z ludźmi.

Dzwonił do mnie wieczorem, kiedy wiedział, że będę w pokoju. Prawdopodobnie nikt mu wtedy nie towarzyszył. W naszym akademiku nie było jednak telefonów w pokojach – korzystało się ze wspólnego aparatu w małym pomieszczeniu na pierwszym piętrze. Prezydent dzwonił na ten numer. Czasami dziewczyna dyżurująca przy telefonie wykrzykiwała nazwisko rozmówcy. Bostońska wymowa prezydenta upodobniała nazwisko „Carter” do „Cotta” i właśnie tak był zapowiadany na korytarzu: „Mimi Beardsley, dzwoni Michel Cotta!”.

Co zaskakujące, nikt nigdy nie rozpoznał go po głosie. Kiedy brałam słuchawkę, nie wydawał się ani trochę zaniepokojony, że ktoś mógłby go

zidentyfikować. Miał doskonałe wyczucie tego, jak bardzo może ryzykować, do czego może się posunąć i w którym momencie mógłby się narazić na niebezpieczeństwo lub zdemaskowanie. Widocznie instynkt przetrwania podpowiedział mu, że żadnej młodej kobiecie nie przysłoby do głowy, iż człowiek o nazwisku Michael Carter dzwoniący do akademika może być prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Prezydent zasypywał mnie przez telefon milionem małych pytań, jakby w ogóle mu się nie spieszyło: na jakie kursy się zapisałam? Czy mam dobrych wykładowców? Co czytam? Czy mam interesujące koleżanki? O czym rozmawiają? Co jadłam na obiad? To było w jego stylu. Jeśli chodzi o temperament, cechowała go niewyczerpana i niesłabnąca ciekawość. Wypytywał każdego – od członków gabinetu po asystentów – kto mógł mu dostarczyć świeżych informacji, jakichkolwiek wieści.

Najwidoczniej jego nienasycona ciekawość objęła także studentki drugiego roku *college*'u w Wheaton. Moje opowieści o życiu na uczelni zdawały się go bawić. Zawsze słuchał cierpliwie, nigdy nie traktował mnie szorstko, nigdy nie przejawiał znudzenia. Zachowywał się tak, jakby miał mnóstwo czasu na słuchanie moich opowieści. Kiedy pytał o moje życie towarzyskie, opierałam się pokusie relacjonowania czegoś bardziej interesującego i zmyślałam randki z młodymi mężczyznami, które nigdy się nie odbyły. Tak naprawdę nadal nie miałam żadnego życia towarzyskiego – od czasu do czasu chodziłam na randki w ciemno, ale żadna z nich nie zrobiła na mnie trwałego wrażenia. Bo czy którykolwiek student drugiego roku mógł dobrze wypaść na tle prezydenta?

Być może JFK lubił ze mną rozmawiać właśnie dlatego, że byłam taka młoda i naiwna. Nie poruszaliśmy tematów związanych z polityką, bezpieczeństwem narodowym ani wiadomościami dnia. Nie zadreślałam go pytaniami o życie w Białym Domu ani o plany na weekend. Po prostu

opowiadałam o swoim życiu i jego prostych codziennych rozterkach – radzeniu sobie z uciążliwą współlokatorką albo nudnym wykładowcą – a on zdawał się znajdować w tym pewną ulgę.

– Kiedy możesz przyjechać do Waszyngtonu? – padało nieuchronnie pytanie pod koniec każdej rozmowy.

Wyjmowałam kalendarz i ustalaliśmy termin.

Potem organizacją naszego spotkania zajmował się Dave Powers. Samochód odbierał mnie z akademika i wiózł trzy godziny na lotnisko La Guardia w Nowym Jorku. Po drodze czytałam zaległe teksty na zajęcia i zatrzymywałam się w salonie piękności w Rhode Island, żeby umyło mi i ułożono włosy. Szofer cierpliwie czekał w samochodzie. Po przyjeździe na lotnisko odbierałam opłacony bilet na stanowisku Eastern Airlines, a kiedy lądowałam na lotnisku National (obecnie lotnisko imienia Reagana) w Waszyngtonie, witał mnie kierowca trzymający tabliczkę z napisem „Michael Carter”. I ruszaliśmy do Białego Domu.

Teraz, pięćdziesiąt lat później, często mam przed oczami ten obrazek: ja na tylnym siedzeniu czarnej limuzyny w 1962 roku, odrabiająca pracę domową i na chwilę zapominająca o tym, że mam dziewiętnaście lat i jadę do stolicy, żeby wskoczyć do łóżka z prezydentem. Taka dwoistość była wtedy bardzo w moim stylu: posłuszna córeczka pochłonięta listą spraw do załatwienia, cokolwiek by się działo. Chyba ja też wiedziałam co nieco na temat szufladkowania.

Dopiero w limuzynie jadącej do Białego Domu moje myśli zwracały się w stronę prezydenta. Zerkałam na swoją fryzurę i twarz w małym lusterku trzymanym w torebce, mimo że nadal się nie malowałam i nawet nie używałam szminki. Przypominałam sobie parę spraw, którymi chciałam się podzielić z prezydentem. „Gorączka Białego Domu”, która wzbudziła we mnie chęć porzucenia *college*'u na rzecz pracy w Waszyngtonie, jeszcze nie

ustąpiła – po prostu została ukryta: wielki sekret, którego nie mogłam wyjawić nikomu w Wheaton. Skupiłam się na utrzymaniu średniej powyżej B. Byłam albo na zajęciach, albo w bibliotece, albo w akademiku. Kiedy jednak jechałam mostem nad rzeką Potomak z Wirginii do Dystryktu Kolumbii i w oddali ukazywał się Biały Dom, dawne uczucia powracały do mnie z pełną siłą. Docierało do mnie, jak bardzo tęsknię za ludźmi z Białego Domu i pozostawioną tam energią.

Co dziwne, moje wyprawy do Waszyngtonu nigdy nie wzbudziły żadnych podejrzeń wśród moich koleżanek z *college*'u. Władze uczelni wymagały, żeby wszystkie studentki wymeldowywały się w księdze przy wejściu do akademika przed każdym opuszczeniem kampusu i informowały, dokąd się wybierają, gdzie się zatrzymają i kiedy zamierzają wrócić. Wykładowcy i dziekan do spraw studenckich byli pod takim wrażeniem moich podróży do Białego Domu, że nigdy nie zapytali, gdzie zamierzam nocować. Gdyby ktoś się tym zainteresował, powiedziałabym, że zatrzymam się „u koleżanki w Georgetown”, dodając, że biuro prasowe Białego Domu zawsze potrzebuje w weekendy dodatkowej pomocy. Choć wzmianka na temat dodatkowego zapotrzebowania na pracowników w Białym Domu teoretycznie mogła być zgodna z prawdą, nie miała jednak nic wspólnego ze mną. Podczas tamtych podróży rzadko odwiedzałam biuro prasowe. Spędzałam czas w rezydencji.

Na drugiej „randce” w Waszyngtonie, w sobotnie październikowe popołudnie w 1962 roku, powitał mnie prezydent, który tym razem nie tryskał jednak typową dla siebie energią. Był spięty, milczący i zmartwiony, miał ciemne worki pod oczami – i przez pierwsze wspólnie spędzone pół

godziny zastanawiałam się, dlaczego w ogóle mnie do siebie wezwał. Tamtego wieczoru był rozkojarzony i ciągle rozmawiał przez telefon.

Miał sporo na głowie. Kilka dni wcześniej, 1 października, po serii zastrzeżeń prawnych, które zakończyły się w Sądzie Najwyższym Stanów Zjednoczonych, James Meredith został pierwszym czarnoskórym studentem przyjętym na Uniwersytet Missisipi. Kiedy jednak przyszedł na zajęcia, gubernator stanu i wicegubernator nie wpuścili go do środka, zmuszając prezydenta Kennedy'ego do podjęcia kroków prawnych przeciwko gubernatorowi i wysłania na uniwersytet wojska, które miało chronić Mereditha. Doszło do zamieszek i zginęły dwie osoby, ale w końcu Meredith wziął udział w swoich pierwszych zajęciach na starym dobrym Miss, a prezydent pokazał swoje zdecydowane stanowisko w ważnej kwestii społecznej, której unikał od zaprzysiężenia. W rezultacie poparcie dla niego gwałtownie wzrosło. Kiedy przyjechałam do Białego Domu, miał zatem wszelkie powody, żeby być szczęśliwym człowiekiem.

Nie wiedziałam jednak, że prezydent był wówczas w samym środku najbardziej dramatycznego i pełnego napięć epizodu w jego kadencji: trwał kryzys kubański.

Wyjechałam w niedzielę i nie dzwonił do mnie przez dwa tygodnie, co było bardzo nietypowe. Oczywiście nie miałam pojęcia, że w tym czasie wydał zezwolenie na przeloty nad Kubą samolotów szpiegowskich U-2 i dowiedział się, że zaledwie sto pięćdziesiąt kilometrów od Stanów Zjednoczonych Sowieci w tajemnicy budują bazy z wyrzutniami pocisków jądrowych. 22 października ta wiadomość wyszła jednak na jaw i wreszcie zrozumiałam. W poniedziałek rano profesor Minton F. Goldman przerwał swój wykład z analizy porównawczej modeli rządów, aby rozpocząć dyskusję na temat zapowiedzianego na siódmą wieczorem przemówienia prezydenta do narodu. Wszyscy wiedzieliśmy, że JFK poruszy kwestię

konfliktu ze Związkiem Radzieckim z powodu wyrzutni na Kubie. Rozpaczliwie chciałam być przy nim w Waszyngtonie, ale podobnie jak inni musiałam się zadowolić oglądaniem go w telewizji.

W moim akademiku nie było telewizora, więc poszłam do budynku absolwentów, by tam w czarno-białym telewizorze zobaczyć prezydenta, którego nigdy wcześniej nie widziałam z tak poważną miną. W sali telewizyjnej wyraźnie wyczuwało się strach. Niektóre dziewczyny trzymały się za ręce. Stałam z tyłu z rękami splecionymi na piersiach. Trudno opisać napięcie, jakie wisiało w powietrzu, kiedy prezydent mówił o trudnej sytuacji, w której się znaleźliśmy, i wyjaśniał bezprecedensowe zagrożenie dla naszego narodu. Kiedy nam przypomniał, że „największym zagrożeniem byłaby beczynność”, rozejrzałam się po sali i zdałam sobie sprawę, że żadna z dziewczyn nie myśli o tym, o czym myślę ja.

Pamiętam, że wracając do akademika, nie czułam strachu, lecz nagłą potrzebę. Mimo że w Wheaton stałam się mistrzynią szufladkowania mojego sekretnego życia w Białym Domu, ta sytuacja była inna. Nagle zapragnęłam znaleźć się w Waszyngtonie. Chciałam być w biurze prasowym. Chciałam trafić w sam środek tej całej energii i dążenia do celu. Chciałam w tym uczestniczyć. Być może wtedy po raz pierwszy pomyślałam o prezydencie Kennedym raczej w kategoriach historycznych niż osobistych. W tamtej chwili nie był moim kochankiem, lecz człowiekiem, od którego zależało bezpieczeństwo narodowe.

Wieczorem zadzwoniłam do Białego Domu i pracownicy centrali telefonicznej, którzy dobrze mnie już wtedy znali, połączyli mnie z Dave'em Powersem.

Było wyraźnie słychać, że Dave jest potwornie zestresowany i nie ma czasu na rozmowę.

– Nikt z nas nie wie, co się stanie, Mimi – powiedział oschle. – Odezwę się do ciebie bliżej weekendu.

Następne cztery dni płynęły jakby w zwolnionym tempie. Kryzys kubański – bo tak zaczęto go powszechnie nazywać – wypełniał całe serwisy informacyjne, tworząc atmosferę głębokiego niepokoju w jednych kręgach i jawnej hysterii w innych. Ostrzegano nas, że w kraju jest niedobór schronów przeciwbombowych. Zасыpywano nas apokaliptycznymi szacunkowymi danymi na temat liczby osób, które zginą wskutek konfliktu jądrowego między Związkiem Radzieckim a Stanami Zjednoczonymi. Muszę przyznać, że sama czułam przerażenie, a nawet panikę – i naiwnie wierzyłam, że gdyby tylko udało mi się dotrzeć do Waszyngtonu, wszystko jakoś by się ułożyło. Nie miało to żadnego sensu, ale czułam, że gdybym mogła się znaleźć blisko prezydenta, w budynku, w którym zapadają decyzje, poczułabym się bezpieczniej, pewniej.

W piątek do akademika zadzwonił Dave Powers. Pobiegłam do telefonu.

– Przyjeźdź do Waszyngtonu – powiedział. – Pani Kennedy wyjeżdża do Glen Ora. Przyślę samochód.

Spakowałam rzeczy na zmianę i wymeldowałam się nazajutrz rano.

Kiedy samochód zatrzymał się przed południowym portykiem Białego Domu, jak zwykle poszłam prosto na górę. Tam razem z Dave'em graliśmy w czekanie w salonie rezydencji sąsiadującym z sypialnią prezydenta, podczas gdy on uczestniczył w spotkaniu na dole z grupą bliskich doradców zwaną EXCOMM, Komisją Wykonawczą Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Zebrali się w Białym Domu, żeby zająć się kryzysem kubańskim. Po jakimś czasie prezydent przyszedł do rezydencji, ale było widać, że myślami jest gdzie indziej. Miał ponurą minę. Normalnie odsunąłby na bok prezydenckie obowiązki, wypił drinka i starał się ożywić

atmosferę w salonie, żeby wszyscy się rozluźnili. Ale nie tamtego wieczoru. Nawet jego dowcipy były wymuszone, mówił grobowym tonem. W pewnej chwili, po tym jak wyszedł, by odbyć kolejną pilną rozmowę przez telefon, wrócił i kręcąc głową, powiedział do mnie:

– Wolałbym, żeby moje dzieci były czerwone niż martwe.

Nie było to oświadczenie polityczne ani próba dowcipkowania. To były słowa ojca, który uwielbiał swoje dzieci i nie zniósłby, gdyby spotkała je jakaś krzywda.

Później tamtego wieczoru zachęcił mnie i Dave'a do zjedzenia zimnej już kolacji złożonej z pieczonego kurczaka, którą dla nas przygotowano. Kiedy zaczęliśmy sobie nakładać, zadzwonił Bobby Kennedy i powiedział, że jest w drodze do Białego Domu. Wycofałam się do sypialni, żeby mnie nie zobaczył. W rezultacie nie byłam bezpośrednim świadkiem rozmowy Dave'a z prezydentem opisaną w biografii *President Kennedy. Profile of Power* (Prezydent Kennedy. Profil władzy) Richarda Reevesa z 1993 roku, która doskonale oddaje rolę Dave'a jako „pierwszego przyjaciela”. Ponoć gdy rozmawiali, Bobby odmalowywał ponurą, schyłkową wizję kryzysu, a Dave jadł kolację.

– Boże, Dave – powiedział prezydent – patrząc, jak zjadasz mojego kurczaka i wypijasz całe moje wino, można by pomyśleć, że to twój ostatni posiłek w życiu.

– Słuchając tego, co mówi Bobby, pomyślałam, że to naprawdę mój ostatni posiłek w życiu – odparł Dave.

Kiedy prezydent i jego brat zeszli z powrotem na dół na kolejne posiedzenie EXCOMM, Dave wyjaśnił mi, co się dzieje. Prezydent był pewien – znacznie bardziej niż Bobby – że kryzys można zażegnać. Właśnie wysłał pismo do Chruszczowa, proponując zakończenie morskiej kwarantanny i obiecując rezygnację z inwazji na Kubę, jeśli Chruszczow

usunie z niej wyrzutnie. Teraz czekał razem z resztą świata na odpowiedź premiera Związku Radzieckiego.

To, że w ogóle byłam w rezydencji tamtego wieczoru, wydaje mi się teraz nierzeczywiste. Bóg wie, że to nie było miejsce dla mnie. Ale wprawiało mnie w stan odurzenia. W tamtej chwili wolałam być tam niż w jakimkolwiek innym miejscu na ziemi.

Kryzys kubański wystawił jednak na próbę nawet opanowanie Wielkiego Szufladkowicza. Nasze spotkania zawsze były nacechowane erotycznie, ale tym razem stało się inaczej. Dave i ja czekaliśmy jeszcze trochę na prezydenta, lecz posiedzenie przeciągnęło się do jedenastej i trwało dalej, więc postanowiłam się położyć. Gdy prezydent w końcu wrócił na górę, już spałam. Dla odprężenia obejrzał z Dave'em *Rzymskie wakacje*.

Nazajutrz obudziłam się wcześniej, bo musiałam wracać do *college*'u. Prezydent już nie spał, siedział na łóżku i rozmawiał przez telefon. Tuż przed ósmą pomachałam mu na pożegnanie. Był więc sam tamtego niedzielnego poranka 28 października, kiedy przyszła wiadomość, że o dziewiętej w Moskwie zostanie wygłoszone ważne oświadczenie. Siedziałam w pociągu gdzieś pomiędzy Waszyngtonem a Providence, kiedy prezydent Kennedy usłyszał, że Sowieci przyjęli jego warunki i zgodzili się usunąć wyrzutnie z Kuby. Jak wszyscy mieszkańcy Ameryki dowiedział się o tym z ust moskiewskiego prezentera radiowego czytającego pismo Chruszczowa.

W Białym Domu odczuto pewnie niesłychaną ulgę. Jeszcze nigdy nie znaleźliśmy się tak blisko „wzajemnie zgotowanej destrukcji”. Później przeczytałam w pamiętniku Pierre'a Salinger'a, że wielu doradców prezydenta spało w swoich gabinetach – łącznie z członkami biura prasowego. Sam Pierre zameldował się w hotelu oddalonym o jedną

przecznicę od Białego Domu, by móc pełnić nocne dyżury na zmianę ze swoimi sekretarzami prasowymi. W 2001 roku Barbara Gamarekian wspominała na łamach „New York Timesa”, że przypadł jej w udziale dyżur pierwszej nocy i spędziła go w schronie przeciwbombowym w piwnicy. Napisała, że tym, co naprawdę „przykuło jej uwagę”, była wręczona jej karteczka w białej kopercie, za której pośrednictwem informowano ją, że w razie ewakuacji ma się stawić przed północnym portykiem. Nazajutrz rano, kiedy poszła do domu się przebrać, jeden z jej sąsiadów wsiadał do samochodu, żeby uciec z Waszyngtonu na Florydę. Stolica kraju była przerażona.

Ja nie pamiętam tego w taki sposób. W moich wspomnieniach wygląda to tak: kiedy prezydent Kennedy rozmawiał z mężczyznami, których wybrał do uporania się z kryzysem, między innymi z „najznakomitszymi i najmądrzejszymi” postaciami, takimi jak sekretarz obrony Robert McNamara i doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego McGeorge Bundy, spałam jak niemowlę, otulona miękką pościelą w sypialni na drugim piętrze Białego Domu. W tamtym momencie było to dla mnie najbezpieczniejsze miejsce na ziemi.

Rozdział dziewiąty

Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek – nawet w akademiku pełnym dziewiętnastolatek – rozmawiała z koleżankami o seksie, a co dopiero o seksie z prezydentem. W tamtych czasach seks był tematem tabu: nie pokazywano nagości w filmach, telewizja była cnotliwa i godziwa, a reklamy – jak na dzisiejsze standardy – cliwe i staroświeckie. Owszem, w 1962 roku wydano przełomową książkę Helen Gurley Brown *Sex and the Single Girl* (Seks i singielka), która sprzedała się ponoć w dwóch milionach egzemplarzy w ciągu pierwszych trzech tygodni, ale temat seksu nadal traktowano z tak wielką pruderią, że przed publikacją usunięto z książki rozdział poświęcony antykoncepcji. Mało tego – autorce często zakazywano używać słowa „seks” w wystąpieniach telewizyjnych. Zresztą i tak nigdy nie czytałam tej książki. Nie czytałam też pikantnych powieści z tamtego okresu, takich jak *Peyton Place* (Peyton) Grace Metalious czy *The Best of Everything* (Najlepsze ze wszystkiego) Rony Jaffe. Te powieści zyskały popularność właśnie dlatego, że mówiły o seksie. Jednak w moim kręgu – choć niektóre z nas miały fioła na punkcie chłopaków – temat seksu był zakazany. Panowało wtedy coś w rodzaju kultu zachowania dziewictwa najdłużej, jak się da – najlepiej do nocy poślubnej.

Ani mama, ani starsza siostra nie przeprowadziły ze mną nawet rozmowy uświadamiającej. Teraz wydaje się to dziwne, ale rodzina nie zwracała na mnie aż tyle uwagi. Uważała mnie za dobrze wychowaną młodą kobietę, która marzy o wakacyjnej pracy w Białym Domu, a resztę roku poświęca nauce w *college*'u. Poza tym nie łączyła mnie z mamą aż tak

otwarta relacja, bym musiała jej o wszystkim opowiadać albo bym mogła zwracać się do niej z intymnymi problemami i pytaniami. Było mnóstwo spraw, na których temat wolałyśmy milczeć. Mama musiała jeszcze wychować nastoletniego syna i nastoletnią córkę, a do tego była zajęta prowadzeniem domu i życiem towarzyskim. Nie chodzi o to, że umyślnie mnie ignorowała – po prostu się o mnie nie martwiła. Uznała, że sama potrafię o siebie zadbać.

Gdybym jednak chciała się komuś zwierzyć, prawdopodobnie wybrałabym moją siostrę Buffy, która była ode mnie cztery lata starsza i pracowała wtedy w Filadelfii. Pewnie mogłabym jej o wszystkim powiedzieć już po pierwszym spotkaniu z prezydentem Kennedym. Byłaby to niezręczna rozmowa, ale mogłabym poruszyć z nią ten temat, na przykład mówiąc, że straciłam dziewictwo, ale nie zdradzając z kim. Tylko że to była puszka Pandory i czułam, że jeśli ją otworzę, już nigdy się nie zamknie. Gdybym zwierzyła się siostrze, drążyłaby dotąd, aż bym jej wyjawiała, z kim spałam, a wtedy poczułaby się zobowiązana do podjęcia jakichś działań, co oznaczało, że prawdopodobnie powiedziałyby o wszystkim rodzicom, którzy zażądaliby ode mnie porzucenia stażu w Białym Domu. A tego nie chciałam.

Dlatego postanowiłam wszystko ukryć i nie wspominać o tym ani słowem.

Tak rodzi się sekret.

Gdyby romans z prezydentem był jedynie wakacyjną przygodą, utrzymanie go w tajemnicy przed koleżankami z Wheaton okazałoby się pewnie stosunkowo łatwe. Ale to nie była wakacyjna przygoda. Nasz związek ciągnął się także jesienią i zimą i wymagał licznych podróży na

spotkanie z prezydentem, co sprawiało, że każda wzmianka na jego temat budziła we mnie skrępowanie. Bałam się, że niechcący mogę wyjawić jakąś informację, więc zamknęłam się w sobie i zostałam kimś w rodzaju samotniczki. Nie uczestniczyłam w uczelnianych imprezach i nie zawierałam wielu znajomości. Nie przesiadywałam w „palarni” w piwnicy akademika, gdzie inne dziewczyny relaksowały się przy papierosach i plotkach. Prawie nigdy nie mówiłam o swoim życiu. Czy mogłam powiedzieć coś, co nie wydawałoby się kłamstwem? Postanowiłam, że najbezpieczniejszym rozwiązaniem będzie zachowanie milczenia.

Ponieważ moim nadrzędnym celem była ochrona reputacji prezydenta i własnej, odsunęłam się nawet od współlokatorek, z którymi chodziłam do klasy już w Farmington. Wątpię, by zauważyły jakąś drastyczną zmianę w mojej osobowości: nie wylegiwałam się do późna w łóżku, nie dąsałam się i nie wyrywały mi się teatralne westchnienia. Nie byłam straszliwie rozkojarzona, jak przystało na dziewczynę chorą z miłości. Po prostu zachowywałam dystans i bardzo się pilnowałam. Taka postawa przez lata mąciła moje relacje z przyjaciółmi.

Moje stosunki z prezydentem zachowały jednak dotychczasową intensywność przez całą zimę. JFK nadal wzywał mnie do Białego Domu i domagał się mojej obecności podczas prezydenckich podróży. Nie wszystkie z nich były jednoznacznie przyjemne. Zwłaszcza jedna wryła mi się w pamięć ze względu na towarzyszące jej cudowne uniesienia i miażdżące upadki.

Na początku grudnia prezydent miał wyruszyć w podróż po jedenastu zachodnich stanach. Dave Powers zadzwonił do mnie, żeby zapytać, czy mogłabym dołączyć do prezydenckiej świty w Albuquerque w Nowym Meksyku, pod koniec trasy. Potem mieliśmy pojechać do domu Binga Crosby’ego w Palm Springs na upragniony odpoczynek. Znowu musiałam

się wymeldować z Wheaton i pojechać do Waszyngtonu, żeby wsiąść na pokład samolotu towarzyszącego Air Force One – była jednak istotna różnica: nie pracowałam już w biurze prasowym. Przebywałam na pokładzie urzędowego samolotu Białego Domu jako cywil, co według ustnych przekazów zgromadzonych w Bibliotece imienia Kennedy’ego wzbudziło zainteresowanie moją rolą u co najmniej jednego niewymienionego z nazwiska dziennikarza (i – patrząc na to z perspektywy czasu – nic w tym dziwnego: studentka drugiego roku *college*’u w prezydenckim samolocie?). Pierre Salinger, który nie miał sobie równych w dziedzinie rozwiewania podejrzeń dziennikarzy, musiał w jakiś sposób oddalić ode mnie ciekawość mediów, bo nigdy nie miałam przez nich żadnych problemów.

Kiedy dotarliśmy do Albuquerque, wybrałam się z Fiddle na wspaniałą konną przejażdżkę po pustyni. Jeździłyśmy aż do zachodu słońca, a potem wróciłam do hotelu, żeby czekać na wezwanie prezydenta i Dave’a Powersa, by następnie, podczas kolacji w apartamencie prezydenckim, uraczyć ich barwnymi opisami mojego popołudnia. To był cudowny dzień i prezydent wydawał się szczerze zadowolony.

Następnego dnia ruszyliśmy do domu Binga Crosby’ego w Palm Springs, gdzie zebrał się ogromny odświętny tłum – wiele osób z przemysłu rozrywkowego – by powitać prezydenta Kennedy’ego. Czułam się tak, jakbym wkroczyła do jakiegoś cudownego tajemnego klubu.

Ale potem wieczór zmienił się w koszmar.

Widywałam już przebłąski mrocznego oblicza prezydenta, które pojawiały się z rzadka i tylko w gronie mężczyzn, których znał. Czuł wtedy potrzebę pokazania swojej władzy nade mną. Mimo że mój podziw dla niego pozostaje niewzruszony aż do dziś, trudno mi pogodzić ten mroczny aspekt osobowości z jego godnymi podziwu przymiotami. Odsłaniając teraz

tę drugą stronę JFK, uświadamiam sobie, że moja relacja zyska jeszcze jedną niszczycielską nutę, ale nie mogę zatuszować ani zignorować jego czynów w tych gorszych chwilach. Pozostają plamą na moich wspomnieniach.

Dom Crosby'ego był nowoczesnym, rozległym jednopiętrowcem w stylu ranczerskim. Stał na pustyni i impreza była bardzo głośna. W porównaniu z tym, co widywałam w Waszyngtonie, przypominało to inną planetę. Ogromna rzesza ludzi, energiczne towarzystwo z Hollywood, zgromadziła się wokół prezydenta, który jak zawsze znajdował się w centrum uwagi. Siedziałam obok niego w salonie, kiedy jeden z gości zaczął rozdawać garść żółtych kapsułek – najprawdopodobniej azotanu amylu, powszechnie znanego jako „poppers”. Prezydent zapytał, czy chcę spróbować substancji, która funduje doznania jak podczas ataku serca, ale poza tym rzekomo zwiększa doznania erotyczne. Odmówiłam, ale on mimo to otworzył kapsułkę i zbliżył ją do mojego nosa. (Prezydent cierpiał na liczne dolegliwości i przywykł do brania wielu leków. Ponoć stosował amfetaminę dla dodania sobie energii. Ale tamtego dnia nie zażył narkotyku: stałam się jego królikiem doświadczalnym). Kilka minut po wciągnięciu proszku moje serce zaczęło gwałtownie łomotać, a dłonie drżeć. Było to dla mnie zupełnie nowe doznanie, wystraszyłam się. Wpadłam w panikę i z płaczem wybiegłam z pokoju, modląc się, żeby to się szybko skończyło i żebym nie dostała ataku serca. Dave Powers, niech go Bóg błogosławi, pobiegł za mną i zaprowadził mnie do zacisznego miejsca na tyłach domu, gdzie siedział przy mnie ponad godzinę, dopóki działanie narkotyku nie ustąpiło.

Nie spędziłam tamtej nocy z prezydentem Kennedym. Zatrzymał się w apartamencie znanym obecnie jako Skrzydło Kennedy'ego, z osobnym wejściem z jednej strony posiadłości Crosby'ego. Czy był sam? Nie wiem.

Po raz pierwszy – i jedyny – odkąd go poznałam, czułam ulgę, że nie jesteśmy razem. Zasnęłam w jednym z pokoi dla gości.

Nie była to jednak moja pierwsza przykra chwila z prezydentem. Dopuszczył się jeszcze bardziej bezdusznego i niewybaczalnego czynu na basenie w Białym Domu podczas jednego z naszych pływackich spotkań w południe pod koniec lata. Dave Powers siedział na brzegu, a ja i prezydent leniwie pływaliśmy wokół siebie, wesoło pluskając się w wodzie. Dave zdjął marynarkę i poluzował krawat, ale poza tym był ubrany. Siedział na ręczniku z podwiniętymi nogawkami, a jego bose stopy powoli poruszały się w wodzie.

Prezydent podpłynął do mnie i szepnął mi na ucho:

– Pan Powers wydaje się nieco spięty – powiedział. – Może się nim zajmiesz?

Doskonale wiedziałam, co ma na myśli. Mówił o seksie oralnym. Chyba nie przypuszczał, że to zrobię, ale – wyznaję to ze wstydem – zrobiłam. To była żałosna, wstrętna scena i dzisiaj bardzo trudno mi o niej myśleć. Dave był rozweselony i uległy, kiedy stałam w płytkim krańcu basenu, wykonując swoje zadanie. Prezydent przyglądał się w milczeniu.

Mimo wielu prób nie potrafię znaleźć w tym epizodzie niczego – żadnej emocji ani myśli – co byłoby choćby zalążkiem wytłumaczenia, dlaczego bez wahania spełniłam polecenie prezydenta. Może dałam się ponieść żartobliwej atmosferze, która go otaczała. Może byłam zauroczona jego czarem i władzą. Bez wątpienia miały w tym jakiś udział także mój brak pewności siebie i pragnienie zdobycia jego uznania. Po części chodziło również o to, że wszyscy troje czuliśmy się ze sobą blisko związani – w sposób, w jaki konspiratorzy czują się związani z ludźmi, z którymi konspirują. Łączyło mnie z Dave’em coś, co przypominało pępowinę i wiązało się z naszym wspólnym oddaniem prezydentowi Kennedy’emu

oraz z potajemnym związkiem, w którego zapoczątkowaniu Dave odegrał zasadniczą rolę. Tym razem człowiek, wobec którego byliśmy całkowicie lojalni, posunął się jednak za daleko. Wykorzystał mnie emocjonalnie i zdeprecjonował Dave'a. Po co? Żeby patrzeć, jak spełniam jego polecenie, i pokazać Dave'owi, jak wielką ma nad nami kontrolę?

Potem byłam bardzo zażenowana. Wynurzyłam się z basenu i poszłam do szatni. Słyszałam, jak Dave mówi surowym tonem, którego nigdy wcześniej nie używał przy mnie w stosunku do swojego szefa.

– Nie powinieneś być jej do tego zmuszać – powiedział.

– Wiem, wiem – odpowiedział prezydent.

Później skruszony prezydent Kennedy przeprosił nas oboje.

Mam ogromną sympatię do Dave'a Powersa, który zmarł w 1998 roku w wieku osiemdziesięciu pięciu lat, po trzech dekadach pracy jako kurator muzeum w Bibliotece imienia Kennedy'ego w Bostonie. Był jednym z najzabawniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek znałam, a poza tym nie był głupi. Zręcznie łączył swoją jowialną osobowość z poważnym i niezważającym na nic oddaniem prezydentowi Kennedy'emu. Richard W. Stevenson, który napisał nekrolog Dave'a w „New York Timesie”, doskonale to uchwycił:

Zapytany kiedyś o najtrudniejszą chwilę w swojej karierze politycznej, przytoczył historię o tym, jak zapomniał przynieść czarne buty pasujące do granatowego garnituru Kennedy'ego na krajowy konwent Demokratów w 1952 roku, czym zmusił Kennedy'ego do wygłoszenia transmitowanego w telewizji przemówienia w brązowych butach.

„A kiedy było już po wszystkim – dodał pan Powers – chciałem, żeby się odprężył, i powiedziałem: »Panie senatorze, jeszcze nigdy nie widziałem na widowni aż tylu brązowych butów«”.

Właśnie taki był Dave Powers, którego znałam: człowiek tak oddany Johnowi Kennedy'emu, że był zdruzgotany, kiedy jego szefowi przyszło włożyć brązowe buty do granatowego garnituru i wystąpić w czarno-białej

telewizji – za to potem umiał uratować sytuację i swoją godność jednym błyskotliwym zdaniem. Z drugiej strony współczuję Dave’owi. Mogę sobie jedynie wyobrazić, jak odrażające zadania musiał wykonywać na życzenie prezydenta – bo wiem, co musiał robić, kiedy te zadania dotyczyły mnie.

Jedna z najbardziej niepokojących misji, jakie Dave wykonał w mojej sprawie, miała miejsce kilka tygodni po moim powrocie do Wheaton, jesienią 1962 roku. Coraz bardziej się martwiłam, że zaszłam w ciążę, a kiedy zadzwonił „Michael Carter”, powiedziałam mu o tym. Wyznałam, że się niepokoję. Okres spóźniał mi się dwa tygodnie. Prezydent podszedł do tego spokojnie, choć przecież nie powinien był być zaskoczony. Nie miałam pojęcia o antykoncepcji, a on nigdy się nie zabezpieczał (albo ze względu na swój katolicyzm, albo przez lekkomyślność – nigdy nie byłam pewna).

Godzinę później do akademika zadzwonił Dave Powers i skontaktował mnie z kobietą, która знаła pewnego lekarza w Newark w New Jersey. Aborcja była wtedy nielegalna, ale jeśli miało się gotówkę i dojście do jakiegoś wyrozumiałego specjalisty, można było się jej poddać bez większego trudu. Zadzwoniłam do tej kobiety, przedstawiłam się i dostałam nazwisko i numer tego lekarza. Dave musiał polecić komuś – bo przynajmniej tego nie zrobił sam – żeby przygotował ją na tę rozmowę. Wszelkie powiązania prezydenta Kennedy’ego z lekarzem przeprowadzającym aborcje byłyby katastrofalne w skutkach. Nawet potulni dziennikarze z Białego Domu nie potrafiliby przymknąć oka na taką historię.

To była kwintesencja Dave’a Powersa: zajął się problemem natychmiast i ze ślepym pragmatyzmem. Nie było pytań o to, czego chcę, jak się czuję, ani wyjaśnienia, jakie zagrożenia medyczne niesie z sobą aborcja. I dobrze. Ilekroć próbowałam usiąść, wziąć głęboki oddech i przeanalizować

dostępne możliwości, miałam pustkę w głowie. Brakowało mi narzędzi do racjonalnego stawienia czoła sytuacji – a ponieważ nikomu nie mogłam się zwierzyć, pogrążyłam się w stanie ogromnego niepokoju.

W końcu okazało się, że to fałszywy alarm. Nigdy nie skontaktowałam się z lekarzem w Newark. Dwa dni później dostałam okres i problem się rozwiązał. Ani Dave, ani prezydent nigdy więcej o tym nie wspominali.

Spieszę dodać, że przez znaczną większość czasu, jaki spędziłam z prezydentem Kennedym, JFK był uroczym, troskliwym i serdecznym człowiekiem. W jego towarzystwie zawsze poprawiał mi się humor i jestem przekonana, że prawie wszyscy pracownicy Białego Domu reagowali na niego tak samo. Miał jednak swoje demony i biorąc pod uwagę kilka przeblysków jego gorszej strony, które miałam okazję ujrzeć, drzę na myśl o tym, jakie niewdzięczne zadania powierzał jeszcze Dave’owi Powersowi. Dave sprawiał wrażenie osoby zbyt miłej, by mogła czuć się w związku z tym dobrze, ale podejrzewam, że skoro pomagał uwalniać umysł prezydenta od trosk, jego rola raczej nie spędzała mu snu z powiek. Nie sądzę, by – gdy szło o prezydenta – pierwszym odruchem Dave’a Powersa było odróżnianie dobra od zła.

Tydzień przed świętami Bożego Narodzenia dołączyłam do prezydenta na Bahamach, gdzie spotykał się z premierem Wielkiej Brytanii Haroldem Macmillanem. Tym razem nie leciałam samolotem Air Force One ani tym transportującym ekipę z Białego Domu. Ktoś z biura prasowego, prawdopodobnie Chris Camp, musiał się poskarżyć Pierre’owi Salingerowi albo uświadomić mu, że prasa zaczęła się interesować moim udziałem w oficjalnych podróżach. Zamiast tego poleciałam zwykłym samolotem, okazując opłacony już bilet. I nie miałam nic przeciwko temu. Był grudzień

i nie mogłam się doczekać słońca w klubie Lyford Cay, gdzie zatrzymała się świta prezydenta.

Podróżowanie bez oficjalnej przykrywki biura prasowego wiązało się z pewnymi komplikacjami. Oznaczało, że przez cały czas w Lyford Cay muszę być niewidzialna. Nikt nie mógł się dowiedzieć, że tam jestem. Nie było to trudne, dopóki relaksowałam się w samotności w luksusowej willi albo kiedy oficjalne obowiązki JFK zostały już wypełnione i wieczorem zjawiał się Dave Powers, żeby zawieźć mnie do wynajętego przez prezydenta domu. Większość pracowników Białego Domu mieszkała w pokojach w siedzibie klubu, więc te kursy między moją kwaterą a domem prezydenta nie rzucały się w oczy.

Kiedy jednak nadszedł piątek i trzeba było pojechać na lotnisko, Dave Powers popełnił nietypowy dla siebie błąd taktyczny. Miałam pojechać na lotnisko jego samochodem i podjechać pod dom prezydenta wraz z resztą świty, a następnie wraz z całą kawalkadą samochodów pojechać na lotnisko. Dave'owi zależało jednak na tym, żebym pozostała niewidzialna. Kazał mi usiąść z przodu – mało tego: polecił mi przykucnąć na podłodze samochodu, żeby nikt mnie nie zobaczył. Zapomniał jednak, że mam metr siedemdziesiąt osiem wzrostu. Starłam się wpasować pod deskę rozdzielczą, ale gdy kawalkada podjechała pod willę prezydenta, zostałam zauważona.

Oto jak Sally Bedell Smith, opierając się na ustnej relacji Barbary Gamarekian, której zapis przechowywano w Bibliotece imienia Kennedy'ego, opisała tę scenę w swojej książce *Grace and Power*:

W piątek po południu, kiedy Kennedy opuszczał Nassau, znowu pojawiła się Mimi Beardsley. „Gdy kawalkada samochodów podjechała pod dom, żeby zabrać prezydenta – wspominała Barbara Gamarekian – Pierre Salinger i jego bliska współpracowniczka Chris Camp zobaczyli za drzwiami czubek czyjejs małej głowy i pomyśleli, że na przednim siedzeniu samochodu siedzi dziecko. Chris powiedziała do Pierre'a: »Kto to może być?«. Podeszli do

limuzyny i zajrzeli do środka, a tam na podłodze siedziała przycupnięta Mimi! Usadowiła się na dole, żeby nikt jej nie zobaczył. Najwidoczniej była [w Nassau] od kilku dni. Chris i Pierre rzucili jedno spojrzenie i wycofali się bez słowa”.

Cały powyższy fragment jest bez wątpienia zgodny z prawdą. Byłam tam i mogę to potwierdzić. Gdy chowałam się pod deską rozdzielczą w gorącym słońcu, nie miałam jednak pojęcia, co się dzieje. Nie słyszałam ludzi rozmawiających za szybą, nie czułam, że wyciągają szyje, żeby przyjrzeć się czubkowi mojej głowy. Zwyczajnie podporządkowałam się Dave’owi Powersowi. Przykucnęłam i – jak często mi się zdarzało – czekałam.

Nadal nie pojmuję, dlaczego Dave w ogóle poczuł potrzebę, żeby mnie ukryć. Prezydent jechał z Nassau do Palm Beach. Skoro miałam pozostać w ukryciu, dlaczego moje nazwisko figurowało na liście pasażerów samolotu lecącego na Florydę, obok nazwisk Dave’a Powersa, Kenny’ego O’Donnella, ambasadora Stanów Zjednoczonych w Związku Radzieckim Llewellyna Thompsona i wielu innych? Dlaczego w drodze powrotnej do domu pozwolono mi siedzieć z tyłu samolotu, na oczach wszystkich ludzi?

Drażę ten temat, bo uwypukla parę sztuczek, jakie płata nam pamięć.

Po pierwsze, pokazuje, że ludzie kierują się odmiennymi motywami nie tylko w związku z tym, co pamiętają, ale także w odniesieniu do sposobu, w jaki dzielą się wspomnieniami. Barbara Gamarekian opowiedziała tę historię, bo uznała ją za wymowną chwilę godną okrzyku: „Mamy cię!”, dzięki której ona i inni zbliżyli się odrobinę do „jaskrawego dowodu” mojego romansu z prezydentem.

Ten incydent pokazuje, że choć skrywanie sekretu nie tuszuje wspomnień, to jednak silnie je zabarwia. Zmusza nas do selektywności, nawet jeśli dochodzi do niej wyłącznie przez wzgląd na własne przetrwanie. Gdybym nie przeczytała tego fragmentu o sobie w książce Bedell Smith, raczej nie przypomniałabym sobie incydentu z ukrywaniem się

w samochodzie w taki sposób – jako komicznego zwieńczenia tamtej podróży. Skupiałabym się na tym, jak luksusowe i dekadentkie były tamte trzy dni w karaibskim słońcu w porównaniu z siedzeniem w akademiku z koleżankami z Nowej Anglii. Na tym, jak odprężony był prezydent i jak niezwykle było spędzenie z nim trzech wieczorów pod rząd. Na tym, jak zareagowała moja rodzina na opaleniznę, kiedy przyjechałam do domu na święta Bożego Narodzenia. Jeśli jednak chodzi o ukrywanie się w samochodzie, pozwoliłam, by ten konkretny moment zniknął z mojej pamięci, tak jak zrobiłoby wielu z nas w konfrontacji z niepotrzebnym upokorzeniem z przeszłości. Dopiero kiedy o tym przeczytałam, wszystko mi się przypomniało.

Dzisiaj zdaję sobie sprawę, że tamtego dnia doświadczyłam dwóch upokorzeń. Pierwsze wiązało się z koniecznością ukrywania się w samochodzie. Drugim było to, że ludzie z biura prasowego wiedzieli o mnie i po cichu się ze mnie śmiali.

Zastanawiam się, co jest większym upokorzeniem, ale wcale się nie dziwię, że tak długo skrywałam swój sekret. Nie ukrywałam go jedynie przed wszystkimi wokół. Po części ukrywałam go także przed sobą.

Rozdział dziesiąty

– Poznałam kogoś – powiedziałam prezydentowi zimą 1963 roku. Mówiłam żartobliwym tonem, ale także z pewną dumą, bo w odpowiedzi na jego pytania rzadko mogłam opisać jakieś istotne wydarzenie ze swojego życia towarzyskiego. A pytał zawsze. – Pojechałam do Williams College na randkę w ciemno.

– Do Williamsa! – zawołał. – Jak mogłaś?

– Nie każdy studiuje na Harvardzie, panie prezydencie.

Podczas tamtej rozmowy – prezydent zadzwonił do mnie do Wheaton – JFK domagał się szczegółów, ale po zaledwie jednej randce brakowało mi konkretów. Wszystko, co mogłam powiedzieć, sprowadzało się do tego, że moja randka była „naprawdę miła”.

Prezydent nadal udawał wstrząśniętego.

– Ach, Mimi – powiedział – chyba nie zamierzasz mnie opuścić?

– Oczywiście, że nie – zapewniłam go.

I mówiłam szczerze. Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że mogłabym się odsunąć od prezydenta. Ale z czasem to się zmieniło.

Tym młodym mężczyzną, o którym wspomniałam, był Tony Fahnestock, który studiował na ostatnim roku na Williamsie. Dopiero później wyznał mi, że zaproszenie na uczelnianą zimową zabawę, które od niego dostałam, było bezwstydnym wybiegiem. To nie ja go zainteresowałam – chciał poznać moje piękne blondwłose koleżanki: Wendy Taylor i Kirk Dyett.

Wcześniej widziałam Tony'ego tylko raz, z daleka, latem 1959 roku, kiedy miałam szesnaście lat i pomagałam mamie. Byliśmy wtedy w klubie plażowym Seabright w New Jersey. Tony siedział z grupką osiemnastoletnich chłopaków i dziewczyn pod parasolem w zielono-białe paski, a ja pilnowałam, żeby moi mali podopieczni nie potopili się w basenie dla dzieci. Dwuletnia różnica wieku to ogromna przepaść, kiedy jest się nastolatkiem. Pamiętam, jak patrzyłam na grupkę przyjaciół Tony'ego, którzy leniuchowali i śmiali się, zazdrościłam im chłodnego wyrafinowania i zastanawiałam się, czy kiedykolwiek stanę się taka jak oni. Dlatego byłam zaskoczona, kiedy Tony niespodziewanie zadzwonił do mnie do Wheaton. Nie przypuszczałam, że kiedykolwiek go jeszcze spotkam.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłam, kiedy odebrał mnie z dworca autobusowego w Pittsfield w Massachusetts, były jego ciemne brązowe oczy w kształcie półksiężyców. Nadawały mu ujmujący, zaspany wygląd. Był pięć centymetrów wyższy ode mnie, co komuś o moim wzroście sprawiało ulgę. Nie był arogancki, wrzaskliwy i nazbyt pewny siebie i nie rozwodził się na swój temat. Jego spokój i powaga od razu mi się spodobały.

Przez większość weekendu Tony był pochłonięty specjalnymi egzaminami w Departamencie Stanu. Rozważał podjęcie pracy w CIA. Nasza randka była w zasadzie sobotnią potańcówką, podczas której musiałam namawiać Tony'ego, żeby wyszedł na parkiet. Zaskoczyliśmy się nawzajem, bo od razu między nami zaiskrzyło – do tego stopnia, że wkrótce Tony zapomniał o moich ślicznych koleżankach i skupił się wyłącznie na mnie. Wiedziałam, że dzieje się coś wyjątkowego, kiedy Tony uparł się, że w niedzielę odwiedzi mnie aż do Wheaton, co oznaczało

trzygodzinną podróż w weekendowych korkach zamiast odprawienia mnie autobusem z dworca w Pittsfield.

To było wszystko, co wiedziałam na temat Tony'ego, kiedy oznajmiłam prezydentowi Kennedy'emu, że „kogoś poznałam”. Nie potrafię powiedzieć, czy po prostu chciałam mieć chłopaka „na poważnie”, czy też czułam, że Tony to „ten jedyny”. Za to mogłam być pewna, że w teorii ja i Tony pasowaliśmy do siebie idealnie. Nasze rodziny były podobne, dość dobrze sytuowane i należały do podobnych klubów. Tony uczył się w dobrej szkole z internatem, w Brooks, i miał doskonałe perspektywy na przyszłość. Zostałam wychowana, by być z kimś takim jak on.

W ciągu następnych tygodni dwa razy odwiedziłam Tony'ego w Williamsie – a potem on zaczął przyjeżdżać do Wheaton. Posiadanie tak oddanego chłopaka było dla mnie nowym doświadczeniem. Oszalało mnie i odurzało, lecz jednocześnie było wysoce dezorientujące – dlatego że zmusiło mnie do konfrontacji z długotrwałą i jednostronną relacją z prezydentem. Mimo że ja i Tony nie byliśmy jeszcze ze sobą „na stałe”, jak mówiło się wtedy o poważnych związkach, nie miałam cienia wątpliwości, że jest moim chłopakiem, i to bardzo pożądanym. Wiedziałam, że w pewnej chwili będę musiała podjąć decyzję w sprawie prezydenta. Ale na razie nie byłam na to jeszcze gotowa.

Kiedy zima stopniała w wiosnę, zaczęłam się spotykać z Tonym praktycznie co weekend – albo w Williamsie, albo w Wheaton. Nie łączyła nas jeszcze intymność. Nigdy nie nalegał na seks.

Mimo że jego dżentelmeńskie zachowanie było dość atrakcyjne, ta sytuacja wydawała mi się trochę zagadkowa. Dzięki prezydentowi Kennedy'emu znałam już rozkosze erotycznej bliskości, a poza tym Tony

pociągał mnie fizycznie. Pragnęłam zatem czegoś więcej niż obcałowywanie się w akademikach i samochodach. Ale namawianie Tony'ego na seks wywołałoby pytania – w tamtych czasach takie dziewczyny jak ja nie robiły takich rzeczy. Być może musiałabym wyjaśniać, dlaczego nie jest to mój pierwszy raz, a nie miałam ochoty na taką rozmowę.

Kiedy nie spędzałam weekendów z Tonym, spędzałam je z prezydentem. Tony nie interesował się moim drugim życiem w Waszyngtonie i nie budziło ono jego podejrzeń. Dlaczego miałyby być inaczej? Kiedy zaczęliśmy się spotykać, miałam już za sobą całe lato w Białym Domu – i uprzedziłam go, że nawet w ciągu roku akademickiego czasami jestem potrzebna w biurze prasowym. Nie tylko przyjął to kłamstwo, lecz zrobiło ono na nim wrażenie. Pewnego razu, kiedy mu powiedziałam, że być może pojedę do Białego Domu na drugi letni staż, Tony z dumą przedstawił mnie swojemu ulubionemu profesorowi w Williamsie Frederickowi Rudolphowi. Doktor Rudolph, wybitny historyk, przeprowadzał się latem do Waszyngtonu wraz z rodziną na urlop naukowy i Tony chciał mu powiedzieć, że ja też tam będę, bo wybieram się do pracy w Białym Domu.

Wcześniej nigdy nie byłam dwulicowa. Pamiętam, że tylko raz zdarzyło mi się skłamać – chodziło o nieładną sukienkę, którą mama kazała mi zabrać w podróż. Powiedziałam jej, że ją spakowałam, choć tak naprawdę zostawiłam sukienkę w pokoju. Moje kłamstwo wyszło na jaw, kiedy mama ją znalazła. Poza tym uważałam się za osobę wysoce moralną, która potrafi odróżnić dobro od zła. Podejrzewam, że większość z nas myśli o sobie w ten sposób – że widzimy siebie jako porządne istoty. Ja jednak traktowałam swoją uczciwość jako kluczowy aspekt własnej osobowości, podstawową wartość. Nie byłam święta, ale gdybym została poproszona

o wymienienie swoich zalet, powiedziałabym, że jestem miła, chcę być lubiana, staram się zadowalać ludzi i mówię prawdę. To, że nigdy świadomie nie wyrzuciłam nikomu krzywdy kłamstwem, było dla mnie ważne.

Teraz coraz bardziej angażowałam się w związek z moim pierwszym prawdziwym chłopakiem, a w sercu naszego związku tkwiło potężne, wciąż obecne oszustwo. Kłamstwo. Nie da się uniknąć kłamania, kiedy człowiek postanawia coś ukryć. Kłamstwo staje się grzechem przemilczenia, lecz mimo to pozostaje kłamstwem.

Po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że moje potajemne życie z prezydentem może mieć konsekwencje dla kogoś więcej niż ja sama. Zanim poznałam Tony'ego, mój sekret był moim problemem, nie wywierał wpływu na żadną ze znanych mi osób. Gdybym zabrała tę tajemnicę do grobu, nikt by nie ucierpiał. To jednak zaczęło się zmieniać, bo traktowaliśmy się z Tonym coraz poważniej i zaufanie stało się niezbędne.

Już wkrótce bez przerwy myślałam o Tonym. Zaczęłam marzyć o nim na jawie jak smarkula – jak każda młoda kobieta mająca nowego oblubieńca, oddawałam się zaprawionej poczuciem winy rozkoszy: „Kocha, nie kocha”. Ćwiczyłam nawet podpisy: „Pani Anthonowa E. Fahnestock” i „Mimi Fahnestock”, na marginesach zeszytu. Przy Tonym zaczęłam myśleć, że czeka nas wspólna przyszłość. Natomiast przy prezydencie zaczęłam sobie uświadamiać, że moje przywiązanie, choć silne, nie ma żadnej przyszłości – było prawdziwe i zarazem nierzeczywiste.

Nie potrafię wskazać konkretnej chwili i miejsca, w których zdałam sobie sprawę, że Tony Fahnestock jest mężczyzną, którego kocham. Często zastanawiam się dlaczego. Możliwe, że kiedyś wiedziałam, ale zwyczajnie zapomniałam. Możliwe także, że ukrywając całą prawdę o tym, kim jestem, ukrywałam także siebie, pozbawiając się możliwości doświadczenia

dreszczyku zakochania. To tylko jeden z wielu kosztów, jakie poniosłam w związku ze swoim sekretem. Nie życzyłabym tego nikomu.

Mimo to czas spędzany z prezydentem, kiedy JFK poświęcał mi całą uwagę, był dla mnie jak potężny zastrzyk poczucia własnej wartości. A trudno zerwać z takim przyzwyczajeniem. Pomimo upokorzeń i niepewności nadal byłam oczarowana charyzmą Johna Kennedy'ego i prestiżem związanym z podróżowaniem w jego świcie. Moje uczelniane życie, złożone z pokojów w akademiku, jadania w stołówce, imprez bractw, odrabiania zadań domowych i chodzenia do kina, bledło w porównaniu z Air Force One, karaibskimi kurortami, Secret Service i limuzynami.

Mówiąc wprost, prowadziłam podwójne życie i każda z jego odsłon mi się podobała.

W połowie marca 1963 roku towarzyszyłam prezydentowi w podróży na południe Florydy. Wziął wolny weekend, żeby odpocząć w rodzinnej posiadłości w Palm Beach przed wyruszeniem do Kostaryki na spotkanie z przywódcami Ameryki Środkowej. Zakwaterowanie mnie w domu nie byłoby stosowne, więc Dave Powers wynajął dla mnie pokój w różowym motelu przy autostradzie South Dixie w West Palm Beach, gdzie rano grałam w czekanie, a popołudniami prezydent przysyłał po mnie samochód i przez kilka godzin relaksowaliśmy się razem nad basenem. Wieczorem prezydent i Dave wypływali w rejs rodzinnym jachtem Honey Fitz, a ja wracałam do motelu. Nazajutrz powtarzaliśmy to wszystko od nowa.

Kiedy prezydent wyruszył do Kostaryki, zostałam w motelu jeszcze dwa dni, a potem wróciłam do Nowego Jorku. Była to miła chwila wytchnienia. Zbyt miła, jak się później okazało. Pewnego dnia za długo leżałam na słońcu i dostałam silnego udaru słonecznego. Miałam gorączkę

i mdłości, wpadłam w panikę. Nie wiedząc, co robić, odnalazłam Dave'a Powersa na Kostaryce i zadzwoniłam po pomoc. Dave skontaktował się z recepcją motelu – oddaloną od mojego pokoju o niespełna trzydzieści metrów – i polecił personelowi się mną zająć. Podałam się chłodnym kąpielom i piłam mnóstwo wody. Gdyby nie udar słoneczny, byłaby to miła krótka przerwa w nauce w środku zimy. Ale pęcherze na mojej klatce piersiowej były nieznośne, uniemożliwiały mi zaśnięcie na dłużej niż godzinę. Potem przez lata po wyjściu na słońce piekąca skóra przypominała mi o tamtej przygodzie.

Zdumiewa mnie, jak mogłam nie czuć poirytowania, kursując między swoim skromnym pokojem w motelu – w którym przez większość tamtego weekendu oglądałam telewizję – a urządzoną z przepychem posiadłością Kennedych, gdzie bez końca panowała imprezowa atmosfera. Chyba powinnam była się poczuć ponizona, jak obywatelka drugiej kategorii, którą należy ukrywać, usuwać z widoku. Ale szczerze mówiąc, nie przypominam sobie, abym coś takiego czuła. Pamiętam, że byłam szczęśliwa, że tam jestem. Tak wielkie było moje odurzenie prezydentem.

To odurzenie nie ustępowało mimo pogłębiającego się uczucia do Tony'ego. Nawet jeśli byłam zdezorientowana równoczesnym związkiem z dwoma mężczyznami, dobrze to maskowałam. Tamtej wiosny opracowałam plan, zgodnie z którym miałam odejść z Wheaton po drugim roku, odbyć drugi letni staż w biurze prasowym, a następnie zostać w Waszyngtonie, gdzie z pewnością czekała na mnie jakaś ekscytująca posada. W 1964 roku prezydent miał się ubiegać o reelekcję, więc pomyślałam, że mogłabym pracować przy jego kampanii. Fiddle zrobiła to samo trzy lata wcześniej. Zrezygnowała z *college'u*, żeby pracować przy pierwszej kampanii prezydenckiej Kennedy'ego, i zdecydowanie wyszło jej to na dobre.

Tym razem rodzice nie próbowali mnie namawiać na ukończenie *college*'u. W tamtych czasach nie było niczym niezwykłym, że dziewczyna idzie na dwuletnią uczelnię albo rzuca naukę przed zdobyciem dyplomu, żeby wyjść za mąż i rozpocząć pracę. Tony także poparł mój plan.

Byłam tak oczarowana swoim życiem w Białym Domu, że nie chciałam, aby się skończyło.

Gdybym jednak wiedziała, jaką odrazę budzę wśród kobiet w biurze Pierre'a Salinger'a, pewnie nie paliłabym się do powrotu. Kiedy czytałam zapis ustnych relacji Chris Camp i Barbary Gamarekian w Bibliotece imienia Kennedy'ego, kilka akapitów na mój temat okazało się naprawdę przygnębiających. „Mimi nie miała żadnych umiejętności, nie potrafiła pisać na maszynie – wspominała Barbara Gamarekian. – Odbierała telefony, zajmowała się wiadomościami i innymi sprawami, ale tak naprawdę nie była dla nas cennym pracownikiem”.

Chris Camp też była surowa, opisując mnie jako „faworytę prezydenta”, której

zdolności, umiejętności i kwalifikacje potrzebne do utrzymania pracy w biurze prasowym nie były oczywiste dla żadnego z jej współpracowników (...). Robiła, co mogła, ale nie była maszynistką, nie umiała stenografować, nie była wyszkolona w pracy biurowej ani w stenografii. Innymi słowy, zajmowała miejsce, które mogłoby przypaść komuś, kto posiadał wymagane umiejętności.

Z tego, co wiem, Chris nie czuła do mnie osobistej niechęci – przynajmniej nazwała mnie „bardzo miłą dziewczyną”. Najwyraźniej miała do mnie jednak żal na gruncie zawodowym. Udział w prezydenckich podróżach samolotem był najwyższym wyróżnieniem w biurze prasowym, a według niej nie zrobiłam nic, żeby na nie zasłużyć. Chris przez lata ciężko pracowała na swoją pozycję – już kiedy prezydent był senatorem – i całkiem słusznie miała do mnie pretensje o to, że z taką łatwością zdobyłam miejsce w Air Force One. W zarejestrowanej wypowiedzi

twierdziła, że co najmniej raz mówiła Pierre'owi, żeby „usunął ją [Mimi] z samolotu prasowego, usunął ją z Air Force One (...) i trzymał ją z dala od kawalkad samochodów”.

Z kolei Barbara Gamarekian wyraźnie mnie nie lubiła i też drażniło ją to, z jaką łatwością przeskoczyłam normalną hierarchię pracowników, biorąc udział w upragnionych prezydenckich podróżach. „Mimi, która najwyraźniej nie była w stanie pełnić jakiegokolwiek funkcji, brała udział we wszystkich podróżach” – powiedziała.

Barbara się myliła. Nie „brałam udziału we wszystkich podróżach” i nie mogę teraz przeproszać za to, że w nich uczestniczyłam. W zasadzie moim największym rozczarowaniem było to, że w czerwcu 1963 roku nie zabrano mnie w prezydencką podróż do Europy, gdzie prezydent wygłosił swoją symboliczną mowę „*Ich bin ein Berliner*”***** przed murem berlińskim, a potem odbył triumfalną podróż do Irlandii, Anglii i Włoch. W swoich wspomnieniach Gamarekian twierdzi, że gdy nie zabrano mnie w tę podróż, zachowałam się jak rozpuszczone dziecko – że z płaczem zadzwoniłam do prezydenta, kiedy był w Irlandii, i poskarżyłam się, że Helen Ganss, która na czas podróży przejęła kierownictwo w biurze prasowym, nie dała mi wolnego piątku. Barbara powiedziała, że po moim telefonie prezydent „wpadł w furję” i oznajmił Dave'owi Powersowi, że „gdyby był w Waszyngtonie, Helen Ganss natychmiast wyleciałaby z pracy”.

Nigdy nie wykonałam takiego telefonu. To Helen Ganss, a nie ja, zadzwoniła do prezydenta, żeby mu przekazać jakieś informacje, a ja w tle udałam, że płaczę z żalu, bo nie mogę uczestniczyć w tej podróży. Właśnie na to zareagował prezydent, zresztą tylko żartem. Chciał wiedzieć, dlaczego nie uczestniczę w delegacji i kto uniemożliwił mi wyjazd. Helen

dyplomatycznie odpowiedziała, że nie wie, co prezydent przyjął zupełnie spokojnie. Nikt nie został zwolniony – a ja nie dostałam wolnego dnia.

Przytaczam ten głupi epizod, bo relacja Barbary stała się częścią upublicznionej wersji wydarzeń i zaczyna się ukazywać w najnowszych biografiach prezydenta. Ale to nieprawda. Być może byłam naiwną i czasami niemądrą młodą kobietą, ale nigdy nie zwracałabym prezydentowi głowy tak błahymi osobistymi skargami.

Możliwe, że gorycz Gamarekian jest uzasadniona. Kiedy przyjechałam do Białego Domu na drugi letni staż, prezydent najwidoczniej powiedział Pierre’owi, że powinnam zastąpić Barbarę na stanowisku nadzorczyńi sesji fotograficznych w Gabinetecie Owalnym, a Pierre się temu podporządkował. Barbary na pewno to nie ucieszyło. Dostęp do Gabinetu Owalnego był w zachodnim skrzydle Świętym Graalem, który odebrała jej – jak mnie określiła – „dziewczynka z biura”.

Ostatecznie nie winię jednak – nie mogę winić – ani Chris, ani Barbary za ich surowe opinie na mój temat. Tamta pierwsza podróż do Yosemite – podczas której godzinami byłam uwięziona w swoim pokoju, czekając, aż prezydent mnie wezwie – nauczyła mnie, że zasadniczy charakter mojej pracy uległ zmianie i z członkini personelu Pierre’a Salinger’a stałam się częścią osobistej świty prezydenta. Tak naprawdę nie pomagałam w biurze prasowym. Byłam tam dla prezydenta Kennedy’ego – a nie dla Barbary, Chris czy kogokolwiek innego.

Na początku czerwca, tuż przed przeniesieniem się do Waszyngtonu na lato, poszłam z rodzicami Tony’ego na jego ceremonię ukończenia Williamsa. Mój udział oficjalnie sygnalizował, że myślimy o sobie „poważnie”. Wkrótce potem Tony wyjechał na szkolenie Rezerw Armii

Stanów Zjednoczonych w Fort Dix w New Jersey, a ja znalazłam pokój u dwóch bliskich przyjaciółek z Farmington, Marnie Stuart i Wendy Taylor, w mieszkaniu przy R Street w Georgetown. Marnie dostała pracę w siedzibie Korpusu Pokoju dzięki rodzinnym koneksjom, a ja pomogłam Wendy zdobyć posadę w dziale prezentów Białego Domu (poprosiłam o wsparcie prezydenta, który zawsze chętnie pomagał dziewczynom z Farmington).

Dzięki moim nowym obowiązkom związanym z sesjami zdjęciowymi w Gabinetce Owalnym tamtego lata widywałam prezydenta praktycznie codziennie, jeżeli oczywiście był w Białym Domu. Nie nocowałam jednak w rezydencji równie często jak rok wcześniej, bo pod koniec sierpnia pani Kennedy spodziewała się następnego dziecka i prezydent spędzał znacznie więcej czasu z nią i z dziećmi w Hyannis Port. Poza tym zaczęłam się trochę bardziej udzielać towarzysko: spędzałam mnóstwo czasu z Marnie i Wendy. Poszłyśmy nawet popływać w Białym Domu i wtedy moje przyjaciółki poznały prezydenta. Dave zaprosił nas na basen, a kiedy pluskałyśmy się w pożyczonych kostiumach, zjawił się prezydent, jak zawsze w marynarce i krawacie. Szybko przebrał się w kąpielówki i unosił się w wodzie obok Marnie i Wendy, wypytyując je o ich wakacyjne prace, o to, czy podoba im się w Waszyngtonie, skąd pochodzą i tak dalej. Powinnam była je uprzedzić, że prawdopodobnie zjawi się prezydent, ale chciałam im zrobić niespodziankę. Zdumienie i podekscytowanie na ich twarzach w chwili, w której przyszedł, było tego warte. Ale nawet ja byłam zaskoczona, kiedy JFK kazał przynieść nad basen pudło zwierzęcych skór. Wyjaśnił, że zamierza podarować pani Kennedy futrzany szal na święta Bożego Narodzenia i chce zasięgnąć opinii trzech dziewczyn z Farmington na temat tego, które z futer jest najmniejsze.

Jednym z nielicznych wydarzeń tamtego lata, w których nie towarzyszyłam Marnie i Wendy – czego strasznie żałuję – był ogromny wiec obrońców praw obywatelskich przy pomniku Lincolna, gdzie usłyszałam, jak doktor Martin Luther King junior osobiście wygłasza swoją mowę „Mam marzenie”. Zamierzałam tam pójść i powiedziałam o tym prezydentowi. Ostrzegł mnie, że na wiecu może dojść do aktów przemocy, więc ostatecznie nie poszłam.

W środę 7 sierpnia pani Kennedy zaczęła rodzić na Cape Cod i wydała na świat – pięć i pół tygodnia przed terminem – chłopca nazwanego Patrick Bouvier Kennedy. Chłopiec cierpiał na zespół zaburzeń oddychania noworodka, dość częsty u wcześniaków z niedowagą. Mimo że opiekowali się nim najlepsi lekarze, Patrick przeżył zaledwie półtora dnia.

W moim stosunkowo krótkim życiu nie widziałam prawdziwego smutku, dopóki nie zobaczyłam prezydenta po powrocie do Białego Domu. Pani Kennedy musiała zostać jeszcze kilka dni w szpitalu. JFK zaprosił mnie na górę i usiedliśmy na zewnątrz, na balkonie, w delikatnym ciepłe letniego wieczoru. Na podłodze obok krzesła prezydenta leżała sterta listów z kondolencjami. Sięgał po nie po kolei i czytał mi je na głos. Niektóre były od przyjaciół, inne od obcych ludzi, ale wszystkie brzmiały szczerze i niezwykle wzruszająco. Od czasu do czasu ze łzami spływającymi po policzkach zapisywał coś na którymś z nich, prawdopodobnie słowa podziękowania. Ale przede wszystkim czytał je i płakał. Ja też płakałam.

Pod koniec sierpnia Tony zadzwonił do mnie z Fort Meade i błagał, żebym przyjechała się z nim spotkać, bo nie dostał przepustki na weekend

i potwornie za mną tęsknił. Wyjaśniłam, że czekają na mnie w domu w New Jersey, bo zbliżają się urodziny mamy, ale on nalegał.

Fakt, że Tony stacjonował w Fort Meade w Marylandzie, zaledwie godzinę jazdy od Waszyngtonu, był wynikiem jednej i jedynej przysługi, o jaką kiedykolwiek poprosiłam prezydenta dla osobistej korzyści. Pod koniec podstawowego szkolenia w Fort Dix Tony dowiedział się, że na następne pół roku został przydzielony do Fort Polk w Luizjanie. To oznaczało, że nie będziemy mogli się widywać, więc poprosiłam prezydenta, żeby coś na to poradził. Byliśmy sami w Gabinetce Owalnym. Ze łzami w oczach przedstawiłam prezydentowi swój problem. Wiedziałam już, że jestem zakochana w Tonym, i chciałam, żeby był bliżej Waszyngtonu – oraz bliżej mnie. Na początku prezydent żartował, mówiąc, że z wielką przyjemnością usuwa rywala ze sceny, ale widząc moje łzy i cierpienie, szybko zmienił ton. Powiedział, że porozmawia ze swoim doradcą wojskowym generałem dywizji Chesterem Cliftonem, i kilka dni później Tony został skierowany do Fort Meade w Marylandzie.

Teraz Tony nalegał, żebym przyjechała do niego na weekend.

– Muszę ci coś powiedzieć – dodał.

Tak bardzo się upierał, że zaczęłam się martwić. Czyżby odkrył mój sekret? A może postanowił ze mną zerwać? Powiedziałam mamie, że w weekend mam nadgodziny w Białym Domu, i pojechałam autobusem do Fort Meade. Tony poprosił, żebym przywiozła lunch na piknik, co trochę rozwiało moje obawy dotyczące motywów jego zachowania. Kiedy usiedliśmy na szorstkim kocu z demobilu w rogu placu defilad, zaczęłam nakładać sałatkę z kurczaka i czekałam, aż powie, co mu leży na sercu.

Od razu przystąpił do rzeczy.

– Chcę się z tobą ożenić – oznajmił. – Wyjdiesz za mnie?

Nie spodziewałam się oświadczyn, ale potrzebowałam tylko sekundy, żeby udzielić odpowiedzi.

– Tak! – zawołałam.

Praktycznie na niego skoczyłam i pocałowałam go najmocniej, jak umiałam.

Istnieje wiele powodów, dla których kobiety przyjmują propozycję małżeństwa. Pierwszą z nich powinna być miłość i w moim wypadku tak było. Ważna jest również potrzeba bezpieczeństwa i pewności. W maju skończyłam dwadzieścia lat i podobnie jak wielu młodych ludzi czułam, że mam do czynienia z mnóstwem niewiadomych. Gdzie będę pracowała, kiedy skończy się lato? Jak potoczy się mój romans z prezydentem? Gdzie będę mieszkała, gdy Marnie i Wendy wrócą do *college*'u? Czy kiedykolwiek uda mi się znaleźć tak dobrą „partię” jak Tony?

Biorąc Tony'ego za męża, zdecydowałam się na bezpieczeństwo. I być może chwyciłam się drogi ucieczki ze swojego szalonego podwójnego życia. Poza tym robiłam jednak coś, do czego od dzieciństwa przygotowywano dziewczyny z mojego pokolenia i sfery społecznej: jeśli w tamtych czasach chodziło się do takich szkół z internatem jak Miss Porter's i do takich *college*'ów jak Wheaton, nieuchronnie dostawało się zaproszenia na weekendy w Williamsie, Brownie albo Amherście, gdzie poznawało się porządnych młodych mężczyzn mających za sobą naukę w Brooksie, Grotonie albo Andoverze. Reszta zależała od ciebie. W pewnym sensie, wychodząc za Tony'ego, spełniałam swoje przeznaczenie.

To mogło wyjaśniać, dlaczego moi rodzice przyjęli wieść o zaręczynach z zadowoleniem, a nie z przerażeniem, i dlaczego nawet przez chwilę się nie martwili, że mogę być za młoda na małżeństwo. W końcu moja mama wyszła za ojca w wieku dwudziestu jeden lat. Co dość zabawne, to właśnie

moje przyjaciółki – Marnie, Wendy i Kirk – były kompletnie zaskoczone nagłością moich zaręczyn. Widziałam to w ich twarzach, ale były zdecydowanie zbyt uprzejme, aby cokolwiek wówczas powiedzieć. Dopiero znacznie później wyznały mi, co naprawdę myślały, kiedy powiedziałam im o zaręczynach: „Kim właściwie jest ten facet? Znasz go dopiero osiem miesięcy! A teraz bierzesz z nim ślub?”.

Tony podarował mi ekstrawagancki pierścionek zaręczynowy składający się z dwóch owalnych szafirów, które dawniej były spinkami do mankietów jego dziadka, otoczonych diamentami z dziadkowej spinki do krawata. Ogłoszenie o zaręczynach ukazało się w „New York Timesie” 8 września 1963 roku i obok obowiązkowych informacji na temat ukończonych przez nas szkół i naszych rodowodów wspomniano w nim o mojej pracy w biurze prasowym Białego Domu.

Nawet jeśli prezydent miał jakieś wątpliwości w związku z moimi zaręczynami, nie dał tego po sobie poznać. Podarował mi prezent zaręczynowy – dwie spinki w kształcie słońca ze złota i diamentów. Schowałam je i nigdy ich nie pokazałam ani Tony’emu, ani którejkolwiek z przyjaciółek. Jesienią wyjęłam je jednak z ukrycia, żeby pokazać prezydentowi, jak wyglądają w zestawieniu z żółtą sukienką bez rękawów, którą kupiłam w Georgetown. Nigdy więcej ich nie nosiłam.

Poza tym prezydent podarował mi swoje zdjęcie, kolorową fotografię przedstawiającą go za sterem jego żaglówki Manitou. W Białym Domu Fiddle była mistrzynią podrabiania jego podpisu na zdjęciach, o które zabiegali obywatele, ale to podpisał własnoręcznie w mojej obecności.

„Dla Mimi – napisał – z najserdeczniejszymi pozdrowieniami i głębokim uznaniem”. Uśmiechał się, kiedy mi je dawał.

– Tylko my dwoje wiemy, co naprawdę znaczą te słowa – powiedział.

We wrześniu Marnie i Wendy wróciły do *college*'u. Ja zostałam w mieszkaniu przy R Street na następne dwa miesiące, żeby dokończyć pracę w biurze prasowym i spróbować zakończyć związek z prezydentem. Wtedy nie zdawałam sobie jeszcze sprawy – bo pojęłam to dopiero, kiedy pisałam tę książkę – że wcale nie musiałam go kończyć. Na swój sprytny i elegancki sposób to prezydent kończył ze mną.

Tamtej jesieni JFK jeszcze dwukrotnie prosił, żebym towarzyszyła mu w podróży. Pod koniec września wyruszył w wielką trasę po zachodnich stanach, od Minnesoty po Nevadę, a następnie odbył szybką podróż do Nowej Anglii, gdzie przyznano mu tytuł doktora *honoris causa* na Uniwersytecie Maine. Tuż po tej drugiej podróży polecałam z Waszyngtonu dodatkowym samolotem sił powietrznych, żeby spotkać się z prezydentem w Bostonie, gdzie w sobotni wieczór JFK był gwoździem programu przyjęcia zorganizowanego przez Demokratów i połączonego ze zbiórką pieniędzy. Zaprosiłam Wendy, żeby przyjechała z Wheaton i towarzyszyła mi w apartamencie prezydenckim hotelu Sheraton Plaza przed przemówieniem prezydenta.

Po jak zwykle wypełnionym dniu, kiedy to JFK między innymi obejrzał mecz Harvarda z Columbią w Cambridge i odwiedził grób syna na cmentarzu w Brookline, zjawiłam się u prezydenta około osiemnastej trzydzieści. Odpoczywał na kanapie. Był ubrany w smoking ze spiczastymi kłapami, w którym miał pójść na przyjęcie. W pokoju był również Ted Kennedy, od dwóch lat senator Stanów Zjednoczonych, który cierpliwie znosił docinki prezydenta na temat jego niezbyt modnego kołnierza szalowego.

Moim najwyrazistszym wspomnieniem z tamtego wieczoru jest chwila, kiedy jeszcze nie było Wendy i prezydent po raz kolejny próbował się popisać swoją władzą nade mną w obecności innych mężczyzn. Widziałam, jak w jego oczach pojawia się ten złośliwy błysk, który sygnalizował, że za chwilę prezydent zażąda od kogoś zrobienia czegoś, o czym temu komuś nigdy się nie śniło.

Przygotowałam się.

– Mimi, może zajęłabyś się moim młodszym braciszkiem – powiedział do mnie w obecności Teddy’ego. – Przydałaby mu się odrobina relaksu.

Wracaliśmy do sceny z Dave’em Powersem nad basenem w Białym Domu.

Tym razem poczułam przyływ złości. I po raz pierwszy postawiłam się prezydentowi.

– Pan chyba żartuje, panie prezydencie – powiedziałam. – To absolutnie wykluczone.

Natychmiast zmienił temat.

Przez lata uważałam tamtą odpowiedź za coś w rodzaju punktu zwrotnego w moim życiu. Odkąd przyjął oświadczyń, usiłowałam znaleźć sposób, by zakończyć romans, i oto wreszcie zdobyłam się na wyrażenie swojej woli, wreszcie mówiłam nie. Poczułam się dobrze. Przez większość życia uważałam to za moment, w którym nasz związek naprawdę zaczął zmierzać ku końcowi.

Patrząc na to z perspektywy czasu, zauważyłam jednak, że nasz związek zaczął się kończyć na długo przed wizytą w Bostonie – i to z inicjatywy prezydenta Kennedy’ego. Zmusiwszy się do skatalogowania okazji i terminów, kiedy byliśmy razem, zdałam sobie sprawę, że przestaliśmy być partnerami seksualnymi pod koniec lata tamtego roku. We wrześniu, podczas pięciodniowej wyprawy na zachód, nie spędziłam

z prezydentem ani jednej nocy. W październiku, w Bostonie, spałam w hotelu we własnym łóżku.

Łatwo zrozumieć, dlaczego wtedy nie zwróciłam na to uwagi. Po pierwsze, przez całe lato widywałam prezydenta praktycznie codziennie. Uważałam za oczywiste, że nadal jestem obecna w jego życiu. To świadczy, że o wiele bardziej ceniłam sobie bycie w jego towarzystwie – bycie przy nim, a nie z nim – więc fakt, że nie potrzebował mnie już do seksu, uszedł mojej uwagi. To prezydent zmieniał nasz związek, a ja tego nie widziałam.

Tragiczna śmierć jego syna na początku sierpnia i moje zaręczyny z Tonym trzy tygodnie później były ważnymi czynnikami. To pierwsze wydarzenie musiało przepełnić prezydenta nie tylko smutkiem, lecz także bolesnym poczuciem odpowiedzialności za żonę i rodzinę. Nawet tak niepohamowany donżuan jak on mógł uznać za niestosowne dalsze uganianie się za spódniczkami, podczas gdy tak bardzo potrzebowała go rodzina. Jeśli zaś chodzi o moje zaręczyny z Tonym, możliwe, że prezydent źle się czuł, sypiając ze mną, po tym jak oficjalnie związałam się z innym mężczyzną. Bez względu na przyczynę, wydaje mi się jasne, że postępował zgodnie z jakimś prywatnym kodeksem, który przebił jego lekkomyślne pragnienie seksu – przynajmniej ze mną.

Przez resztę lata nadal widywałam prezydenta w Gabinetce Owalnym, krążąc po jego prywatnej orbicie. Nadal pływałam z nim w basenie. Nie nastąpiła żadna zmiana w naszych wzajemnych stosunkach ani w jego serdeczności. Jednak teraz, kiedy uświadamiam sobie, że to JFK kończył nasz związek erotyczny, wydaje mi się miłe – i pocieszające – to, że nasze kontakty nadal trwały i nie uległy zmianie, co dowodzi, że nie byłam dla niego jedynie zabawką, że naprawdę lubił moje towarzystwo i że gdyby pożył dłużej, mogłabym zostać kimś, kogo chciałby mieć w swoim życiu,

kto mógłby dla niego pracować po okresie prezydentury, kogo w niewielkim, lecz znaczącym stopniu mógłby uważać za przyjaciela.

Być może sobie pochlebiam.

Po raz ostatni widziałam prezydenta w hotelu Carlyle w Nowym Jorku.

Mój ślub został zaplanowany na początek stycznia i pod koniec października wróciłam do New Jersey, żeby zająć się obowiązkami panny młodej: kończeniem listy gości, rozsyłaniem zaproszeń, kompletowaniem wyprawy ślubnej, tworzeniem listy prezentów i wybieraniem sukien dla druhen.

Przed ślubem miałam jednak wziąć udział w jeszcze jednej, ostatniej, podróży z prezydentem. Wahałam się, czy jechać, nie byłam pewna, jak powiem rodzicom, że muszę wyjechać na kilka dni, kiedy było tyle spraw do załatwienia w związku ze ślubem.

– Powiedz im, że biuro prasowe cię błaga – podsunął mi Dave.

Ale wcale nie musiałam tego robić. Kilka dni później Dave zadzwonił ponownie i oznajmił, że plan uległ zmianie. Nie miałam brać udziału w tej podróży. Zapytał jednak, czy 15 listopada mogłabym przyjechać do Nowego Jorku, kiedy prezydent będzie brał udział w konwencji AFL-CIO w hotelu Americana.

– Zatrzyma się w Carlyle’u – dodał Dave – i bardzo chce się z tobą zobaczyć.

Tamtego dnia zaplanowałam w Nowym Jorku kilka spraw związanych ze ślubem i około trzynastej pojechałam do hotelu Carlyle. Rodzina Kennedych miała przestronny dwupoziomowy apartament na dwóch ostatnich piętrach tego hotelu, jednego z najwspanialszych w mieście. Apartament wypełniało naturalne światło i roztaczał się z niego przepiękny

widok na Manhattan, który był dla mnie miłą odmianą, bo znowu utknęłam w hotelu i grałam w czekanie. Kiedy już miałam wyjść, zjawił się prezydent i powiedział, że ma dla mnie prezent ślubny. Sięgnął do kieszeni i wręczył mi trzysta dolarów.

– Idź na zakupy i spraw sobie coś fantastycznego – powiedział – a potem tutaj wróć i mi to pokaż.

W tamtych czasach trzysta dolarów było mnóstwem pieniędzy. Czułam się nieswojo, mając przy sobie tak dużą gotówkę, kiedy szłam Madison Avenue. Przy Sześćdziesiątej skręciłam na wschód w stronę Bloomingdale'a. Poprosiłam ekspedientkę, żeby wskazała mi drogę do działu z najdroższymi ubraniami, i znalazłam się na trzecim piętrze. Uwielbiałam kupować ubrania, ale nigdy nie miałam do dyspozycji ekwiwalentu czeku *in blanco*. Nigdy w życiu nie dałam za nic więcej niż pięćdziesiąt dolarów, ale czułam się zobowiązana, żeby wydać wszystkie pieniądze od prezydenta. W końcu zdecydowałam się na jasnoszary wełniany kostium z czarnym aksamitnym kołnierzem i ołówkową spódnicę sięgającą kolan. Przyznaję, nie wykazałam się zbyt wielką fantazją.

Prezydent wydawał się trochę zawiedziony, kiedy wróciłam w tym kostiumie do Carlyle'a, żeby zaprezentować swój nabytek. Chyba chciał, żebym kupiła coś bardziej śmiałego, a nie dopasowany wełniany kostium, który był kwintesencją konserwatyzmu.

Objął mnie, długo tulił w ramionach i powiedział:

– Szkoda, że nie jedziesz ze mną do Teksasu. – A potem dodał: – Zadzwoń do ciebie, kiedy wrócę.

Poczułam nagły smutek.

– Panie prezydencie, niech pan pamięta, że wychodzę za mąż – powiedziałam.

– Wiem – odparł, a potem wzruszył ramionami. – Ale i tak zadzwonię.

Potem się pożegnałam, wskoczyłam do taksówki i wróciłam pociągiem do New Jersey.

Miałam nadzieję, że prezydent pogodzi się z faktem, iż z uwagi na moje małżeństwo nasz związek wypływa na nowe wody. Wcześniej postanowiłam, że w Teksasie powiem mu, że ta podróż będzie moją ostatnią. Z drugiej strony, byłam trochę zawiedziona, że wypadłam z grafiku. Wiedziałam jednak dlaczego: pani Kennedy postanowiła towarzyszyć mężowi w podróży do Teksasu.

Rozdział jedenasty

Dwudzieste trzecie urodziny Tony'ego wypadły w środę 20 listopada, więc przyjechał z Fort Meade swoim niebieskim volkswagenem garbusem, żeby spotkać się ze mną w domu moich rodziców. Tamtego wieczoru świętowaliśmy przy torcie, a następnego dnia dopracowywaliśmy listę gości weselnych ze strony Beardsleyów. W piątek pojechaliśmy na Manhattan, żeby wybrać sukienki. Potem zamierzaliśmy pojechać do domu rodziców Tony'ego w Southport w stanie Connecticut, żeby tam przenocować i dokończyć listę gości ze strony Fahnstocków.

Wyjeżdżając z Manhattanu, zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej na rogu York Avenue i Sześćdziesiątej Pierwszej, tuż obok wjazdu na autostradę FDR. Kiedy wróciłam z toalety, Tony siedział na fotelu kierowcy z głową przechyloną pod dziwnym kątem w stronę radia, jakby chciał wchłonąć każde słowo prezentera. Odwrócił się do mnie z wytrzeszczonymi oczami i straszną miną, której jeszcze nigdy u niego nie widziałam.

– Prezydent Kennedy został postrzelony – powiedział.

Siedzieliśmy w samochodzie i słuchaliśmy wiadomości podawanych przez radio. Nie było jeszcze zbyt wielu informacji. Prezydent żył i natychmiast został przewieziony do szpitala Parkland Memorial w Dallas. Nie było wiadomo, w jakim jest stanie. Ucierpiały także inne osoby. Potem pojawiły się doniesienia z United Press International, że obrażenia prezydenta „mogą być śmiertelne”. Wiedziałam, że United Press International to Merriman Smith, szanowany korespondent z Białego

Domu, którego często widywałam w biurze prasowym*****. Jego głos przywiódł mi na myśl Pierre'a i Fiddle. Gdzie oni teraz byli? Czy Dave'owi Powersowi nic się nie stało? Gdzie była Chris Camp? (Później dowiedziałam się, że była w Dallas na pokładzie Air Force One, gdzie pisała na maszynie tekst przemówienia, które prezydent miał wygłosić wieczorem w Austin). W tamtej chwili znacznie łatwiej było mi się skupić na członkach personelu, niż próbować zrozumieć, co się stało z prezydentem.

Przez przednią szybę widziałam innych ludzi na ulicy, którzy właśnie dowiadawali się o zamachu. Poruszali się powoli, jak w transie, wielu zasłaniało usta rękami, żeby stłumić płacz.

Czułam się uwięziona w samochodzie. Korciło mnie, żeby z niego wyskoczyć, ale dokąd bym poszła?

– Powinniśmy już jechać – powiedziałam do Tony'ego, który nadal siedział wpatrzony w radio.

Musiałam się ruszyć, potrzebowałam czegoś, co odciągnie moją uwagę.

Tony wjechał na autostradę FDR i ruszył na północ, w stronę Connecticut. Nie odzywaliśmy się, pozwalając, by radio wypełniło ciszę. Zamachowiec oddał trzy strzały. Gubernator Teksasu John Connally, który jechał samochodem z prezydentem, także został ranny. Policja szukała białego mężczyzny w białej koszuli i lewisach, którego karabin zauważono w oknie pobliskiego gmachu Texas School Book Depository.

Potem, o drugiej po południu, w serwisie informacyjnym przekazano oficjalną informację: prezydent zmarł.

Na początku w to nie wierzyłam. Wieść przyszła tak nagle, tak szybko po dających nadzieję doniesieniach, które mówiły, że prezydent został ranny, ale żyje i jest przewożony do szpitala. Kiedy jednak prezenter mówił, ton jego głosu – bardziej niż smutny: zrozpaczony – uświadomił mi, że to

prawda. Tak brzmiałaby moja odpowiedź na pytanie: „Gdzie byłeś, kiedy zginął prezydent Kennedy?” – siedziałam w samochodzie ze swoim narzeczonym i miałam przed sobą okres emocjonalnego odrętwienia, który w moim życiu był czymś bez precedensu.

Głowę wypełniły mi wizerunki prezydenta z naszego ostatniego spotkania, zaledwie tydzień wcześniej w hotelu Carlyle. Uściskał mnie wtedy i powiedział, że zadzwoni po powrocie z Teksasu. Spojrzałam na Tony’ego i ujrzałam obcego człowieka – kogoś, z kim nigdy nie mogłabym się podzielić tymi myślami, tymi wspomnieniami. W rozmowach z Tonym nie zająknęłam się ani słowem o moim związku z JFK. Nigdy nie poznałam prezydenta. Nie miałam z Tonym wspólnego gruntu do opłakiwania prezydenta ani nawet do rozmawiania o nim. Nagle poczułam się odizolowana i odgradzona murem od mężczyzny, którego miałam poślubić.

Zbliżaliśmy się do Southport w stanie Connecticut i świat przemykał za szybą samochodu. Tony wyciągnął rękę i w geście współczucia ucisnął moją dłoń, ale ledwie to poczułam. Opuściłam szybę po stronie pasażera i próbowałam oddychać chłodnym listopadowym powietrzem. Podawano kolejne wiadomości. Prezydent został postrzelony w głowę.

Czułam potworny strach na myśl o wejściu do domu moich przyszyłych teściów i spotkaniu z nimi. Fahnestockowie byli zagorzałymi republikanami, którzy drwili z prezydenta dla rozrywki, a gdy trzymali w ręku drinki, ich docinki robiły się jeszcze bardziej podłe. Około czwartej po południu, kiedy zatrzymaliśmy się na ich podjeździe przy Casco Creek Road, pora koktajlu już się rozpoczęła, ale najwidoczniej nawet na nich śmierć prezydenta podziałała otrzeźwiająco. Pan Fahnestock powitał mnie długim uściskiem, co było u niego niezwykle. Powiedział coś miłego o prezydencie, zwracając uwagę na to, że go znałam i być może cierpieć bardziej niż większość ludzi.

– Dzisiaj otworzyliśmy barek trochę wcześniej, Mimi – powiedział.

Podał mi szklaneczkę dewara.

– Tego ci trzeba – dodał.

Telewizor był włączony, ale państwo Fahnestock najwyraźniej nie wydawali się zainteresowani dalszymi wiadomościami. Matka Tony’ego nalegała, żebyśmy usiedli i porozmawiali w salonie z widokiem na port w Southport, jakby nic się nie stało. To było dziwne. Telewizja i radio bez przerwy relacjonowały najbardziej doniosłą chwilę w historii pokolenia, a moi teściowie radzili sobie z tragedią, kompletnie ją ignorując. Woleli gawędzić o naszym ślubie. Pamiętam, że tam siedziałam, ale nie słyszałam ani słowa z tego, co mówiła pani Fahnestock.

Tamtego wieczoru biłam się z emocjami. Chciałam wstać i oglądać telewizję. Chciałam poznać każdy szczegół. Moje odrętwienie ustąpiło miejsca bezdennemu poczuciu straty, nie tylko mojej własnej, lecz także wszystkich ludzi w Białym Domu, zwłaszcza Dave’a Powersa. Co on pocnie bez prezydenta? Tymczasem przenieśliśmy się z salonu do jadalni, żeby zjeść pieczonego kurczaka, którego w domu mojego narzeczonego tradycyjnie podawano w piątkowe wieczory. Ledwie mogłam to znieść. Czułam, że za chwilę wybuchnę płaczem przy stole. Moje myśli powędrowały także w stronę rodziców, ale wiedziałam, że rozmowa z nimi przez telefon byłaby bardzo kosztowna, więc porzuciłam ten pomysł. Zresztą i tak nazajutrz mieliśmy się zobaczyć.

Około wpół do dziesiątej Fahnestockowie w końcu poszli spać, jak zwykle zabierając ze sobą po drinku. Ja i Tony poszliśmy do salonu i oglądaliśmy telewizję. On wyciągnął się na kanapie, a ja usiadłam na podłodze, dokładnie naprzeciwko telewizora. Wszystkie stacje podawały tę samą wiadomość, bez końca pokazując czarno-białe nagranie, na którym

prezydent i jego żona lądowali w Dallas, pani Kennedy dostawała bukiet róż i kawalkadą wyjeżdżali z lotniska.

Na szczęście nie pokazywano samego zamachu (na to, oczywiście, przyszedł czas później). Tacy prezenterzy jak Walter Cronkite uciekali się zatem do pokazywania zdjęć uśmiechniętej pary prezydenckiej, roześmianej pary prezydenckiej, a potem prezydenta trzymającego się za gardło, kiedy druga kula przeszła przez niego na wylot i raniła gubernatora Connally'ego. Nie pokazywano ostatniego strzału, który roztrzaskał prezydentowi głowę. Najbardziej niezatartym obrazem z tamtego dnia był dla mnie ten, na którym Lyndon Johnson składa przysięgę na pokładzie Air Force One, a pani Kennedy stoi obok niego w kostiumie poplamionym krwią. To słynne zdjęcie zrobił Cecil Stoughton, ten sam fotograf z Białego Domu, który zaledwie dwa miesiące wcześniej w ramach koleżeńskiej przysługi pstryknął mi zdjęcie zaręczynowe.

Nie byłam spokojna, ale z drugiej strony nie traciłam kontroli, nawet kiedy patrzyliśmy na transmitowane na żywo niewyraźne zdjęcia ukazujące samolot Air Force One lądujący tamtego wieczoru w bazie Andrews po powrocie z Teksasu z ciałem prezydenta na pokładzie. Słyszałam, jak pan Fahnestock schodzi po schodach, żeby jeszcze raz napełnić szklanę.

– Tylko kropelkę – powiedział, zaglądając do nas.

To, co oglądałam z Tonym i z całym narodem, działało się jakby w zwolnionym tempie, było pełne smutku i nierzeczywiste. Dopiero kiedy zobaczyłam, jak z samolotu wynoszą trumnę, w końcu do mnie dotarło, że prezydent Kennedy nie żyje. Pomógł mi w tym Dave Powers, który trzymał rękę na trumnie, stojąc przed nią, jakby chronił prezydenta, a następnie zaniósł ją razem z innymi bliskimi współpracownikami do czekającego ambulansu marynarki wojennej.

Pamiętam, jak podniosłam się z podłogi i stanęłam bokiem między Tonym a telewizorem. Płakałam, wodziłam wzrokiem od ekranu do Tony'ego i z powrotem, patrząc na zmianę na martwego prezydenta i mojego narzeczonego.

Moje łzy przeszły w gwałtowny, przejmujący szloch i Tony się zaniepokoił. Z tego, co wiedział, byłam jedynie dziewczyną, która dwa razy spędziła wakacje w biurze prasowym, więc moja reakcja musiała mu się wydać skrajna.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Przecząco pokręciłam głową.

– Co się z tobą dzieje? – zdziwił się.

Nie mogłam mu odpowiedzieć. Moje spojrzenie kursowało między telewizorem i Tonym, jakbym oglądała mecz tenisa. Byłam zdezorientowana. Miałam jednak pewność, że Tony może mnie przejrzeć na wylot i zrozumieć, dlaczego płaczę. Że w końcu pojmie, dlaczego znalazł się w Fort Meade w Marylandzie, a nie w Luizjanie – dowie się, dlaczego prezydent zainterweniował w jego sprawie. Byłam pewna, że powiąże ten mały akt faworyzacji z moim związkiem z prezydentem. A kiedy tak wodziłam wzrokiem między Tonym odprężonym na kanapie a zdjęciami JFK na ekranie telewizora, poczucie winy, jakie czułam w związku z oszukiwaniem Tony'ego, zaczęło we mnie wrzeć. Moje wyrzuty sumienia rosły z każdą mijającą sekundą. Byłam przekonana, że Tony nie tylko to widzi, lecz także całkowicie rozumie – i że w jego głowie zaczęły się obracać zębate kółka podejrzliwości.

„On o wszystkim wie – pomyślałam. – Muszę mu powiedzieć prawdę i postąpić uczciwie”. Nie działałam racjonalnie. Tego jestem pewna. Nie miałam jednak pojęcia, jak rozegra się scena, którą zamierzałam zapoczątkować.

– Muszę ci o czymś powiedzieć – oznajmiłam.

– Co?

– Prezydent...

– No co? – przerwał mi.

– Tu chodzi o coś więcej, niż ci się wydaje.

– O co?

– Nie jestem taka niewinna, jak myślisz.

– Co?

– Nie bez powodu rzuciłam szkołę.

– Co?

– Proszę, pozwól mi dokończyć.

Przestałam płakać i próbowałam zebrać myśli.

– Byłam z nim bliżej...

– Co próbujesz mi powiedzieć? Że sypiałaś z prezydentem Kennedym?

Nie wiem, jak dokonał tego przeskoku od mojego cierpienia do niewierności, ale potwierdziłam skinieniem głowy, czując ulgę, że nie muszę wypowiadać tych słów na głos.

Wtedy Tony zmienił się w surowego śledczego.

– Od jak dawna? – zapytał.

– Od ubiegłego roku.

– Nawet po tym, jak się poznaliśmy?

Przytaknęłam.

– Nawet po tym, jak się zaręczyliśmy?

Jeszcze raz pokiwałam głową.

– Ile razy?

– Nie wiem. Wiele.

Wtedy zapadła cisza. Myślę, że Tony zdał sobie sprawę, że im więcej zada pytań, tym większy ból sobie sprawi. Do głosu doszedł pierwotny

instynkt samozachowawczy i Tony zamilkł. Odwrócił się ode mnie i utkwiał wzrok w ekranie telewizora.

Na chwilę odwróciłam się do niego plecami, a potem znowu zajęłam swoje miejsce na podłodze, u stóp Tony'ego, z plecami opartymi o kanapę. Miałam nadzieję, że położy rękę na moim ramieniu, zrobi coś, żeby mnie pocieszyć, powie, że mi wybaczają.

Oczywiście liczyłam na zbyt wiele (wiem, że gdyby role były odwrócone, też nie kwapiłabym się do wybaczenia). Oszołomiona patrzyłam na migający ekran i na próżno czekałam na jakiś pocieszający gest.

Wreszcie podzieliłam się z kimś swoim sekretem. Nie nastąpiło jednak *katharsis*, nie doznałam ulgi. Po prostu zamieniłam jeden problem na drugi, prawdopodobnie o większych konsekwencjach. Zraniłam Tony'ego.

Po kilku minutach Tony wstał, wyłączył telewizor i powiedział:

– Idę spać.

Wyłączenie telewizora sygnalizowało, że ja też powinnam pójść na górę, ale nie byłam w stanie odsunąć się od kanapy. Chciałam zostać sama i zebrać myśli, Próbowałam zrozumieć, co zrobiłam i jak to może wpłynąć na Tony'ego. Byłam przerażona, że mogę go stracić, że nazajutrz zerwie zaręczyny. Powtarzałam w myślach scenę sprzed kilku chwil, wyrzucając sobie szczerą i otwartą, przez które tak niespodziewanie obarczyłam Tony'ego szokującą informacją. Zdałam sobie sprawę, że lepszym rozwiązaniem byłoby chyba dalsze skrywanie sekretu, wzięcie się w garść i zaplanowanie lepiej przemyślanej rozmowy w bardziej stosownej chwili, w której taka wiadomość wywołałaby mniejszy wstrząs – jeśli to w ogóle możliwe. Moimi decyzjami pokierowały jednak śmierć prezydenta

i nasilające się dziwne i potężne emocje. Nie potrafiłam ukryć prawdy. Nie miałam innego wyjścia, jak tylko powiedzieć Tony’emu prawdę.

Nie wiedziałam, co się stanie – ani co usłyszę od narzeczonego nazajutrz rano. Szczerze mówiąc, nie miałabym do niego pretensji, gdyby oznajmił, że nie chce mnie więcej znać.

U Fahnstocków spaliśmy w osobnych pokojach, podobnie jak w domu moich rodziców w New Jersey – taki był wtedy zwyczaj wśród niezamężnych par, nawet jeśli były zaręczone. Zamknęłam drzwi i z łomoczącym sercem położyłam się na łóżku. Ani trochę nie chciało mi się spać. Nie myślałam już o prezydencie Kennedym – ani o bezbrzeżnym smutku, jaki wzbudziła jego śmierć. Martwiłam się następnymi dwunastoma godzinami.

Pokój gościnny, w którym mnie ulokowano, był połączony łazienką z małą sypialnią Tony’ego. Usłyszałam, jak otwierają się drzwi tej łazienki, i zobaczyłam, że na progu stoi Tony. Bez słowa zdarł ze mnie kołdrę, wszedł na łóżko i zainicjował nasz pierwszy stosunek. Tak rozpaczliwie chciałam go przy sobie zatrzymać, że nie stawiałam oporu. Działał zaciekle i niezdarnie – a ja nie miałam pojęcia, jak się zachować: jak wyrazić swój smutek z powodu tego, że go zraniłam, ani jak ofiarować mu miłość, aby ukoić ból. Potem mój narzeczony opuścił sypialnię równie nagle, jak się w niej znalazł. Leżałam oszołomiona. Teraz wiem, że w ten sposób zaznaczał swoje prawa do mnie, tak jak wiele miesięcy wcześniej prezydent. To był seks, ale brakowało w nim miłości.

Następny ranek wyglądał dziwacznie. Życie z Tonym, jakie znałam zaledwie dobę wcześniej, trafiło na śmietnik, ustępując miejsca szorstkim formalnościom i skrępowaniu. Przy śniadaniu z jego rodzicami gawędziliśmy o sprawach organizacyjnych związanych ze ślubem i

o pogodzie. To niebywałe, ale nikt nie poruszył kwestii zabójstwa prezydenta.

Tony i ja wyjechaliśmy po śniadaniu. Miał mnie podrzucić do New Jersey, a potem pojechać do Fort Meade. Podróż upływała w grobowej ciszy. Pokonywaliśmy kilometr za kilometrem, ale Tony ani razu na mnie nie spojrział.

Kiedy zjechaliśmy z Garden State Parkway, kilka kilometrów od mojego domu, Tony gwałtownie zatrzymał się przy automatach telefonicznych. Odezwał się do mnie po raz pierwszy, odkąd opuściliśmy Southport.

– Podaj mi numer do Białego Domu – powiedział.

Wyrecytowałam go z pamięci – 202 (kierunkowy) 8-1414 – nie pojmując, do czego jest mu potrzebny ani co zamierza z nim zrobić. Powtórzył go, wysiadł z samochodu i poszedł do telefonu. Kiedy wrócił, oznajmił, że zadzwonił do biura prasowego i zakazał pracownikom Białego Domu kontaktowania się ze mną.

Teraz myślę, że najprawdopodobniej kłamał. Właśnie zabito prezydenta. Centrala telefoniczna w Białym Domu bez wątpienia była zapchana telefonami i nawet gdyby udało mu się połączyć, to wątpię, by ktokolwiek w biurze prasowym przyjął – a co dopiero potraktował poważnie – wiadomość wściekłego obcego człowieka dotyczącą małej Mimi Beardsley. Biuro prasowe próbowało sobie poradzić ze śmiercią jednego prezydenta i z początkiem kadencji drugiego. Personel z pewnością miał pełne ręce roboty. Ale wtedy byłam w takim szoku, że uwierzyłam w to, co powiedział Tony.

Potem szok przeszedł w stan chroniczny.

Kiedy siedzieliśmy w samochodzie na poboczu, Tony dołożył do mojego romansu z prezydentem następny druzgocący element. Powiedział,

że to warunek naszego ślubu.

– Nigdy, przenigdy nie powiesz nikomu o tym, co usłyszałem wczorajszego wieczoru – oznajmił. – Ani rodzicom, ani braciom i siostram, ani przyjaciółkom. Nikomu. Nigdy.

Przez cały ranek powstrzymywałam łzy, ale stanąwszy w obliczu własnego poczucia winy, złości Tony’ego i strachu, że nasze plany ślubne – moja przyszłość – mogą zostać przekreślone, zaczęłam pochlipywać.

– Słyszałaś? – zapytał.

Byłam zbyt zdruzgotana, żeby się odezwać. Spojrzałam przed siebie i potwierdziłam skinieniem głowy.

– To dobrze – powiedział.

Ulżyło mi, kiedy znowu wjechaliśmy na drogę. Odebrałam jego słowa w ten sposób, że jeśli się podporządkuję, ślub dojdzie do skutku. Nie będzie skandalu, nie będzie hańby, nie będzie łzawych wyjaśnień, dlatego odwołaliśmy ceremonię.

Tony przejął kontrolę nad sytuacją i naprawdę byłam mu za to wdzięczna. Nie zamierzał dopuścić, by cokolwiek pokrzyżowało mu plany, a w tamtej chwili jego plany obejmowały ślub. Długo pocieszałam się myślą, że żądając milczenia, chciał mnie chronić, ale z czasem zrozumiałam, że chronił wyłącznie siebie i swoje ego. Moje wyznanie go zakłopotало. Pewnie był wściekły, że prezydent posiadał mnie wcześniej niż on. Pewnie czuł się upokorzony, że spotykałam się z prezydentem, nawet kiedy już się znaliśmy. I musiał czuć, że nigdy nie dorówna komuś posiadającemu tak wielką charyzmę i władzę. Może nawet myślał, że z niego szydziłam. Dlatego jego reakcja była zrozumiała. Czuł się zraniony.

Ale ja też cierpiałam. Prezydent, którego znałam, podziwiałam i – tak, tak – nawet kochałam na własny chybiony sposób, został zastrzelony, a ja nie miałam nikogo, z kim mogłabym o nim porozmawiać, nikogo, z kim

mogłabym dzielić smutek. W dodatku kazano mi wymazać tego człowieka ze swojego życia, zachowywać się tak, jakby nigdy nie istniał. Wieczór wcześniej miałam okazję zobaczyć mroczne siły, jakie mój sekret potrafi wyzwolić w Tonym. Nie mówiłam o swoim romansie nikomu przez półtora roku, a zwierzenie się po raz pierwszy nie wywołało niczego poza złością, oskarżeniami, przemocą seksualną i wstydem.

Czy może zatem dziwić, że tak łatwo podporządkowałam się żądaniu Tony'ego?

Często, nawet teraz, myślę o tamtej rozmowie w samochodzie. Przez lata traktowałam ultimatum Tony'ego bardzo podobnie jak drugie zaproszenie Dave'a Powersa do rezydencji prezydenta: jako kolejny punkt zwrotny w moim życiu. Dopiero niedawno, podczas pisania tej książki, zdałam sobie sprawę, że ten punkt zwrotny był fałszywy. A to dlatego, że nie miałam pola manewru. Patrząc na to z perspektywy czasu, widzę, że istniały tylko dwa wyjścia: zgodzić się na skrywanie sekretu albo odwołać zaręczyny. Trudno to uznać za możliwość wyboru.

A gdybym nigdy nie powiedziała Tony'emu o romansie? Nie jestem pewna, czy byłoby to w ogóle możliwe, biorąc pod uwagę ogrom cierpienia, jakie czułam, kiedy mu się zwierzałam. Ale gdybym jednak zdołała się powstrzymać, to wiedząc to, co dzisiaj wiem o toksycznych skutkach skrywania wstydlivych sekretów, jestem przekonana, że już w dniu naszego ślubu ta tajemnica zżerałaby mnie od środka – a potem podczas miodowego miesiąca, w dniu przyjścia na świat naszego pierwszego dziecka i w każdym kolejnym doniosłym momencie naszego małżeństwa. Milczenie nie wchodziło w grę.

Mogliśmy o tym porozmawiać z większą szczerością, racjonalnie. Naprawdę powinniśmy byli to przedyskutować, a jeśli kiedykolwiek nadarzyła się ku temu stosowna chwila, to właśnie tam, w samochodzie zaparkowanym na poboczu drogi. Z pewnością postąpilibyśmy jak dorośli ludzie. Mogłabym odwieść Tony'ego od żądania milczenia, mówiąc: „Nie możemy tego zamieść pod dywan. Potrzebujemy pomocy. Musimy o tym porozmawiać”. Ale byliśmy tacy młodzi – ja miałam dwadzieścia lat, a Tony dwadzieścia trzy – i brakowało nam emocjonalnych narzędzi, żeby pokonać taką przeszkodę. Żadnemu z nas nie przyszło wtedy do głowy, że ukrycie problemu nie spowoduje jego zniknięcia.

Mogę sobie jedynie wyobrażać, jak zdruzgotany i zdradzony musiał się poczuć Tony i że najlepszym sposobem na poradzenie sobie z kłopotem wydało mu się jego zwyczajne usunięcie. Sama czułam natomiast ogromną niepewność i słabość. Najbardziej bałam się tego, że nie podołam prostemu aktowi zawarcia małżeństwa. Że nie tylko będę musiała powiedzieć rodzinie i przyjaciołom, że odwołujemy ślub, ale także wytłumaczyć tę nagłą zmianę decyzji, nie wspominając o prezydencie.

Kiedy zatem Tony dał mi szansę uratowania naszych zaręczyn – wystarczyło jedynie nigdy więcej nie mówić o prezydencie Kennedym – natychmiast rzuciłam się na nią jak na koło ratunkowe. To nie było przebaczenie. Ale pozwoliło nam żyć dalej. Właśnie dlatego zgodziłam się milczeć. Pomyślałam, że jeśli zapomnienie o prezydencie pozwoli mi zatrzymać Tony'ego w moim życiu i uchroni mnie przed wstydem, to jakoś temu podołam.

Następne cztery dni w domu moich rodziców były zdominowane nieustannymi doniesieniami na temat śmierci prezydenta podawanymi przez wszystkie kanały telewizyjne. Moja młodsza siostra i rodzice siedzieli przyklejeni do ekranu w naszej wyłożonej sosnową boazerią bibliotece, ale

ja za wszelką cenę starałam się tego unikać. Pomagałam mamie w kuchni, przygotowując posiłki, które wszyscy oprócz mnie jedli przed telewizorem. Nie sposób było uniknąć migawek pokazujących ogromne tłumy przechodzące obok przykrytej flagą trumny w rotundzie Kapitolu, sensacyjne doniesienia o morderstwie dokonanym przez Lee Harveya Oswalda w Dallas, procesję pogrzebową w Waszyngtonie zmierzającą do katedry Świętego Mateusza, braci Bobby'ego i Teda idących za lawetą ciągniętą przez konie, małego Johna salutującego zmarłemu ojcu, delikatną twarz pani Kennedy wahającą się między płaczem a stoickim wdziękiem na Cmentarzu Narodowym w Arlington, podczas gdy grzmiały salwy z dwudziestu jeden karabinów, a Air Force One wykonywał pożegnalną defiladę lotniczą. Siłą woli zmusiłam się jednak do tego, by patrzeć na te rozdzierające serce obrazy i niczego nie czuć. Nie płakałam i nie uroniłam ani jednej łzy.

Nawet jeśli rodzice byli zdumieni moim wycofaniem i stoickim spokojem, nigdy tego nie skomentowali. Nie pytali, dlaczego nawet nie próbowałam się dostać do Waszyngtonu, żeby uczestniczyć w ceremonii. Oczywiście część mnie rozpaczliwie pragnęła tam być, opłakiwać prezydenta razem ze wszystkimi przyjaciółmi z Białego Domu. Postanowiłam jednak podporządkować się żądaniu Tony'ego.

Mój narzeczony kończył służbę wojskową, przez co przed ślubem długo się nie widzieliśmy. Jednak nawet kiedy już byliśmy razem – choć próbowałam temu zaprzeczać – atmosfera naszego związku była inna. Zawsze czuliśmy się ze sobą swobodnie i byliśmy weseli jak ludzie pozbawieni wszelkich zmartwień. Teraz czułam przy Tonym coraz większe skrępowanie, jakby nieustannie mnie oceniał i dochodził do wniosku, że się nie nadaję. Tłumaczyłam to jego uzasadnionym gniewem, ale myślałam –

miałam nadzieję – że z czasem, dzięki radości związanej ze ślubem i miodowym miesiącem, jego uraza ustąpi.

Wzięliśmy ślub 4 stycznia 1964 roku w episkopalnym kościele Chrystusowym w Middletown w New Jersey. Zdjęcia z tej ceremonii ukazują szczęśliwą, beztruską młodą parę, uśmiechniętą, roztańczoną, karmiącą się nawzajem tortem. Miałam siedem druhen, z moją siostrą Buffy na czele. Oprócz niej były wśród nich Marnie Stuart, Kirk Dyett i Wendy Taylor. Wystąpiłam w sukni ślubnej mojej mamy – jak napisano we wzmiance zamieszczonej w „New York Timesie”: „z atlasu koloru kości słoniowej, w zmodyfikowanym stylu empirowym, z pamiątkowym rodzinnym welonem należącym niegdyś do babki pana młodego ze strony matki”. Niosłam bukiet orchidei. Druhny trzymały różowe róże i były ubrane w długie ciemne suknie z ciemnozielonego aksamitu, a we włosach miały kokardy w głębszym odcieniu zieleni. W „New York Timesie” wymieniono wszystkich drużbów i drużny oraz ukończone przez nas szkoły i *college*'e. Podano imiona i nazwiska naszych babć i dziadków. Wspomniano nawet o balu debutantek, na którym zostałam „zaprezentowana” towarzystwu.

Sama dostarczyłam gazecie tych wszystkich informacji na temat ślubu, więc tylko ja wiedziałam, że wśród szczegółów towarzyskich doszło do rażącego pominięcia pewnej informacji na temat panny młodej: kilka miesięcy wcześniej zawiadomienie o zaręczynach z dumą oznajmiało, że w latach 1962 i 1963 pracowała w biurze prasowym Białego Domu, lecz informacja o ślubie to przemilczała. Zupełnie jakby ta część mojego życia nigdy się nie wydarzyła.

Rozdział dwunasty

I tak po prostu zostałam Mimi Fahnstock.

Przyjęłam nie tylko nazwisko Tony'ego, lecz także jego wszystkie życiowe ambicje. Oznaczało to osiedlenie się w Nowym Jorku, gdzie po ukończeniu służby wojskowej mój mąż przyjął pracę w Morgan Guaranty. Oznaczało to stworzenie z nim domu w maleńkim mieszkanku przy Siedemdziesiątej Ósmej Wschodniej na Manhattanie – na tak ciasnej przestrzeni, że nie mogłam otworzyć drzwiczek piekarnika, jeśli w tym samym czasie była otwarta lodówka. Oznaczało to gotowanie dla niego co wieczór, wspieranie go w karierze, podjęcie pracy i odkładanie pieniędzy, żeby móc kupić większe mieszkanie albo dom na przedmieściach. Oznaczało to również dzielenie nie tak znowu odległego celu założenia rodziny.

Nie prowadziliśmy częstych, szczegółowych rozmów na temat tych wspólnych celów. Pochodziliśmy z tak podobnych środowisk, że zwyczajnie przyjęliśmy te cele jako element naszego przyszłego życia. Mimo że miałam zaledwie dwadzieścia lat, zaakceptowałam te ambicje z bezdyskusyjnym entuzjazmem osoby, która zawsze wyobrażała sobie siebie jako szczęśliwą gospodynię domową. Pod tym względem niezbyt się różniłam od większości młodych Amerykanek w 1964 roku. Do protestów, na których palono staniki, musiało jeszcze upłynąć cztery, pięć lat. Byłam zamężna i miałam przed sobą całe życie.

Nasze małżeństwo trwało dwadzieścia sześć lat i można je podzielić – z upiorną precyzją – na dwie wyraźne połowy. Przez pierwsze trzynaście lat

byliśmy szczęśliwi, a przez pozostałe nie. Ostatecznie w 1990 roku wzięliśmy rozwód.

Małżeństwa rozpadają się z niezliczonych powodów. A te powody nie ukazują się wszystkie naraz. Gromadzą się, gdy para przechodzi wzloty i upadki towarzyszące budowaniu wspólnego życia, robieniu karier, wydawaniu na świat dzieci, wychowywaniu ich i wysyłaniu w świat, definiowaniu i zmienianiu wyobrażenia na temat tego, jak kochać i być kochanym. Pod pewnymi względami nie różniliśmy się z Tonym od milionów par, które z początku miały najlepsze intencje, ale z upływem lat odsuwały się od siebie i ostatecznie zmieniały się w na wpół wrogie i obce sobie osoby mieszkające pod jednym dachem.

Przez lata broniłam się przed przypisaniem winy za porażkę naszego małżeństwa mojemu romansowi z JFK. Wiedziałam, że powiedzenie Tony'emu o związku z prezydentem tamtego ponurego listopadowego dnia 1963 roku nie było najbardziej pomyślnym ani najzdrowszym początkiem małżeństwa, ale nigdy nie upatrywałam w tym czegoś, co skazało nasz związek na klęskę. Przeżyliśmy przecież trzynaście dobrych lat, powołaliśmy na świat dwie cudowne dziewczynki – i sześcioro wnucząt. One wszystkie są dla mnie niezwykle cenne i nie potrafię sobie wyobrazić życia bez nich. Powinnam zatem powiedzieć, że nasze małżeństwo stworzyło większość tego, co jest mi drogie.

Jednak po rozwodzie, kiedy byłam samotną, samodzielną kobietą mieszkającą na Manhattanie, zaczęłam ponownie analizować wpływ ujawnienia mojego sekretu na nasze małżeństwo. Myślałam, że biorąc pod uwagę szczęśliwe lata, które wspólnie przeżyliśmy, zdołaliśmy sobie jakoś z tym poradzić. Ale zaczęło do mnie docierać, że mój romans z JFK i żądanie Tony'ego, abym na zawsze zapomniała o tamtym związku, były jak dwa patogeny wprowadzone do naszego małżeństwa, które powoli i

w bólach doprowadziły do jego śmierci. Po tamtym dniu Tony nie potrafił mi już całkowicie zaufać – i miał ku temu słuszne powody. Nic nie było w stanie uleczyć tej głębokiej rany. Niósł ze sobą ten bagaż przez całe nasze małżeństwo. Zawsze go wplatał w emocjonalną tkaninę naszego wspólnego życia, a ja wyraźnie to czułam. Złość i zazdrość nigdy do końca nie zniknęły.

Winię za to nas oboje. Gdybyśmy potrafili znaleźć sposób, by otwarcie porozmawiać – i gdybyśmy nie musieli traktować tego romansu jako dowodu mojej hańby i upokorzenia Tony’ego – trująca moc sekretu mogłaby z czasem osłabnąć.

Mądrym i dojrzałym posunięciem – gdybym w tamtym okresie była mądrzejsza i dojrzała – byłaby konfrontacja z Tonym. Powinnam była zapytać: „Co chcesz zrobić? Obstawać przy tej złości do końca naszego życia?”.

Powinnam była spróbować mu uzmysłwić, że w tamtej chwili całkowitej dezorientacji i smutku, kiedy odsłoniłam się przed nim w salonie jego rodziców, wykonałam gest nie tylko uczciwości, lecz także wiary – wiary w niego i w jego miłość do mnie. Powinnam mu była przypomnieć, że czas leczy większość ran i że nieraz to właśnie najbardziej katastrofalne w skutkach wydarzenia małżeńskie – okropna wizyta rodziny, koszmarne wakacje, zapomniane urodziny albo coś innego, co zawiedzie nasze oczekiwania – dają początek najczulszym i najzabawniejszym wspomnieniom. Może gdybyśmy zdołali puścić to w niepamięć, po latach dziwilibyśmy się – może nawet ze śmiechem – że był taki czas, kiedy żona Tony’ego, jako bardzo, bardzo młoda dziewczyna, miała romans z prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Może, chcąc zachować godność, powinnam była wyznaczyć granicę i powiedzieć: „Jeśli nie potrafisz mi wybaczyć, nie powinieneś się ze mną

żenić”.

Ale nigdy tego nie powiedziałam. Co więcej, nawet o tym nie pomyślałam. Nie miałam pewności siebie potrzebnej do tego, by zaznaczyć swoje zdanie postawieniem ultimatum o potencjalnie miażdżących skutkach. Nie byłam na tyle dojrzała, żeby dostrzec toksyczny klimat emocjonalny, jaki moje milczenie – nasze milczenie – wytworzy w naszym małżeństwie.

Zamiast tego przystąpiłam do beztroskiego usuwania wszelkich dowodów na istnienie JFK w moim życiu i udawałam, że mój romans w ogóle nie miał miejsca. Nie wystarczyło to, że usunęłam z zawiadomienia o ślubie wzmiankę o moim stażu w Białym Domu. Nie wystarczyło, że nie mogłam wspominać o tym stażu ani o Kennedym w obecności Tony’ego i naszych przyjaciół. Nie wystarczyło, że dokładałam starań, aby unikać czytania i oglądania programów o JFK*****. Musiałam kontrolować nawet swoje myśli. Uważałam, że pozwolenie, by prezydent pojawił się w mojej głowie, albo poświęcenie czasu na rozmyślanie o moim związku z nim są równoznaczne ze zdradzeniem Tony’ego. Nieustannie nękało mnie poczucie winy.

Kiedy ja i Tony wzięliśmy ślub, w różnych miejscach naszego mieszkania ukryłam trzy prezenty od prezydenta: złote spinki z diamentami, które podarował mi z okazji zaręczyn, szary kostium z Bloomingdale’a i zdjęcie z autografem Johna Kennedy’ego. Gdy upłynęło kilka miesięcy i moje wyrzuty sumienia się pogłębiły, zaczęłam traktować te prezenty jak dowody zbrodni. A co się robi z dowodami zbrodni? Trzeba się ich pozbyć.

Zrobiłam to w ciągu jednego dnia, w 1964 roku, kiedy Tony był w pracy. Chodziłam wtedy do szkoły sekretarek, doskonaląc się w pisaniu na maszynie i w stenografii, czyli w umiejętnościach, na które było tak wielkie zapotrzebowanie podczas mojej pracy w Białym Domu. Nie znalazłam jeszcze zatrudnienia, więc miałam czas w ciągu dnia.

Zaniosłam kostium do sklepu z artykułami używanymi przy Drugiej Alei w Upper East Side i czując ukłucie żalu z powodu poświęcenia najbardziej ekstrawaganckiego stroju, jaki posiadałam, bez słowa podałam go kobiecie za ladą.

– Co się stało, kochanie? – zapytała, oglądając kostium. – Wygląda na zupełnie nowy. Przestał pasować?

Gapiałam się na nią pustym wzrokiem, nie mówiąc ani słowa.

Następne w kolejce były złote spinki z diamentami. Najpierw chciałam je wrzucić do zsypu na korytarzu w naszym budynku, ale kiedy otworzyłam klapę, nie potrafiłam się zmusić, żeby potraktować je jak śmieci. Były zbyt piękne. Zaniosłam je do lombardu na rogu Dwudziestej Trzeciej Ulicy i Drugiej Alei i podałam je właścicielowi, powstrzymując łzy. Nie pamiętam, ile mi za nie zaproponował, ale pamiętam, że nie byłam w nastroju do targowania się. Schowałam zwinięte banknoty do torebki i gdy tylko wyszłam na ulicę, wyrzuciłam pokwitowanie. Natychmiast poczułam wielką ulgę. Pomyślałam, że spełniam obowiązek wobec męża.

Ostatnim prezentem, którego musiałam się pozbyć, było zdjęcie. Z ogromną czułością wyjęłam je spod innych zdjęć w albumie, w którym je ukryłam. Po raz ostatni spojrzałam na prezydenta pozującego na swojej łodzi w niebieskiej koszulce polo i białych spodniach, trzymającego jedną rękę na sterze i uśmiechającego się do słońca. Przesunęłam palcami po dedykacji: „Dla Mimi, z najserdeczniejszymi pozdrowieniami i głębokim uznaniem”. Przypomniałam sobie psotny, konspiracyjny ton jego głosu,

kiedy po złożeniu podpisu spojrział na mnie i powiedział: „Tylko my dwoje wiemy, co naprawdę znaczą te słowa”.

Wyjęłam z szuflady nożyczki i pocięłam to zdjęcie na sto maleńkich kawałeczków.

Ta fotografia – i intymność, jaką przywoływała – wzbudziła we mnie wielki niepokój, smutek i paranoję. Nagle ogarnął mnie potworny strach, że ktoś mógłby ją z powrotem posklejać. Wyrzucenie kawałeczków do kosza na śmieci albo nawet do zsypu nie zapewniłoby mi bezpieczeństwa. Dlatego zebrałam je do małej torebeczki na prezent i wyszłam na ulicę, gdzie partiami wyrzuciłam je do kilku różnych śmietników w okolicy. Gdyby ktokolwiek chciał powiązać ze mną to zdjęcie, musiałby pogrzebać w wielu śmietnikach i zużyć mnóstwo taśmy klejącej.

Potem wróciłam do mieszkania i usiadłam w salonie, czekając na powrót Tony’ego z pracy. Najwidoczniej wierzyłam, że gdy pozbędę się ostatnich pamiątek po JFK, wszystko się ułoży. Tony nigdy przypadkiem się na nie nie natknie – już nie. Nigdy nie zada mi pytań, które nas cofną do mojej zdrady. Nie będę musiała stanąć w obliczu jego ewentualnej złości. Postąpiłam słusznie dla nas obojga. A przynajmniej tak myślałam.

Tamtego wieczoru, kiedy Tony wrócił do domu, nalał sobie drinka i cmoknął mnie w policzek. Zapytałam, jak mu minął dzień, i rozpoczęliśmy przyjemną, banalną pogawędkę o jego pracy. Poczucie bezpieczeństwa, na które tak liczyłam, oczywiście się nie pojawiło. Nie mogłam mówić o tym, co zrobiłam tamtego dnia, i nadal unosiła się nad nami chmura.

W szerszym sensie stało się to dominującym wzorcem w naszym małżeństwie. Ilekroć trzeba było porozmawiać o czymś ważnym, ilekroć następowało zdarzenie niosące jakieś emocjonalne echo, które należało uczciwie rozważyć, unikaliśmy tego.

Cały czas trzeba pamiętać, jacy byliśmy wtedy młodzi. Ja miałam dwadzieścia lat, on dwadzieścia trzy, byliśmy dziećmi bawiącymi się w dorosłość i działającymi według wzorca: Tony zapewnia nam środki do życia, a ja prowadzę dom. Nawet pod względem emocjonalnym stosowaliśmy schematy stworzone przez naszych rodziców. Nie dzieliliśmy się swoimi odczuciami (w tamtych czasach takie sformułowanie jak „dzielenie się” w odniesieniu do wyrażania emocji nie figurowało nawet w naszym słowniku). Do bolesnych sytuacji podchodziliśmy ze stoickim spokojem. Cel zawsze polegał na przewyciężaniu, a nie dyskutowaniu czy rozumieniu. Rozwiązywanie problemów polegało na niepozwalaniu, żeby nas zraniły albo zniszczyły – na niedopuszczaniu do tego, by w ogóle nas dotknęły.

Teraz, dzięki mądrości, którą zawdzięczam upływowi czasu, już o tym wiem, ale nie chcę sugerować, że przez całe dwadzieścia sześć lat tkwiłam w pułapce egzystencjalnej rozpaczki. Tak naprawdę cieszyłam się z bycia młodą żoną. Tryskałam dobrym humorem, nadal nosiłam w sobie ten głęboko tkwiący blask towarzyszący poczuciu bezpieczeństwa osoby poślubionej i kochanej. Na początku wspólnego życia otaczali nas przyjaciele z czasów nauki w szkołach z internatem i *college*'ach, którzy także rozpoczynali karierę na Manhattanie. Przez większość wieczorów w tygodniu z niespożytą energią dwudziestoparolatków spotykaliśmy się całą paczką w barze albo na zorganizowanej naprędce domówce, a w weekendy odwiedzałam z Tonym moich rodziców w New Jersey. To był czas pełen zabawy, co mogło maskować emocjonalne trudności, z którymi borykaliśmy się jako małżeństwo. I dlatego zauważam to dopiero po latach. W tamtym okresie moją uwagę rozpraszała młodość i obietnica idealnego życia. Wierzyłam, że wszystko się uda. Dziś jestem mądrzejsza.

Kilka tygodni po pozbyciu się prezentów od JFK, w czerwcu 1964 roku, odkryłam, że jestem w ciąży. Była to dla nas nieoczekiwana, ale radosna nowina. Martwiliśmy się jedynie o finanse. Potrzebowaliśmy większego mieszkania z dodatkowym pokojem dla dziecka i musieliśmy je zdobyć wyłącznie za pieniądze zarabiane przez Tony'ego. Właśnie dostałam pierwszą pełnoetatową pracę w – *nomen omen* – Stanowym Komitecie Partii Republikańskiej w Nowym Jorku (co pokazywało, jak dalece wyparłam ze swojego życia wcześniejsze związki z demokratyczną administracją JFK) i martwiłam się, jak nowi pracodawcy zareagują na moją ciążę. Potrzebowaliśmy pieniędzy, więc zdecydowanie zamierzałam pracować aż do dnia porodu wyznaczonego na luty 1965 roku, a następnie poświęcić się macierzyństwu.

Tak się jednak nie stało.

W siódmym miesiącu ciąży, kiedy byliśmy w domu moich rodziców w New Jersey, w środku nocy nagle zaczęłam rodzić. Szybko przewieziono mnie karetką do szpitala Riverview w pobliskim Red Bank, gdzie wczesnym rankiem 6 grudnia 1964 roku na izbie przyjęć osiem tygodni przed terminem przyszedł na świat nasz synek Christopher Snowden Fahnestock. Zmarł następnego dnia na ten sam zespół zaburzeń oddychania noworodka, który rok wcześniej pozbawił życia Patricka Bouviera Kennedy'ego. Nawet pomimo żalu dostrzegłam ten zbieg okoliczności. Nie wiem, czy Tony miał podobne przemyślenia, bo nie przypominam sobie, żebyśmy kiedykolwiek rozmawiali o dziecku albo o naszej stracie. Rana była zbyt świeża i bolesna – zresztą czy miałoby to jakikolwiek sens? Nie winię za to Tony'ego. Znam inne pary, które straciły dziecko i też nie są w stanie poruszyć tego tematu. Ale dla mnie nasze milczenie było kolejnym

przykładem na to, że w najtrudniejszych chwilach nie potrafimy pocieszyć się nawzajem.

Teraz wspomnienie całego tamtego okresu przepełnia mnie smutkiem. Chyba najgorsze były dziwne godziny między narodzinami dziecka a jego śmiercią. Doktor Small, położnik, który przyjął poród, powiedział mi, że życie Christophera będzie bardzo krótkie, potrwa parę dni. Wiedząc, że dziecko umrze, uznał, że powinnam je zobaczyć. Pomógł mi podejść korytarzem do okna, za którym leżały noworodki, i wskazał mojego synka w łóżeczku w tylnym rzędzie, za zdrowymi dziećmi, które urodziły się w terminie i leżały z przodu. Wyteżałam wzrok, żeby go zobaczyć, ale był za daleko. To najsmutniejsza chwila w moim życiu – bo ostatecznie nie zobaczyłam Christophera ani go nie pottrzymałam. Nie byłam też w stanie się z nim pożegnać. Wciąż jeszcze wracałam do sił w szpitalu, kiedy moja mama i Tony zorganizowali małą ceremonię i pochowali Christophera w miejscu zarezerwowanym dla naszej rodziny na cmentarzu Fairview w Middletown w stanie New Jersey. Nadal odwiedzam to miejsce, zaznaczone skromnym nagrobkiem, i zawsze żałuję, że choć raz nie mogłam przytulić syna.

Żadna matka nie dochodzi do siebie po śmierci dziecka. Kiedy patrzę na swoje zdjęcia z tygodni, które nastąpiły bezpośrednio po śmierci Christophera, kontrast z beztroską panną młodą sprzed roku jest wręcz wstrząsający. Moja twarz i ciało są obrzmiałe od dodatkowych kilogramów z okresu ciąży. W oczach nie widać życia. A opuszczone kąciuki ust wyglądają tak, jakbym zapomniała, jak się uśmiechać.

Choć było ciężko, próbowałam być dzielna i wziąć się w garść. Gdy tylko mogłam, wróciłam do pracy, starając się nie obciążać ludzi swoimi problemami. Powoli smutek ustąpił do tego stopnia, że znowu mogłam docenić wartość własnego życia. Miałam nowe mieszkanie z dodatkowym

pokojem, który Tony przekształcił w gabinet. Mojemu mężowi dobrze szło w pracy – i wkrótce mieliśmy się przeprowadzić do Cambridge w Massachusetts, bo Tony postanowił zdobyć dyplom MBA w Harvard Business School.

Mieliśmy zacząć od nowa – i rozpaczliwie tego potrzebowałam.

Tony miał wiele zalet i w Cambridge wysunęły się one na pierwszy plan. Zawsze dobrze mu szło w szkole. Był ambitny, bystry, sumienny i nie bał się ciężkiej pracy. Poza tym uwielbiał sprawować kontrolę – i nigdy nie był szczęśliwszy niż wtedy, kiedy układał jakiś plan, a potem go wykonywał. Pochłaniał zadanie po zadaniu i uwielbiał wyzwania. To całkowicie zrozumiałe, że starał się o dyplom MBA na wiodącej uczelni biznesowej w kraju. Na Harvardzie Tony był w siódmym niebie.

Uwielbienie kontroli i porządku przydawało mu się nie tylko w miejscu pracy i na uczelni, lecz także w naszym życiu rodzinnym. Pamiętam, jak mniej więcej w trzecim roku małżeństwa odwiedziliśmy moich rodziców w New Jersey. Właśnie sprzedali „farmę spokojnego stawu”, dom, w którym dorastałam ja i moje rodzeństwo, i borykali się z decyzjami finansowymi, zastanawiając się, gdzie zamieszkać. W żadnym razie nie byli bogatymi ludźmi i zbliżali się do wieku emerytalnego.

Pewnego popołudnia, kiedy jedliśmy lunch w taniej restauracji w Seabright, mój tata ponurym tonem zaczął mówić o tym, że ich sytuacja jest fatalna i nie mogą sobie dłużej pozwolić na utrzymanie naszego psa, czarnego labradora Notso. Powiedział, że szukają dla niego nowego domu. Rozmowa była tak przygnębiająca, że zaczęłam płakać – a to zawsze budziło u Tony’ego niepokój. Szanował mojego tatę – zwracał się do niego

per „panie B”, nigdy Randy – ale w tamtej chwili odsunął uprzejmości na bok i przejął kontrolę nad sytuacją.

– Panie B, niech pan się weźmie w garść – powiedział. – Nie musi się pan pozbywać Notsa. Potrzebny panu plan, którego należy się trzymać.

Miał zaledwie dwadzieścia sześć lat, ale zachowywał się jak ojciec. Wypytał moich rodziców o ich majątek i wydatki, a następnie udowodnił im, że stać ich nie tylko na utrzymanie psa, lecz także na wiele innych rzeczy, na które ich zdaniem nie mogli sobie pozwolić. Już kiedyś miałam okazję zobaczyć to wojownicze oblicze Tony’ego – mianowicie wieczorem 22 listopada 1963 roku – i często mnie ono przerażało. Między innymi właśnie dlatego wolałam milczenie niż konfrontację z mężem. Tamtego dnia zobaczyłam jednak, że ta część niego, która mnie przeraża, może również nieść wielką pociechę.

W Harvard Business School Tony był w swoim żywiole, a ponieważ on czuł się szczęśliwy, ja też byłam szczęśliwa. Wzięliśmy kredyt na jego czesne, ale pokrycie kosztów naszego życia stało się moim zadaniem. Dzięki republikańskim kontaktom z Nowego Jorku zdobyłam posadę sekretarki w biurze stanowego ministra sprawiedliwości Massachusetts: uprzejmego urzędnika państwowego w okularach, który nazywał się Elliot Richardson (i w październiku 1973 roku zasłynął tym, że zrezygnował ze stanowiska ministra sprawiedliwości Richarda Nixona, gdyż nie chciał wykonać polecenia zwolnienia specjalnego prokuratora Archibalda Coxa pracującego nad aferą Watergate). To była poważna praca, ale brakowało jej atmosfery zabawy właściwej pracy w administracji Kennedy’ego – a już z pewnością wszelkich wygłupów po godzinach. Nigdy nie wyjawiałam żadnemu ze współpracowników, że dwa razy w ciągu wakacji pracowałam na stażu w Białym Domu, i specjalnie pominęłam ten fakt w swoim CV.

Wynajęliśmy małe mieszkanie w dużym, domu z drewnianą elewacją przy Gerry Street, rzut beretem od rzeki Charles i kilka kroków od kampusu Harvarda. Był to okres wielkich politycznych zmian na tej uczelni – i w całym kraju – ale ja i Tony tak bardzo się skupiliśmy na swoim planie (Tony na studiach, a ja na dbaniu o to, żebyśmy mieli z czego opłacić rachunki), że „rewolucja” ledwie nas dotknęła. Byliśmy niezwykle konserwatywni i nudni. Podczas gdy kilka przecnic dalej długowłosi studenci w ubraniach z demobilu protestowali przeciwko wojnie w Wietnamie, Tony chodził na zajęcia w białych, zapiętych pod szyję koszulach, swetrach i niebieskich marynarkach z odznaką, a ja wkładałam do pracy skromne bluzki i spódnice, żeby asystować republikaninowi, który był najważniejszym w stanie funkcjonariuszem organu ochrony porządku publicznego. Zamiast palić marihuanę, paliliśmy papierosy. Zamiast stać na barykadach, zaszywaliśmy się w mieszkaniu. Późno wracałam z pracy i przygotowywałam duszoną potrawkę albo ulubione danie Tony’ego składające się z burgera z kawałkiem sałaty lodowej, polanych sosem majonezowym. Nie było nas stać na jądanie w restauracjach i rzadko spotykaliśmy się z ludźmi. Tony uczył się przy biurku, a ja sadowiłam się na kanapie z książką w ręku. Jedno z sąsiednich mieszkań zajmował Michael Ansara, znany aktywista polityczny i jeden z założycieli harwardzkiej sekcji lewicowego ruchu SDS, ale nie przypominam sobie, żebym w ciągu dwóch spędzonych tam lat zamieniła z nim choćby słowo.

W zasadzie nie były to dla nas szalone czasy, ale w naszym związku zapanowała atmosfera wskrzeszonego romansu i byliśmy zgraną parą. Zjednoczyło nas zaangażowanie w realizację życiowego planu. Tony miał zdobyć MBA i zamierzaliśmy wrócić do Nowego Jorku, gdzie mój mąż chciał znaleźć upragnioną pracę w finansach. W zasadzie byliśmy tak zgrani, że poza jednym wyjątkiem (o którym za chwilę) w ogóle nie

myślałam o prezydencie Kennedym. Było to tym niezwyklejsze, że mieszkaliśmy w Harvardzie, gdzie za najśłynniejszego absolwenta z pewnością uważano wówczas właśnie JFK. Park imienia Johna F. Kennedy'ego, Szkoła Rządowa imienia Kennedy'ego i ulica J.F. Kennedy'ego – one wszystkie znajdowały się niespełna kilometr od drzwi naszego mieszkania. Gdybym chciała unikać wspomnień o JFK, okręg bostoński zdecydowanie by się do tego nie nadawał. Praktycznie rzecz biorąc, przypominał tematyczny park rozrywki Kennedy'ego.

Od śmierci małego Christophera minęły trzy lata. Mimo że Tony nadal studiował, a ja dostawałam skromną pensję sekretarki, postanowiliśmy starać się o dziecko, które w końcu przyszło na świat 22 września 1968 roku, kilka tygodni po tym, jak Tony rozpoczął drugi rok studiów. Nasza córeczka Lisa była zdrowa i doskonała. Uwielbiałam się nią opiekować – nawet zmienianie pieluch i nocne karmienie. Podczas pierwszego spaceru Lisy wypchnęłam jej niebieski wózek na Brattle Street i zachęcałam właściciela lokalnej drogerii, żeby wyszedł i „zobaczył, co mam”. Użyłam dokładnie takich słów, jakby Lisa była najcenniejszym darem, jaki kiedykolwiek dostałam. Nagle moje życie skupiło się na niej i ani przez chwilę mi to nie przeszkadzało.

Oczywiście mój sekret nadal był głęboko ukryty.

Pewnego rześkiego wiosennego dnia w 1969 roku, podczas popołudniowego spaceru z dzieckiem w wózku, przeszłam jednak obok salonu fryzjerskiego przy Massachusetts Avenue, który reklamował na wystawie produkty Frances Fox. Minęło sześć lat, odkąd regularnie dbałam o włosy prezydenta, ale nagle zawładnęły mną emocje. Spojrzałam w prawo i w lewo, żeby się upewnić, że nikt mnie nie obserwuje (to niedorzeczne, wiem), i wzięwszy Lisę na ręce, weszłam do salonu, żeby zobaczyć, jakie produkty ma w ofercie. Nie zamierzałam niczego kupić.

Chciałam jedynie choć przez kilka minut delektować się miłymi wspomnieniami o prezydencie Kennedym. Sięgałam po flakoniki i obracałam je w dłoniach. Potem ostrożnie odstawiłam je na miejsce i wyszłam. Miałam tak ogromne poczucie winy z powodu tego, co zrobiłam, że pogrzebałam ten incydent głęboko w umyśle. Nie zamierzałam nikomu o nim wspominać. Lisa, która miała wtedy zaledwie pół roku, też nie mogła o tym opowiedzieć.

Tony zdobył MBA w czerwcu 1969 roku i – tak jak mieliśmy nadzieję – został przyjęty przez Goldmana Sachsa na dobrze płatne stanowisko w Nowym Jorku. Na początku wynajęliśmy dawną powozownię w Greenwich w Connecticut, myśląc, że porośnięte bujną roślinnością przedmieścia będą lepszym miejscem dla naszej nowej rodziny. Ale po dziewięciu miesiącach dojeżdżania do pracy Tony był gotów wrócić do miasta. Ja też – brakowało mi energii miejskiego życia ulicznego. Jeden z kolegów Tony’ego zasugerował Brooklyn Heights, dzielnicę po drugiej stronie East River, dokładnie naprzeciw Wall Street. Jedyne, co wiedziałam o okręgu Brooklyn, to to, że urodził się w nim mój tata. Ku naszemu zdumieniu znalezienie wyjątkowego mieszkania z ogródkiem przy porośniętej drzewami Hicks Street zajęło nam zaledwie jeden weekend i wymagało uzbrojenia się wyłącznie w lokalną gazetę. Tony był uradowany, że od biura dzieli go zaledwie jeden przystanek metrem, a ja zakochałam się w tej części Nowego Jorku. Była miejska, ale „nie za bardzo” miejska. Trzymałam w ramionach piękną córeczkę i miałam u boku wspaniałego męża i żywiciela rodziny. Życie było dobre.

Rozdział trzynasty

Między listopadem 1963 roku, kiedy powiedziałam Tony'emu o JFK, a majem 2003 roku, kiedy „Daily News” ujawniły mój sekret, podzieliłam się historią swojego romansu z zaledwie kilkoma osobami. Na początku dorosłego życia starałam się być idealną żoną i matką. Oczywiście nie oznaczało to, że byłam szczęśliwa. Ale chowałam swoje smutki za spokojną fasadą i opanowałam tę umiejętność do perfekcji. Rodzinie i przyjaciołom wydawałam się sumienna, sprawna, pełna energii i zadowolona, ale choć bardzo próbowałam utrzymać taki wizerunek, na mojej fasadzie nieuchronnie pojawiały się pęknięcia.

Latem 1973 roku zwierzyłam się swojej kuzynce Joan Ellis. Właśnie skończyłam trzydzieści lat. Moja druga córka Jenny przyszła na świat trzy lata po swojej siostrze i właśnie uczyła się chodzić i mówić. Tak jak Lisa cieszyła się niesłabnącym zainteresowaniem ze strony kochających rodziców. Kariera Tony'ego w Goldmanie Sachsie rozkwitła tak bardzo, że tuż przed narodzinami Jenny było nas stać na zakup mieszkania z trzema sypialniami w jednym z dobrze utrzymanych i zarządzanych przez wspólnotę budynków w Brooklyn Heights oraz na wynajem letniego domu w Rumson w New Jersey.

Letni dom był pięknie umeblowany i stał na szczycie wzgórza na końcu długiego kamiennego podjazdu, godzinę drogi od miasta. Brakowało w nim jedynie telewizora, co okazało się problemem latem 1973 roku, kiedy cały naród zahipnotyzowała afera Watergate. Niemal codziennie sieci telewizyjne przerywały program, by pokazać przesłuchania prowadzone

w Senacie przez senatora Sama Ervina z Północnej Karoliny. Tak jak wszyscy byłam pochłonięta tym bezprecedensowym epizodem politycznego dramatu. Kiedy Tony pracował, zazwyczaj wsadzałam nasze dziewczynki i ich nianię do samochodu i jechałam kilka kilometrów do domu mojej kuzynki Joan, gdzie telewizor nieustannie pokazywał przesłuchania.

Joan była dwanaście lat starsza ode mnie. Przed powrotem do New Jersey z zamiarem otwarcia własnego przedsiębiorstwa elektronicznego i wychowania dzieci Joan i jej mąż przez lata pracowali w Waszyngtonie. Joan była nie tylko najinteligentniejszą kobietą, jaką znałam, lecz także najbardziej dyskretną. Nie plotkowała. Trzymała się na uboczu i z rozmysłem omijała podmiejską scenę towarzyską. Jeśli w moim życiu była choć jedna osoba, która potrafiła docenić moc sekretu, to właśnie moja kuzynka Joan.

Przesłuchanie, które odbyło się w trzecim tygodniu lipca, było niezwykłym wydarzeniem. Alexander Butterfield właśnie ujawnił istnienie nowoczesnego systemu nagrywającego w Gabinetcie Owalnym, co oznaczało, że każda rozmowa z udziałem prezydenta Nixona była nagrywana. Pamiętam, jak razem z Joan zrobiłyśmy sobie przerwę w oglądaniu przesłuchania, a niania poszła ułożyć moje córki do snu. Spragnione świeżego powietrza, postanowiłyśmy się wybrać do pobliskiego parku stanowego Sandy Hook. Szłyśmy po opuszczonym odcinku plaży, rozmyślając o tym, jak miażdżące mogą się okazać te nagrania dla prezydenta Nixona i jak długo zdoła on utrzymać ich treść w tajemnicy.

– Sekrety – powiedziała Joan. – Prędzej czy później zawsze wychodzą na jaw.

Może to był bodziec wyzwalający. A może był nim fakt, że tamtego lata – mieszkając w tym pięknym domu z uroczymi córeczkami i odnoszącym

sukcesy mężem – poczułam zadowolenie i spełnienie, jakich nigdy wcześniej nie zaznałam. Może poczułam się na tyle pewnie w małżeństwie, że złamanie danej Tony’emu obietnicy, tylko ten jeden raz, nie wydawało mi się aż takie straszne. Może po prostu chodziło o to, że rozmawialiśmy o Waszyngtonie i prezydenturze. A może o to, że miałam do Joan pełne zaufanie i mogłam jej powiedzieć o wszystkim. Zawsze ją podziwiałam.

– Wiem – odparłam. – Sama mam pewien sekret.

I o wszystkim jej powiedziałam.

Najbardziej zadziwiające było to, że niebo nie runęło mi na głowę. Nie poraził mnie piorun. Nie czułam się ani odrobinę bardziej zawstydzona, winna ani puszczalska. Prawdę mówiąc, poczułam się lepiej.

Joan zachowała się wspaniale, tak jak przypuszczałam. Chodziła do Vassar razem z Jackie Kennedy i była zagorzałą wielbicielką wszystkiego, co wiązało się z administracją Kennedy’ego. Nie dręczyła mnie jednak mało dyskretnymi pytaniami. Nie okazała szoku ani zdumienia. Po prostu wysłuchała mnie i powiedziała:

– No cóż, pewnego dnia będzie z tego ciekawa opowieść dla twoich wnuków.

Jej pozytywna reakcja cementuje łączącą nas więź aż do dzisiaj.

Kiedy wróciliśmy do domu Joan, żebym mogła zabrać córeczki, cieszyłam się, że jej o wszystkim powiedziałam, ale nie byłam pewna, czy kiedykolwiek zbiore się na odwagę i powiem jeszcze komuś. Byłam pewna jedynie tego, że nie wspomnę Tony’emu o złamaniu danej mu obietnicy.

Minęło dziesięć lat, zanim znowu wyjawiałam swój sekret. Podczas tamtej pierwszej dekady mojego macierzyństwa i małżeństwa powoli, prawie niezauważalnie, tworzyło się nowe pęknięcie na mojej fasadzie.

W 1976 roku kupiliśmy z Tonym trzypiętrowy dom do remontu przy Garden Place 19A, jednej z najbardziej pożądanых ulic w Brooklyn Heights. Wymagał szeroko zakrojonych prac, które – wiedziałam o tym – mogły albo nas do siebie zbliżyć, albo jeszcze bardziej od siebie oddalić. Ukończyłam kursy w New York School of Interior Design i zdobyłam licencję dekoratorki wnętrz, więc zajęłam się wszystkimi szczegółami. We czworo przez rok mieszkaliśmy wśród pyłu skuwanego tynku, robotników, gołych rur i brakującej armatury. Stres nie zbliżył do mnie męża. Kiedy sytuacja robiła się napięta, Tony wskakiwał w samochód, jechał do New Jersey i spędzał noc w małym domu, który wynajmowaliśmy na weekendy i wakacje.

Choć zabrzmiałoby to głupio, tamten remont w 1977 roku wytyczył emocjonalną linię podziału naszego małżeństwa. Mieliśmy za sobą trzynaście dobrych lat, a teraz czekało nas trzynaście złych. Nieczęsto można wskazać konkretną chwilę, w której z małżeństwa ulatuje miłość. Ale ja mogę.

Tamtego lata przyjaciele zaprosili nas do swojego domu na wsi w Tenants Harbor w stanie Maine, żebyśmy mogli odpocząć od remontu. Gospodarze raczyli nas homarami na kolację, schłodzonymi drinkami i niekończącymi się grami planszowymi. Pamiętam, że uderzył mnie kontrast między czułym, wesołym związkiem naszych gospodarzy a moją pustą i praktycznie pozbawioną życia relacją z Tonym. Wiele mówiący epizod miał miejsce podczas naszego ostatniego poranka w Maine, kiedy się obudziłam i Tony gwałtownie się ode mnie odwrócił, jakby chciał oznajmić, że wolałby leżeć obok kogokolwiek, byle nie obok mnie. Właśnie wtedy przyznałam przed sobą samą, że ja też wolę być gdziekolwiek, byle nie z nim.

Od tamtej chwili patrzyłam na Tony'ego wyłącznie krytycznie – i on na mnie też. Zaczęłam prowadzić w głowie okropną, ciągle rosnącą listę jego wad: przestaliśmy uprawiać seks, odmawiał jeżdżenia ze mną i z dziećmi do mojej mamy na Florydę, nie mieliśmy żadnych wspólnych zajęć, nie rozmawialiśmy ze sobą, nie pomagał mi w domu. Taki rodzaj pretensji nigdy nie przynosi korzyści. A ja zrobiłam coś jeszcze gorszego: zwróciłam je wszystkie przeciwko sobie. Chciałam się dowiedzieć, gdzie popełniłam błąd – i jak go naprawić. Kiedy dziewczynki były w szkole, a Tony w pracy, siadałam przy kuchennym stole, otaczając się klasycznymi poradnikami z tamtych lat, takimi jak *Passages* (Przejścia) Gail Sheehy i *The Road Less Traveled* (Droga mniej uczęszczana) M. Scott Peck, a także mniej sławnymi, ale jeszcze bardziej ciętymi książkami w rodzaju *The Dance of Anger* (Taniec złości) Harriet Lerner. Gryzmołam na marginesach i podkreślałam fragmenty, które odnosiły się do mojej sytuacji. Kiedy sięgnęłam po te poradniki podczas pisania tej książki, zobaczyłam, że wszystkie moje notatki skupiają się na jednym – na tym, że „wzajemna, pełna miłości konfrontacja” jest kluczem do wartościowego związku, że bez niej staje się on płytki i skazany na porażkę. Wszystko, co czytałam, przypominało mi o tym, że w małżeństwie byłam zbyt bierna, zbyt odizolowana. Ale nie miałam ani pewności siebie, ani umiejętności, żeby zaznaczyć swoją obecność.

Jak na ironię, co wieczór, tuż przed powrotem Tony'ego z pracy, pospiesznie chowałam książki mówiące o „ważnej konfrontacji”, aby mój mąż nie mógł ich znaleźć i znowu powiedzieć, żebym się wzięła w garść, jakbym po prostu miała chwilę słabości. Ostatecznie najgorszą chwilą mojego dnia stała się ta, w której słyszałam zgrzytnięcie klucza w furtce sygnalizujące powrót Tony'ego do domu.

Ocaliło mnie – dosłownie – bieganie. Pod koniec lat siedemdziesiątych ostatecznie rzuciłam palenie i zaczęłam biegać, żeby wrócić do formy i znowu czerpać radość z życia. Nie wiem, dlaczego tak długo trwało, zanim rozbudziłam w sobie dawne zamiłowanie do biegania, dzięki któremu kiedyś byłam jedyną dziewczyną w chłopięcej drużynie biegaczy w Rumson Country Day, ale gdy po raz pierwszy biegłam promenadą wzdłuż East River niedaleko swojego domu, wiedziałam, że bieganie to coś, w czym mogę być dobra.

Jogging szybko wszedł do mojego harmonogramu dnia i wprowadził do mojego życia odrobinę wewnętrznego spokoju. Budziłam się o wpół do szóstej rano, wcześniej niż Lisa i Jenny, wkładałam szare spodnie od dresu, wypijałam kubek kawy i wyruszałam na co najmniej sześć kilometrów przebieżką promenadą, następnie mostem Brooklyńskim na Manhattan i z powrotem. Często podziwiałam wschód słońca nad East River i wracałam do domu, żeby wyprawić dziewczynki do szkoły. Nazajutrz znów biegałam.

Wyglądało na to, że w tamtym momencie cały naród odkrył uroki biegania. Wydana w 1977 roku *The Complete Book of Running* (Kompletna książka o bieganiu) Jima Fixxa przez ponad rok znajdowała się na pierwszym miejscu listy bestsellerów. Widok biegaczy w każdym kształcie, wieku i rozmiarze, zbierających się na rogach ulic w grupy po dziesięć osób i więcej, odzianych w szorty i adidas, żeby wyruszyć na wspólną przebieżkę przed pracą lub po niej, nie był niczym niezwykłym. Dość szybko dołączyłam do takich ludzi. Wstąpiłam do klubu New York Road Runners (NYRRC), największej grupy biegaczy w Ameryce, i postanowiłam, że wystartuję w maratonie. Rok wcześniej moja tożsamość opierała się na byciu żoną i matką, lecz teraz jej podstawą było macierzyństwo i bieganie.

W 1979 roku po raz pierwszy pokonałam trasę nowojorskiego maratonu, uzyskując czas cztery godziny i szesnaście minut. Byłam dumna, że udało mi się ukończyć bieg, i natychmiast zaczęłam trenować do następnego, przysięgając sobie, że zejdem poniżej czterech godzin (co mi się udało). Wkrótce zaczęłam się udzielać w NYRRC i odkryłam całkiem nowy krąg przyjaciół, którzy nie mieli nic wspólnego z moim cierpkim życiem rodzinnym w Brooklynie i z którymi wiele mnie łączyło. Tony tolerował to, że przeznaczam na bieganie wiele godzin, i nigdy z tego powodu nie narzekał. Córki poparły mnie całym sercem, a nawet wydawały się ze mnie dumne. Kiedy kończyłam wyjątkowo długi trening podczas naszych weekendów w New Jersey, wszystkie trzy wskakiwałyśmy do samochodu i pokonywałyśmy moją dwudziestocztero- lub dwudziestosześciokilometrową trasę, spoglądając na licznik. Sprawdzanie długości trasy zawsze kończyło się wizytą w lokalnym barze Dairy Queen (co być może wyjaśnia, dlaczego córki tak bardzo mi kibicowały), gdzie zamawiałyśmy ogromne waniliowe lody z posypką.

W lutym 1981 roku zaczęłam pracować na pół etatu w NYRRC, gdzie zajęłam się rozbudowaniem biblioteki naukowej. Zarobki ledwie przewyższały płacę minimalną, ale wcale mi to nie przeszkadzało. Wszyscy moi współpracownicy biegali i szczerze mówiąc, nie czułam takiego podniecenia i nie miałam takiego poczucia misji od czasu stażu w Białym Domu. Polubiłam zwłaszcza swojego przełożonego Billa Noela. Razem trenowaliśmy, razem jadaliśmy lunch i kilka razy dziennie znajdowaliśmy jakiś pretekst, żeby odwiedzać się za biurkiem. Nasze kokieteryjne relacje karmiły się wspólnym zamiłowaniem do biegania oraz uczuciem spełnienia i zdrowiem, które się z nim wiązały.

Kiedy Bill wpadł na wspaniały pomysł, żebyśmy wystartowali w londyńskim maratonie w maju 1982 roku, natychmiast się zgodziłam.

Polecieliśmy w piątkę, ale na maraton zapisaliśmy się tylko my dwoje. Pozostała trójka dołączyła jako turyści i kibice, co wyjaśnia, dlaczego noc przed maratonem ja i Bill znaleźliśmy się w jednym pokoju. Musieliśmy się wyspać. Reszta mogła pójść na miasto. To pokazuje, jak niewinne były łączące nas relacje – i jak oddani byliśmy bieganiu. Nikomu z naszego grona – łącznie z nami samymi – nawet nie przyszło do głowy, że taki podział pokoi jest niestosowny. Nie kochałam się z mężem od pięciu lat. W zasadzie nawet się nie przytulaliśmy. Tamtej nocy, będąc sama w pokoju hotelowym, zdałam sobie sprawę, jak bardzo pragnę fizycznej czułości i więzi. Dlatego wykonałam odważny, spontaniczny gest, który zaskoczył nas oboje. Zamiast położyć się w swoim łóżku, poszłam do łóżka Billa. To wydawało się zupełnie naturalnym zwieńczeniem całego wzajemnego wsparcia, jakie okazywaliśmy sobie podczas miesięcy treningów. Dwa dni wcześniej skończyłam trzydzieści dziewięć lat i Bill był moim trzecim kochankiem.

Nie czułam wyrzutów sumienia, kiedy nazajutrz pojechaliśmy pociągiem na linię startową wyścigu w Greenwich Park (ukończyłam go, ustanawiając swój osobisty rekord: trzy godziny i dwadzieścia siedem minut). Poczucie winy dotarło do mnie dopiero w samolocie, gdy wracałam do Nowego Jorku i miałam w perspektywie ponowne zobaczenie się z Tonym. Kiedy w pełni uświadomiłam sobie własną niewierność, nie potrafiłam zignorować oczywistego faktu: po latach nawarstwiającego się milczenia z Tonym nasze małżeństwo wisiało na włosku.

Pewnego dnia siedziałam w swoim wygodnym salonie w Brooklynie z młodszą siostrą Deb. Był rok 1983. Rok wcześniej w moim domu odbyło się wesele Deb. Wspominałyśmy tę ceremonię i nagle nasza rozmowa skreśliła w stronę szczerzej dyskusji na temat mężczyzn. To była nasza pierwsza siostrzana rozmowa o seksie, co skłoniło mnie do przyznania się

do przygody z Billem. Deb była zaskoczona, słysząc, że to ja zainicjowałam zbliżenie. Obraz, na którym wskakuję do łóżka innego mężczyzny – innymi słowy: przejmuję stery – był dla niej niespodziewaną, niepasującą do mnie częścią mojej osobowości, której nigdy wcześniej nie widziała. Poza tym zgromadziłyśmy zupełnie inne doświadczenia. Moja siostra miała wielu chłopaków, zanim wyszła za mąż w wieku trzydziestu trzech lat.

– Po prostu jestem zdumiona, że przed Billem ograniczałaś się do jednego mężczyzny – powiedziała.

– To nie do końca prawda – odparłam. – W latach sześćdziesiątych, kiedy pracowałam w Białym Domu, miałam romans z żonatym mężczyzną.

– Z JFK? – zapytała.

– Skąd wiesz?

– Po prostu przecucie – wyjaśniła. – Słyszał z tego, prawda?

Jej intuicja tak bardzo mnie zaskoczyła – jakby Deb nagle ujrzała całą prawdę o mnie albo jakby ta prawda cały czas była oczywista – że nie czułam potrzeby wnikania w szczegóły. Skupiłam się na fakcie, że Tony zabronił mi o tym mówić. Deb była zdziwiona.

– Więc dlaczego mi mówisz? – zapytała.

Nie miałam dla niej gotowej odpowiedzi i na szczęście nie drażyła tematu. Chyba obu nam ulżyło. Dowiedziała się, jaka jestem nieszczęśliwa, więc cóż było dodać?

Pracowałam w NYRRC jeszcze przez trzy lata. Nadal trenowałam z Billem – najpierw do biegów na dziesięć kilometrów a potem do triathlonów – aż w końcu kontuzja i operacja zmieniły mnie w biegaczkę amatorkę. Czasami marzyłam na jawie o życiu z Billem, mimo że on nigdy nawet nie napomknął o takiej możliwości. Wszelkie fantazje, jakie snułam na nasz temat, urwały się, kiedy przyjąłam pracę na pełny etat na

stanowisku menedżerki lokalnego klubu tenisa i squasha i powoli zaczęłam się oddalać od świata biegaczy z powrotem ku swojemu nieszczęśliwemu małżeństwu.

Przez resztę lat osiemdziesiątych nie myślałam o tym, żeby powierzyć swój sekret jeszcze komuś. Tak naprawdę trwanie w naszym rozpadającym się małżeństwie sprawiało mi tyle bólu, że prawie w ogóle nie zwierzałam się przyjaciółom ani rodzinie. Tony i ja traktowaliśmy się niemal jak powietrze – a nasza obopólna emocjonalna niedostępność sprawiała przykrość także naszej nastoletniej córce Jenny. Miała żal do nas obojga, ale wyładowywała go na mnie, bo byłam łatwiejszym celem.

– Jesteś najśłabszą namiastką matki! – wykrzyczała mi pewnego dnia.

Nie pamiętam, co ją do tego skłoniło, ale była to dla mnie brutalna pobudka – jedna z tych chwil, które ranią człowieka do żywego. Jenny ujrzała mnie taką, jaka byłam: jako pustą kobietę niezdolną do zawalczenia o siebie. Myślałam o tym przez cały dzień, załatwiając różne sprawunki na Manhattanie. Był kwietniowy piątek 1989 roku. Tony miał wrócić z pracy wcześniej, żeby wyjechać na weekend do New Jersey. Szłam wzdłuż Madison Avenue ku stacji Grand Central Terminal. Weszłam zachodnimi drzwiami od strony Vanderbilt Avenue. Stałam u szczytu schodów, patrząc w dół na pasażerów pędzących jak mrówki, a potem na koloramę Kodaka na drugim końcu hali. Przedstawiała ogromną romantyczną scenę, na której para trzymała się za ręce na tropikalnej plaży. Scenka była oklepana, ale ja i tak widziałam w niej jedynie miłość, co głęboko mnie zasmuciło, bo nie potrafiłam sobie wyobrazić własnej przyszłości z jakąkolwiek romantyczną miłością. Popłynęły łzy.

Zawsze myślałam, że momenty olśnienia są owocem milczącej autoanalizy, wynikiem spokojnej medytacji albo przebłyskiem objawienia. Że nie powinny następować gwałtownie. Ten jednak uderzył mnie mocno, jak cios w brzuch. Natychmiast wiedziałam, że muszę zakończyć swoje małżeństwo. Nigdy nie byłam równie zdeterminowana.

Kiedy wróciłam do domu, Tony stał w kuchni i rozmawiał przez telefon z przyjaciółmi z New Jersey, układając plan swojego weekendowego wypadu. Stałam w drzwiach, wpatrując się w niego i odliczając sekundy, które upłynęły, zanim mnie zauważył. Okręcając długi żółty kabel aparatu wokół ręki, uniósł palec wskazujący. Sygnalizował mi, żebym chwilę zaczekała. W końcu odłożył słuchawkę i rzucił mi zniecierpliwione spojrzenie.

– Chcę rozwodu – oznajmiłam.

– Co? – zapytał.

– Chyba słyszałeś. – Nie zamierzałam nic dodawać. Czekałam na jego reakcję.

– Jesteś pewna? – zapytał. – Nigdy nie wiesz, czego chcesz, ale jeśli jesteś tego pewna, dam ci rozwód. Myślę, że będziesz tego żałowała.

Jego słowa zawisły w powietrzu – raczej groźba niż próba nakłonienia mnie do zmiany zdania. W pewnym sensie miał rację. Nie do końca wiedziałam, czego chcę, ale byłam pewna, że muszę zrobić krok ku zmianie. Miałam świadomość, że nie tylko Tony ponosi winę za moją rozpacz i za zniszczenie naszego małżeństwa. Zawiniłam w równym stopniu co on. Nie dałam mu szczęścia. Poza tym wiedziałam jednak, że dotarłam do kresu niedoli, którą sobie nawzajem zgotowaliśmy.

Tony był wściekły, ale dąsanie się i gotowanie ze złości nie było w jego stylu. Natychmiast zaczął tworzyć plan. Kupił mieszkanie przy pobliskiej Willow Street, podczas gdy ja zostałam w naszym domu przy Garden

Palace. Obydwoje wynajęliśmy prawników i po roku zajadłych negocjacji przestaliśmy być mężem i żoną.

Kilka miesięcy później, latem 1991 roku, opowiadałam o szczegółach swojego rozvodu najbliższej przyjaciółce z Farmington Marnie Pillsbury. Nazywała się Marnie Stuart, kiedy razem z Wendy Taylor dzieliłyśmy mieszkanie w Georgetown, a ja po raz drugi odbywałam staż w Białym Domu.

Umówiłyśmy się na kolację, bo Marnie chciała przeprowadzić jedną ze swoich okresowych kontroli mojego dobrostanu. Była i jest właśnie takim rodzajem przyjaciółki.

Okazała wielką cierpliwość, kiedy przeprowadzałyśmy sekcję zwłok mojego dwudziestosześcioletniego małżeństwa. Powiedziałam jej, że zebranie się na odwagę, by zakończyć ten związek w 1989 roku, w zasadzie nie było dla mnie aż takie trudne.

W pewnym sensie nie miałam wyboru. Marnie nie chciała się zgodzić z tym, że to lata wzajemnego nękania się zmuszają dwoje ludzi do rozstania.

– Musiał być jakiś ważniejszy powód – powiedziała.

– No cóż... – Zawahałam się.

Przez tyle lat powstrzymywałam się od opowiedzenia o wszystkim Marnie, że naturalnym odruchem wydawało mi się utrzymanie *status quo*. Wtedy jednak zdałam sobie sprawę, że nie jestem już żoną Tony'ego. Moja przysięga małżeńska straciła ważność. Tak samo jak obietnica zatajenia mojego sekretu.

Gdy opowiadałam o romansie z prezydentem Kennedym, Marnie nie odezwała się nawet słowem. Była najlepszą przyjaciółką: taką, która słucha i nie ma poczucia, że powinna oferować rozwiązanie każdego problemu. Czasami chcemy jedynie tego, żeby ktoś nas wysłuchał.

Jeśli chodzi o mnie, rozkoszowałam się tym, że w końcu mogę wyjawić swój sekret przyjaciółce, która zna mnie od czasów tamtego stażu. Czułam, że wyzwalam nie tylko swoje dorosłe Ja, lecz także to dziewiętnastoletnie. Było mi dobrze.

Kawałek po kawałku odsłaniałam tajemnicę. Po raz kolejny podzieliłam się swoim sekretem po śmierci Jacqueline Onasis 19 maja 1994 roku. Jadłam kolację z K.C. Hyland, przyjaciółką, z którą chodziłam do Wheaton College. Byłyśmy w Upper East Side na Manhattanie. K.C. przyszła z West Side przez Central Park i natknęła się na chmarę dziennikarzy i pełnych uwielbienia fanów, którzy czuwali przed mieszkaniem pani Onasis przy Piątej Alei 1040. Minęły dwa dni, odkąd pani Onasis umarła, i czekali na sporadyczne informacje dotyczące uroczystości pogrzebowych przekazywane przez jej syna Johna F. Kennedy’ego juniora.

Wiedząc, że pracowałam w Białym Domu za czasów Kennedy’ego, przy kolacji K.C. wspomniała o śmierci Jackie i zapytała, czy kiedykolwiek miałam okazję ją poznać.

– Nie, nigdy – powiedziałam, a potem opisałam swoją próbę przeprowadzenia wywiadu z Jackie pod koniec nauki w Miss Porter’s i wspomniałam o tym, jak ostatecznie zaproponowano mi staż.

– Pewnie poczułaś się okropnie na wieść o śmierci Jackie – powiedziała.

– Tak – potwierdziłam – ale przede wszystkim przypomniał mi się prezydent.

– Jak to? – zapytała.

Więc jej powiedziałam.

To było cztery lata po moim rozwodzie. Właśnie skończyłam pięćdziesiątkę. K.C., która od niedawna była w separacji, towarzyszyła mi podczas wielu spacerów w Central Parku i często jadałyśmy razem kolację. Nasze poufale rozmowy obejmowały chyba wszystkie tematy, jakie mogą zostać poruszone przez samotne kobiety na Manhattanie: pracę, rodzinę i oczywiście mężczyzn. Wyjawienie jej mojego sekretu tamtego wieczoru było czymś naturalnym i krzepiącym. Poznała wszystkie szczegóły – od pływania w basenie, przez smażenie jajecznic, po udział w delegacjach i nocowanie w Białym Domu. Z początku K.C. była oszołomiona, ale szybko ochłonęła i zaczęła wypytywać o dalsze detale. Interesowała ją zwłaszcza logistyka – jak, gdzie i kiedy: jak to ukrywaliśmy przed pierwszą damą, jaką rolę odgrywało Secret Service i tak dalej. Mówiłam bez przerwy, godzinami. Bez wątpienia czułam pewien głęboko zakorzeniony strach, że ujawnianie tak wielu szczegółów nie jest w porządku (trudno się pozbyć starych nawyków po trzydziestu latach skrywania sekretu). Ale K.C. była tak bardzo ciekawa drobiazgów i odmalowanego przeze mnie portretu prezydenta, że wyrzucenie tego z siebie wydawało mi się przede wszystkim zdrowe.

Potem K.C. oznajmiła, że czuje się zaszczycona, iż podzieliłam się z nią swoim sekretem, a także – jak to ujęła – „obarczona odpowiedzialnością, by nikomu nie pisać ani słowa”.

Trafiła w dziesiątkę. Doceniła ciężar, jaki taszczyłam przez tyle lat. Wielką część tego, co robimy i jak myślimy, kształtuje nasze pragnienie zrozumienia ze strony innych ludzi. Podzieliwszy się swoim sekretem z K.C., w końcu zostałam zrozumiana.

Ostatnią osobą, której wyjawiałam swój sekret, był mój szef, doktor Thomas K. Tewell, pastor w kościele prezbiteriańskim przy Piątej Alei. Szkolono go do pomagania spowiednikom. Poza tym był mądrym człowiekiem, którego ogromnie podziwiałam. I przyjacielem, przy którym czułam się na tyle swobodnie, by mówić mu „Tom”.

Był rok 2000, kończył się okres prezydentury Clintona. Od skandalu z Monicą Lewinsky upłynęły dwa lata. Pracowałam w kościele od pięciu lat, zajmując się duszpasterstwem w wersji audio, czyli produkowaniem i sprzedażą nagrań z wszelkiej działalności publicznej kościoła.

Kościół prezbiteriański przy Piątej Alei nie jest skromnym domem modlitwy z białą wieżyczką, stojącym na skraju drogi na przedmieściach. To duży budynek z elewacją z piaskowca oddalony o pięć przecznic na północ od katedry Świętego Patryka, stojącej przy jednym z najruchliwszych skrzyżowań na Manhattanie. Tom był utalentowanym mówcą i przygotowywał niedzielne kazania z zamiarem dotarcia do szerokiej rzeszy słuchaczy – nie tylko do członków kościoła, lecz także do przechodzących obok nieznajomych.

Jego kazanie z 13 lutego wygłoszone w ramach zgłębiania dziesięciu przykazań skupiło się na siódmym przykazaniu – „Nie cudzołóż” – a jego tytuł: „Seks to słowo na osiem liter”, przyciągnął wielu słuchaczy.

Tamtego niedzielnego poranka na dole i na balkonach zostały tylko miejsca stojące. Nastawiłam sprzęt na automatyczne nagrywanie i zajęłam miejsce wśród wiernych. Nieczęsto tak robiłam, ale to przesłanie chciałam usłyszeć na własne uszy (i byłam ciekawa, jak brzmi słowo na osiem liter – okazało się, że to „wierność”). Tematem przewodnim kazania Toma było to, że jeśli chcesz wieść życie oparte na wierności, zgodnie z zamysłem Boga, musisz przestrzegać trzech zasad. Pierwsza polega na tym, że seksualność człowieka to święty dar, z którego należy korzystać z ogromną

ostrożnością. Seks to nie zabawa. Druga zasada głosi, że Bóg nie jest pruderyjny. Nie chce nas obrabować z przyjemności, lecz nadmierna swoboda seksualna niszczy związki. Ktoś zawsze przez nią cierpi. Trzecia zasada mówi, że duch ludzki najgłębiej pożąda intymności. Seks bez intymności nie jest wiernością.

Trudno się spierać z takimi zasadami. Na ich poparcie Tom przytoczył różne przykłady – niektóre były zabawne, inne niepokojące. Jeden z nich mocno mną wstrząsnął. Tom powiedział: „Seks trafia na nagłówki gazet. Jesteśmy bombardowani skandalizującymi nagłówkami. Wszyscy znamy te nazwiska i te historie: o kongresmenach, sędziach, sportowcach, artystach estradowych, pastorach i – tak, tak – nawet o prezydencie Stanów Zjednoczonych, i to nie tylko o obecnym, lecz także o jego poprzednikach zaangażowanych w związki z kobietami, które nie były ich żonami”.

Dobre kazanie odsłania prawdę, a wspaniałe kazanie czyni to w nieoczekiwany sposób. To kazanie mnie zaskoczyło. Z początku myślałam, że Tom zwraca się bezpośrednio do mnie, choć przede wszystkim nawiązywał do romansu Clintona z Monicą Lewinsky, podkreślając, że w rezultacie ucierpiało więcej niż tylko parę osób.

Nigdy nie czułam się bardziej onieśmielona niż wtedy w kościele. Zupełnie jakby Tom włączył reflektor i skierował jaskrawy snop światła prosto na mnie.

Nigdy nie byłam szczególnie religijna – nie w takim sensie, by regularnie chodzić do kościoła albo wierzyć w konkretną doktrynę. Ale uważam się za osobę uduchowioną. Wierzę, że jest nad nami siła zwana Bogiem i że nasze próby i dążenia do zrozumienia tej siły dodają naszemu życiu znaczenia.

Poza tym uwielbiam zbiegi okoliczności, które uważam za najbliższych kuzynów uduchowienia. Zawsze próbuję nadać znaczenie zbiegom

okoliczności, które zazwyczaj są ignorowane przez innych ludzi. Wierzę w tajemnicę i wskazówkę, pojawiające się wtedy, gdy telefon dzwoni dokładnie w chwili, kiedy myślę o osobie na drugim końcu linii, albo gdy z półki spada doskonała książka, kiedy ja szukam rozwiązania jakiegoś problemu, albo gdy podróż pociągiem, którym zazwyczaj nie jeżdżę, sprowadza do mojego życia starego przyjaciela w potrzebie. Zwracam uwagę na małe arbitralne powiązanie między mną a innymi ludźmi. To jeden z moich sposobów na poszukiwanie łączności.

Kiedy siedziałam w ławce, słuchając słów Toma o prezydenckim życiu seksualnym i wiążąc je ze swoją przeszłością, zbieg okoliczności dosłownie mnie powalił.

Od razu wiedziałam, że po nabożeństwie odszukam Toma i opowiem mu swoją historię. Musiałam zrzucić z siebie to brzemie. W niedzielę po nabożeństwie, kiedy nagrywałam kasety, robiłam etykietki i aktualizowałam kościelną stronę internetową, Tom zazwyczaj zaglądał do mojego biura, czekając, aż pokażę mu kciuki skierowane w górę lub w dół, w zależności od perspektyw sprzedaży jego kazania (kazanie o cudzołóstwie natychmiast stało się naszym bestsellerem). Tamtego dnia wyczuł jednak, że dzieje się ze mną coś złego, i umówiliśmy się na rozmowę pod koniec dnia w jego przestronnym gabinecie na siódmym piętrze, z którego było widać kościelną wieżę zegarową.

Zacząłam od wyznania Tomowi, że treść jego kazania była mi bardzo bliska. Resztę powiedziałam bez zająknięcia. Użyłam mniej więcej tych samych słów, od których rozpoczęłam tę książkę. Chciałam jak najszybciej to z siebie wyrzucić.

Być może pragnęłam usłyszeć, że jako dziewiętnastolatka nie dopuściłam się rozwiązłości. Może chciałam, żeby Tom pomógł mi zrozumieć, dlaczego zawsze szukałam intymności, ale nigdy nie udało mi

się jej znaleźć. Może potrzebowałam, by jakiś uznany duchowy autorytet powiedział mi, że jestem w porządku – i że mogę sobie wybaczyć.

Tom mnie nie zawiódł. Był zaskoczony, ale moja historia nie wprawiła go w osłupienie. Przez lata wysłuchiwał wielu bardziej bolesnych zwierzeń. Przyjął moje zakłopotanie i ofiarował je Bogu w modlitwie. Modlił się o to, aby zawsze otaczała mnie łaska Boga i jego przewodnictwo, kiedy będę się zmagala z tą częścią mojego życia.

Teraz zdaję sobie sprawę, że za każdym razem, kiedy wyjawiałam komuś swój sekret, zbliżałam się o krok do odzyskania równowagi emocjonalnej.

Dzięki Joan Ellis nauczyłam się, że świat się nie zawali, jeśli złamię obietnicę daną Tony'emu.

Dzięki Deb, która domyśliła się mojego romansu z JFK, nauczyłam się, że być może przeceniałam siłę szokujących właściwości tej historii i wyolbrzymiałam wstyd, jakim obarczą mnie inni ludzie. Moja siostra nie widziała w tym sekrecie niczego haniebnego.

Dzięki Marnie na chwilę bardzo wyraźnie przypomniałam sobie dziewczynę, jaką byłam w 1963 roku – młodą kobietę wystarczająco energiczną i ujmującą, by zwrócić na siebie uwagę prezydenta Stanów Zjednoczonych. Dosłownie się od niej odgrodziłam i zapomniałam o tej dziewczynie.

Dzięki K.C. Hyland zyskałam zrozumienie.

Dzięki Tomowi Tewellowi zyskałam pociechę, spokój, a nawet poczucie przebaczenia.

– Trzeba tu jeszcze wiele uleczyć, ale to się dokona – powiedział.

Po raz pierwszy od śmierci JFK zostałam pobłogosławiona uczuciem łąski i spokoju. Nie jestem pewna, dlaczego akurat wtedy. Czasami materializują się w nas pewne uczucia, lecz ich źródło pozostaje tajemnicą. Najlepsze wyjaśnienie znajduję w rozmowie, którą przeprowadziłam w 2010 roku przy okazji wywiadu z doktor Evan Imber-Black, terapeutką i autorytetem w dziedzinie mocy sekretów skrywanych w rodzinach. Powiedziała mi, że mój sekret związany z JFK tkwił w sercu mojego małżeństwa z Tonym. Ponieważ obydwójce zgodziliśmy się milczeć, sekret kształtował nasze wzajemne relacje. Mechanizm był prosty: nie możemy o tym rozmawiać, więc nie możemy też rozmawiać o niczym, co mogłoby ewentualnie do tego doprowadzić. Oto jak do małżeństwa wdarło się milczenie, które urosło i nigdy nie zniknęło. A teraz, blisko czterdzieści lat później, przełamywałam to milczenie bez strachu i nie w odwecie – wiedząc, że ten gest mnie uzdrowi.

To najlepsze wytłumaczenie spokoju, jaki czułam. Mój sekret przestał być wielką sprawą. Przerosłam go. Był częścią mnie, ale mnie nie definiował – a po mojej rozmowie z doktorem Tewellem przestał mnie ograniczać. Brzemie nie tylko zostało zrzuczone, lecz także odrzucone.

Wiedziałam już, co miała na myśli poetka Kim Rosen, pisząc: „Kiedy powitasz to, przed czym uciekasz, próby unikania tego czegoś przestaną kształtować twoje życie”. Mój sekret nie został pogrzebany. To wcale nie był sekret, lecz po prostu fakt z mojej przeszłości.

Rozdział czternasty

Wszelki spokój, jaki czułam, został poddany ciężkiej próbie trzy lata później przez nowojorskie „Daily News”.

Mam nadzieję, że jedno jest już jasne: nie mam co do siebie żadnych złudzeń i nie uważam się za ważną, tajemniczą postać z historii. Wiem, że jestem przypisem do historii – nie, wykreślmy to. Nie jestem nawet przypisem, bo to by sugerowało, że w toku zdarzeń historycznych odegrałam rolę, która w pewnym sensie była istotna i miała jakiś wpływ na rozmowę albo decyzję niosącą skutki dla życia innych ludzi. Tak jednak nie było. Jeśli już, jestem przypisem do przypisu w opowieści o trzydziestym piątym prezydencie Stanów Zjednoczonych – kimś tak odległym od jej głównego wątku, że pilny autor biografii JFK nie był nawet w stanie ustalić mojego nazwiska.

To wszystko zaczęło się jednak zmieniać we wtorek 13 maja, kiedy „Daily News” opublikowały artykuł pod kpiącym tytułem: „Dobra zabawa z Mimi w Białym Domu”, wiążąc to imię ze stażystką, która romansowała z JFK. W artykule nie było żadnych konkretnych informacji na mój temat, ale poczułam, że dziennikarze zbliżają się do prawdy. Wcześniej wpadłabym w panikę albo zmieniałabym się w kłębek nerwów. Ale w tamtej chwili pragnęłam jedynie skontaktować się z córkami – które były już po trzydziestce, miały mężów i dzieci – żeby mogły usłyszeć prawdę ode mnie, zamiast czytać o tym w prasie.

W dniu, w którym ukazał się artykuł o „Mimi”, porozmawiałam z doktorem Tewellem, a on wykonał hojny gest, proponując, że zapłaci za

moją podróż do Lisy mieszkającej w Wirginii i Jenny w San Francisco. Uznałam jednak, że nie mam aż tyle czasu. „Daily News” zdobyły już moje imię – wiedziałam, że wkrótce odnajdą i mnie.

Tego samego dnia zadzwoniłam do córek i niepewnym głosem wypowiedziałam słowa, które starannie ułożyłam sobie w głowie: kiedy w 1962 roku byłam stażystką w Waszyngtonie, miałam romans z prezydentem Kennedym. Związek trwał prawie półtora roku i powiedziałam o nim ich ojcu, choć po 22 listopada 1963 roku nigdy więcej o tym nie rozmawialiśmy.

Zawsze będę pielęgnowała w pamięci wspomnienie reakcji moich córek.

– Mamo, nie mogę uwierzyć, że miałaś dziewiętnaście lat i nie mogłaś się zwierzyć swojej mamie – powiedziała Lisa.

Od razu wyobraziła mnie sobie taką, jaka wtedy byłam: młodą, naiwną, słabą i odizolowaną przez sekret nawet od własnych rodziców.

Jenny natomiast zapytała:

– Jak na ciebie wpłynęło ukrywanie prawdy przez tyle lat?

Od razu skupiła się na brzemieniu, jakie musiałam nieść.

Po wtajemniczeniu córek o nic więcej się nie martwiłam.

Nazajutrz poszłam do pracy. Z początku nic się nie działo. Nie było żadnych niezwykłych telefonów, maili ani wiadomości. Około południa doktor Tewell powiedział mi, że przez kilka dni go nie będzie, i poprosił pastor Janice Smith Ammon, żeby miała na mnie oko i wkroczyła do akcji, jeśli będę potrzebowała pomocy. Później, po południu, odbyłyśmy z Jan cudowną rozmowę o tym, że ta historia może coś we mnie wyzwolić i odmienić moje życie w sposób, jakiego nie jestem w stanie sobie wyobrazić – na lepsze. Poczułam się dobrze. Nie cieszyłam się na myśl o tym, że będą mnie nękać dziennikarze (kto by się cieszył?), ale

wiedziałam, że wyjawienie prawdy jest nie tylko moim jedynym wyjściem, lecz być może także zbawieniem.

Wróciłam do swojego biura na pierwszym piętrze i zastałam Celeste Katz z „Daily News” czekającą pod moimi drzwiami. Od razu zapytała, czy to ja jestem Mimi, o której dzień wcześniej wspomniano w artykule w „News”.

– Tak, to ja – potwierdziłam.

Zaprosiłam ją do kościoła obok mojego biura. Miałam ulubione miejsce w dziewiątej ławce, więc poprowadziłam ją w tamtą stronę. Kiedy usiadłyśmy w tej ogromnej cichej przestrzeni, spokój mnie nie opuścił. Dziennikarka zadała mi kilka podstawowych pytań – o mój wiek, pracę, stan cywilny, rok ukończenia Miss Porter’s. Odpowiedziałam spokojnie i poprosiłam, żeby wyszła. Zapytała, czy gazeta może mi zrobić zdjęcie. Grzecznie odmówiłam.

Resztę tamtego dnia spędziłam na komicznym tangu z mediami. Jan uprzedziła mnie, że przy bocznym wejściu do kościoła przy Pięćdziesiątej Piątej Ulicy kręci się fotograf z „Daily News”, któremu polecono zrobić mi zdjęcie. Dlatego poszukałyśmy klucza i postanowiłyśmy otworzyć masywne główne wejście, by wyjść drzwiami, za którymi nikt się nas nie spodziewał: głównym wejściem przy Piątej Alei. Trzymając się za ręce, zbiegłyśmy po schodach i popędziłyśmy ku Madison Avenue, żeby złapać autobus jadący w stronę mojego domu. Trudno było się nie śmiać z tej niedorzecznej sytuacji.

Jakiś bezczelny reporter z „National Enquirer” wkradł się do budynku przy Dziewięćdziesiątej Ulicy, w którym mieszkałam, dostał się na siódme piętro i bezskutecznie dobijał się do moich drzwi. Wychodził z windy dokładnie w chwili, w której ja i Jan do niej wchodziłyśmy. Drzwi się zamknęły, zanim pojął, kim jesteśmy, a my spokojnie pojechałyśmy na

górze. Zadzwoiłam po dozorcę, który wyprowadził dziennikarza z budynku. W mieszkaniu rozdzwonił się telefon. Pozwoliłam niedoszłym rozmówcom zapełnić moją automatyczną sekretarkę – i odnotowałam w myślach, że wieści szybko się rozchodzą.

Doktor Tewell ostrzegł mnie wcześniej, że jeśli nie zamierzam zwołać konferencji prasowej w swoim budynku – nie, dziękuję – powinnam przygotować oświadczenie, żeby trzymać media na dystans. Napisałam je i wieczorem telefonicznie skonsultowałam jego treść z Tomem i z moimi córkami.

Od czerwca 1962 roku do listopada 1963 byłam zaangażowana w erotyczny związek z prezydentem Kennedym. Nie rozmawiałam na ten temat przez ostatnie czterdzieści jeden lat. Po niedawnych doniesieniach prasy przedyskutowałam ten związek ze swoimi dziećmi i z rodziną, która okazała mi całkowite wsparcie.

Nie mam nic więcej do powiedzenia na ten temat. Prosiłabym, aby media uszanowały moją prywatność i prywatność mojej rodziny.

Uznałam, że oświadczenie jest zwięzłe i pełne godności, że zawiera wystarczająco dużo konkretnych informacji, by zaspokoić głód medialnej bestii. Tom sugerował użycie słowa „romans” zamiast „erotycznego związku”, ale nie chciałam w swoim oświadczeniu żadnych dwuznaczności, które doprowadziłyby jedynie do dalszych pytań. Pomyślałam, że jeśli prasa zacznie mnie oblegać, najzwyczajniej wygłoszę oświadczenie i będzie po sprawie.

Nazajutrz rano, w czwartek 15 maja, zajrzałam do internetowego wydania „Daily News” i na pierwszej stronie znalazłam nagłówek: „Stażystka JFK potwierdza wszystko: sześćdziesięcioletnia pracowniczka nowojorskiego kościoła mówi: »Ta Mimi to ja«”. Delektowałam się tą osobliwą frazą: „ta Mimi” – jakbym była jakąś złowrogą istotą pozaziemską. Zadzwoiłam do dozorcę budynku, który mnie

poinformował, że na ulicy czeka chmara dziennikarzy, a wśród nich ekipa z CNN z kamerą. Przyszła Jan, tak jak wcześniej ustaliłyśmy, żeby odprowadzić mnie do pracy. Kiedy wyszłyśmy z budynku, podałam dziennikarzom oświadczenie i wskoczyłyśmy do czekającej taksówki. Odjeżdżając, zobaczyłam jeszcze Celeste Katz, która zajrzała przez szybę i bezgłośnie poruszając ustami, powiedziała: „Przepraszam”. Ale nie miała za co przepraszać. Nic, co napisała, nie miało się z prawdą, i byłam przekonana, że wyświadczyła mi wielką przysługę.

Znacznie gorsza okazała się uciążliwość mediów w kościele – dzwoniły telefony, dziennikarze naprzykrzali się moim współpracownikom, poszukując ciekawostek na mój temat – więc w południe wszyscy uznaliśmy, że powinnam wrócić do domu, spuścić rolety i poczekać, aż wrzawa w mediach ucichnie.

Tak też zrobiłam. Wróciłam do domu i narzuciłam sobie „areszt domowy”, który miał potrwać tak długo, jak będzie trzeba.

Takie zamknięcie wcale nie było złe. Miałam przytulne i wygodne mieszkanie. Nadrabiałam zaległości w czytaniu i dziergałam. Przyjaciele przynosili mi jedzenie i dotrzymywali towarzystwa. Kilka razy dziennie kontaktowałam się z Lisą i Jenny. Mój waleczny dozorca pilnował drzwi do budynku oraz informował mnie, gdzie dokładnie stoją dziennikarze i fotografowie, którzy czyhali na mnie po drugiej stronie ulicy. Zastanawialiśmy się, dlaczego nie odchodzą. Dozorca, który zdążył nawiązać przyjazne, choć stanowcze relacje z reporterami oblegającymi mój dom, powiedział, że zdaniem dziennikarzy jakimś cudem udało mi się wymknąć tylnymi drzwiami i ktoś z rodziny wywiózł mnie do New Jersey.

Dostawałam dziesiątki maili i listów od rodziny i przyjaciół. Trudno było nie poczuć wsparcia, otrzymując takie wiadomości jak ta: „Płakałam, czytając ten artykuł w »Daily News«. Płakałam, myśląc o twojej

uczciwości, odwadze i chyba przede wszystkim o całej twojej pewności siebie. Jesteś cudowną osobą i masz niesamowitą siłę. Jestem dumna, że mogę być twoją przyjaciółką. Bardzo cię kocham”.

Nadal napływały wiadomości głosowe od dziennikarzy z całego świata i doręczane do rąk własnych listy z prośbami o udzielenie wywiadu dla telewizji.

Nie odpowiadałam na żadne z tych prośb – nawet na te od moich ulubionych dziennikarzy, takich jak Katie Couric i Diane Sawyer. Ufałam swojemu wewnętrznemu głosowi, który mówił: „Siedź cicho. Bądź spokojna. To ty kontrolujesz sytuację”.

Po pięciu dniach dziennikarze zniknęli z ulicy przed moim domem, więc mogłam spokojnie pobiegać w Central Parku i sama zrobić zakupy. Prośby mediów napływały coraz rzadziej, aż w końcu zupełnie ustały. Wkrótce potem wróciłam do pracy i żyłam tak jak zwykle. Przetrwałam.

Areszt domowy miał dobry wpływ na moje emocje, poczucie własnej wartości, stan umysłu i decyzję, żeby nie ukrywać się przed prawdą, lecz jednocześnie zachować prywatność i godność. Delektowałam się, tym, że wyjście mojego sekretu na jaw zupełnie mną nie wstrząsnęło. Moja spokojna reakcja na zdarzenie, którego bałam się przez lata, została okupiona ogromnym trudem. Ale kiedy jesteś obiektem zainteresowania brukowców, życie potrafi się zmienić z dnia na dzień. Moje zmieniło się w sposób, o jakim nawet nie śniłam.

Jeden z listów, które dostałam, został napisany przez Richarda Alforda. Jego nazwisko brzmiało jakby znajomo, ale nie byłam w stanie go skojarzyć i ostatecznie uznałam, że nie znam tego człowieka. Po przeczytaniu artykułu na pierwszej stronie „Daily News” postanowił się ze mną skontaktować. Oto, co napisał:

Droga Mimi,

jesteś inteligentna, więc z pewnością przewidziałaś, że Twoje krótkie i rzeczowe oświadczenie zostanie mocno nagłośnione. Jako przyjaciel mam nadzieję, że trzymasz się swoich słów i po prostu przeczekujesz tę burzę. Nie muszę Ci mówić, że przerożni ludzie będą Ci proponowali wydanie książek, wywiady w telewizji (Larry King, Barbara Walters i tym podobni), udział w filmach i tak dalej, i tak dalej. Mam nadzieję, że nie potrzebujesz pieniędzy, bo będą Ci oferowali mnóstwo pieniędzy. Podejrzewam, że miliony. Jako przyjaciel mam nadzieję, że pozostaniesz przy swoim stanowisku.

Ostatnie siedem i pół roku spędziłem w Indiach i w Tokio, tworząc (w Indiach) i prowadząc biura IMG. Mark McCormack, założyciel IMG, a także mój przyjaciel i szef, zmarł zaledwie kilka godzin temu po czteromiesięcznej śpiączce. Bardzo smutna sprawa... Mieszkam na rogu Dziewięćdziesiątej Pierwszej i Madison i gdy wrzawa ucichnie (zawsze w końcu cichnie), bardzo chciałbym się z Tobą spotkać. Jeśli masz jakieś pytanie i potrzebujesz przyjaznej, niezobowiązującej porady, zadzwoń do mnie do domu. Rzadko bywam w biurze.

Trzymaj się i powodzenia,

Dick

Nie odpisałam. Ale te słowa zrobiły na mnie duże wrażenie z dwóch względów. Po pierwsze, doceniłam mądre ostrzeżenie przed ofertami i wysokimi sumami, którymi zasypano mnie w późniejszych dniach. Ale przede wszystkim wydawało mi się dziwne otrzymywanie tak osobistych porad od obcego mężczyzny, który pozwolił sobie nazwać mnie swoją „przyjaciółką”. Nie znałam go. Jak mógł twierdzić, że on zna mnie? Odłożyłam jego list razem z innymi.

Artykuł w „Daily News” ukazał się tydzień po moich sześćdziesiątych urodzinach. Byłam sama i od trzydziestu lat mieszkalam na Manhattanie. Miałam za sobą ostatecznie bezowocny, pełny rozstań i powrotów związek z mężczyzną. Mówię: „ostatecznie bezowocny”, bo nigdy nie był to mężczyzna, na jakiego miałam nadzieję: ktoś, kto podzielałby moje zainteresowania i przy kim w głębi serca czułabym, że możemy spędzić razem resztę życia. Nasz związek ciągnął się rok po roku głównie siłą

bezwładu, prawie jakbyśmy nie zauważali upływającego czasu. Wypalił się na dobre w 2002 roku. Nie byłam zasmucona ani zniechęcona. Wyrzucałam sobie, że zmarnowałam tyle czasu, ignorując to, jak naprawdę czułam się w tym związku. Nie robiłam się przecież coraz młodsza.

Ale nigdy nie straciłam nadziei. Chciałam tego, co każdy: kochać i być kochaną.

Przyjaciele zaproponowali biuro matrymonialne na Manhattanie, lecz po zapłaceniu z góry dwóch i pół tysiąca dolarów i wypełnieniu formularza zauważyłam ważną wadę w jego modelu pracy: to biuro miało mnie skojarzyć z tak zwanym odpowiednim mężczyzną i to ono oceniało, czy go poznam, czy nie, odbierając mi w ten sposób wszelką kontrolę i – spójrzmy prawdzie w oczy – większość zabawy. Jaki jest pożytek z opisywania, kim jesteś i czego poszukujesz w związku, skoro nie możesz przesłać odpowiedzi i samodzielnie zdecydować o następnym kroku? To najbardziej osobista decyzja. Nikt nie powinien jej podejmować za nas.

Wiedziałam, że największe internetowe serwisy randkowe oferują więcej możliwości, więc postanowiłam umieścić swój profil na Match.com. Zawarłam w nim standardowe dane osobiste, dodając, że mój ulubiony film to *Świadek*. Zakończyłam słowami: „Chciałabym być z mężczyzną, który lubi wspólnie gotować”.

Stworzenie profilu zmusiło mnie do wyartykułowania tego, czego szukałam w mężczyźnie. Wśród pięciu, których poznałam przez internet, nie znalazłam jednak odpowiedniego kandydata. Wszystkie randki były dość przyjemne, ale miały w sobie jakiś dziwny, nieoczekiwany element, który mnie odpychał. Przez czysty przypadek okazało się, że pierwszy mężczyzna pracował kiedyś dla mojego starego przyjaciela, który zwolnił go z pracy. Ten mężczyzna nadal miał do niego żal i wielokrotnie informował mnie o tym podczas kolacji. Powiedziałam, że nie będę

tolerowała żadnych niepoehlebnych słów pod adresem kogoś, kogo podziwiam – bo w przeciwnym razie nasza randka dobiegnie końca. Inny mężczyzna spóźnił się dwie godziny, żeby zabrać mnie z biura na kolację. Pamiętam, że ochoczo wskoczyłam do jego samochodu (chyba dlatego, że umierałam z głodu), dobrze się bawiłam podczas wspólnego posiłku, a potem równie ochoczo wyskoczyłam z samochodu, kiedy podwiózł mnie pod dom i próbował się wprosić do mojego mieszkania (nic takiego nie wchodziło w grę). Z każdą kolejną randką uczyłam się formułować własne oczekiwania i nie decydować się na nikogo, kto nie byłby dla mnie odpowiedni.

Piąta i ostatnia randka okazała się przełomem. Zdążyłam się już nauczyć, że najmądrzej zaczynać od umówienia się na kawę, a nie na lunch czy kolację. Spotkaliśmy się w greckiej restauracyjce. Mężczyzna okazał się szczupły i wysportowany, uwielbiał jeździć na rowerze. Mogłabym przymknąć oko na jego nerwowy śmiech i lepki uścisk dłoni, ale nie na to, że zamówił dla siebie obiad z trzech dań, podczas gdy ja sączyłam kawę. Co gorsza, przez cały czas opowiadał o sobie i zapewne dlatego, gdy wyszliśmy już na ulicę, powiedział, że wspaniale mu się ze mną rozmawiało.

– Powtórzmy to – zaproponował.

– Lepiej nie – powiedziałam, po czym gwałtownie obróciłam się na pięcie i odeszłam.

Kiedy skręciłam w boczną uliczkę i zniknęłam mu z oczu, poczułam się wspaniale i uniosłam zaciśniętą dłoń, jakbym właśnie zdobyła zwycięski punkt w tenisa (gdybym miała na głowie kapelusz, prawdopodobnie rzuciłabym go w powietrze jak na początku sitcomu *The Mary Tyler Moore Show*). Owszem, byłam nieuprzejma, ale ten maleńki akt asertywności był dla mnie ogromnym krokiem naprzód. Natychmiast zadzwoniłam

z komórki do mojej siostry Deb do Oregonu, żeby podzielić się z nią tą chwilą. Deb bardziej niż ktokolwiek inny wiedziała, jak stłamszona i bierna byłam dotąd w kontaktach z mężczyznami.

– Nigdy nie uwierzysz, co właśnie zrobiłam... – powiedziałam do niej, a potem dokładnie opisałam swoją randkę.

– Gratuluję! – Deb nie mogła zareagować inaczej.

W tamtej chwili poczułam, że należy mi się dyplom, bo w końcu zostałam osobą, jaką chciałam być.

Kilka tygodni później do mojego życia wdarła się książka Dalleka i artykuł w „Daily News”, więc usunęłam swój profil z internetu.

Trzy miesiące później, w ciepłe sobotnie sierpniowe popołudnie, czytałam w swoim salonie. Sierpniowe weekendy w Nowym Jorku różnią się od reszty roku. Miasto łśni od gorąca, które topi chodniki. Na ulicach panuje upiorny spokój, bo mnóstwo osób wyjeżdża z miasta na weekend. W takie dni często odwiedzałam zamężne przyjaciółki w Connecticut, ale tym razem postanowiłam zostać w domu. Samotność działała na mnie jak terapia. Przez lata obok mojego ulubionego miękkiego fotela trzymałam staromodny notes do stenografii. Zapisywałam w nim myśli i tworzyłam listy spraw do załatwienia – niekończące się listy. Jesień była tuż-tuż. Co zamierzałam zrobić? Jak miało wyglądać moje dalsze życie? Jakie miałam cele? Tamtego sobotniego popołudnia zadawałam sobie takie właśnie pytania. Sięgnęłam po notes i zaczęłam pisać, gdy nagle do głowy przysła mi myśl, prawie jakbym usłyszała głos. Być może samotne siedzenie w domu przypomniało mi o wymuszonym odosobnieniu, którym delectowałam się po opublikowaniu artykułu w „Daily News”. Być może chciałam przywołać tamte uczucia pewności siebie i świadomość, że tak

dobrze sobie z tym wszystkim poradziłam. Bez względu na przyczynę jakaś siła przyciągnęła mnie do szuflady w szafie, z której wyjęłam teczkę z materiałami na temat majowych wydarzeń. Był w niej list od Dicka Alforda.

Usiadłam za biurkiem i napisałam do tego mężczyzny. Dziesięć dni później odpowiedział, że zadzwoni do mnie w połowie września, po powrocie z dwutygodniowej wycieczki. Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, zastosowałam swój standardowy pierwszorandkowy podstęp, proponując spotkanie przy kawie, ale Dick przekonał mnie, że jest wystarczająco interesujący, by zaryzykować kolację.

Choć twierdził, że mnie zna, nie rozpoznałam go, kiedy spotkaliśmy się w lokalnej restauracji w połowie drogi między naszymi mieszkaniami. Moje pierwsze wrażenie okazało się pozytywne. Był tego samego wzrostu co ja. Miał wyraziste rysy twarzy, szaroniebieskie oczy i krzaczaste profesorskie brwi. Mimo zupełnie siwych włosów w jego sposobie poruszania się zauważyłam pełną wigoru sprężystość kroku wysportowanego człowieka. Poza tym przytrzymał dla mnie drzwi, kiedy wchodziliśmy do restauracji, a to zawsze dobry znak.

Zaczęliśmy od pogawędki, zdumieni tym, że mieszkamy dwie przecznice od siebie i nigdy nie zauważyliśmy się na ulicy, przy bankomacie ani w sklepie spożywczym. Dick wyjaśnił, że przez ostatnie osiem lat mieszkał i pracował w Indiach i Japonii, a do Nowego Jorku wracał tylko na wakacje. Ale teraz wrócił na dobre. Dowiedziałam się, że od prawie trzydziestu lat jest rozwiedziony, że ma dwoje dorosłych dzieci i że łączy nas wielu wspólnych przyjaciół i zainteresowań. Obydwoje biegaliśmy w maratonach, uwielbialiśmy Nowy Jork i wieś oraz traktowaliśmy Central Park jako święte miejskie sanktuarium.

Podobieństwa na tym się jednak nie kończyły. Dowiedziałam się, że podobnie jak Tony, Dick ukończył Williams College i Harvard Business School. Po *college*'u także pracował w Morgan Guaranty. Mimo że Dick nie chodził do tej samej klasy co mój były mąż i nie był jego bliskim przyjacielem, znał Tony'ego i pamiętał, że w połowie lat siedemdziesiątych widywał nas na przyjęciach w Upper East Side. Większość kariery poświęcił marketingowi sportowemu i przez kilka lat pracował nad pozyskiwaniem sponsorów korporacyjnych dla nowojorskiego maratonu i wyścigu zwanego Fifth Avenue Mile. Właśnie w taki sposób poznał mnie na początku lat osiemdziesiątych w biurze New York Road Runners Club, w którym wtedy pracowałam. Było mi miło, że mnie zapamiętał. Sama bezskutecznie próbowałam sobie przypomnieć nasze spotkanie, co jednak wcale go nie zniechęciło.

Potem przypomniałam sobie coś, co zbliżyło mnie do Dicka: pewien mały zbieg okoliczności, do którego doszło w maju. Dick napisał do mnie list w dniu, w którym zmarł jego szef i przyjaciel od czterdziestu lat, Mark McCormack. Nie kojarzyłam twarzy Dicka, ale pamiętałam przynajmniej nazwisko jego szefa. Tydzień po tym, jak dostałam list, pierwszego dnia po powrocie do pracy z „aresztu domowego”, do mojego biura przyszedł doktor Tewell, żeby omówić sprawy związane z nagraniem nabożeństwa pogrzebowego, które miało się odbyć w naszej świątyni jeszcze tego samego ranka. Zapamiętałam to, bo Arnold Palmer i Jean-Claude Killy – wielkie gwiazdy sportu z mojego pokolenia – mieli wygłosić mowy pogrzebowe, a wspaniała sopranistka Renée Fleming zaśpiewać *Ave Maria* Schuberta. Było to nabożeństwo żałobne szefa Dicka. Uświadomiłam sobie, że tamtego dnia, kiedy zajmowałam się nagrywaniem, Dick musiał być w kościele.

To bez wątplenia wąskie pasemko synchronii, ale wystarczyło, bym nabrała przekonania, że nie jest to nasza pierwsza i ostatnia wspólna kolacja.

Na drugiej randce, też przy kolacji, zawiązała się między nami z pozoru niemądra nić porozumienia dotycząca brukselki. Dick oznajmił, że to jego ulubione warzywo. Możliwe, że właśnie w tamtej chwili po raz pierwszy poczułam przypływ miłości do tego mężczyzny. Cóż może być lepszego, pomyślałam, niż człowiek, którego entuzjazm wobec brukselki dorównuje mojemu?

Wkrótce spotykaliśmy się dwa, trzy razy w tygodniu. Spacerowaliśmy po Central Parku i rozmawialiśmy do upadłego. Dzieliliśmy się wspomnieniami z wyścigów, w których mogliśmy razem startować, nie wiedząc o swoim istnieniu. Dick opowiedział mi, jak w latach siedemdziesiątym, jako rozwiedziony samotny ojciec, odbierał dwójkę małych dzieci z Delaware, przywoził je do Nowego Jorku na weekend i spędzał godziny w parku. Pokazał mi skałki na północnym krańcu, gdzie uczył dzieci wspinaczki. Wspominał o tym, jak się nimi zajmował – jedno nosiło jeszcze pieluchy. Był zdany wyłącznie na siebie i obawiał się, że nie da rady, ale w końcu dawał. Zobaczyłam wrażliwego, odpowiedzialnego, kochającego człowieka i bardzo mi się to spodobało. Zachowywał się tak, jakby chciał mi o sobie powiedzieć wszystko, ale jednocześnie starał się zachować umiar.

Pewnego wieczoru Dick przyjechał do mojego mieszkania uzbrojony w garnki, patelnie i wszystkie składniki, nawet przyprawy, aby przygotować dla nas kolację. „Gotujący facet to coś dobrego – pomyślałam – w zasadzie coś wspaniałego”. Gotując, nieśmiało wyznał, że podejmuje ten cały wysiłek, bo ma w tym ukryty interes. Przeszedł na dietę South

Beach, żeby zgubić kilka kilogramów i mi zaimponować, więc zależało mu na tym, żeby nawet u mnie przestrzegać diety.

Przypomniawszy sobie, co napisałam o wspólnym gotowaniu w moim internetowym profilu randkowym, zaczęłam podejrzewać, że odnalazłam w Dicku idealnego kandydata.

Mimo całego wspólnie spędzanego czasu zaloty nie odbywały się w szalonym tempie. Były ostrożne, grzeczne, może nawet leniwe. Spotykaliśmy się dziewięć miesięcy, zanim Dick zaprosił mnie do swojego domu na wsi w Berkshires w stanie Massachusetts, w małym miasteczku zwanym Alford (żadnego związku z nazwiskiem, zwykły zbieg okoliczności). Na początku maja 2004 roku Dick rozpoczął tytaniczne przygotowania do tego weekendu, chcąc mi zapewnić wspaniałe wrażenia w swoim ukochanym zakątku świata. Poza tym miałam sześćdziesiąte pierwsze urodziny. Zaplanował wszystko: zwiedzanie, imprezy, zakupy, posiłki, wino, a nawet filmy, które mieliśmy oglądać wieczorami. Drugiego dnia byłam nie tylko wyczerpana, ale i przygnębiona. Miałam wrażenie, że Dick jest tak pochłonięty robieniem na mnie wrażenia, że w ogóle zapomniał o moich uczuciach. Nie było między nami więzi. Realizowaliśmy program weekendowych rozrywek, ale nie mieliśmy najbardziej podstawowego kontaktu emocjonalnego i fizycznego – a tak naprawdę niczego więcej nie chciałam. Wszystko inne było „fajne”, ale nie „niezbędne”.

Przy śniadaniu podzieliłam się z Dickiem swoimi obawami.

Jego reakcja sprawiła mnie w osłupienie. Nie tylko podniósł głos. Z rumieńcami na twarzy wygłosił pełną złości tyradę, zarzucając mi, że nie doceniam jego wysiłków, i drwiąc z mojego negatywnego nastawienia.

Dobrze znałam taką furję i pretensje ze swojego małżeństwa. Ale tym razem nie zamierzałam na nie pozwalać. Wolałam być sama, niż iść na

kompromis w kwestii moich potrzeb w związku. Popęłniłam pewne błędy, czegoś się dzięki nim nauczyłam i po prostu nie zamierzałam ich powtarzać.

Spakowałam więc walizkę i wróciłam do domu pociągiem. Siedziałam nieruchomo przez całą drogę do Nowego Jorku, na zmianę patrząc przed siebie i wybuchając płaczem. Na szczęście było jeszcze wcześnie i wagon świecił pustkami. Nikt nie musiał znosić mojego szlochania.

Byłam pewna, że między mną i Dickiem wszystko skończone. Ale on zadzwonił tydzień później, co skłoniło mnie do napisania do niego listu, w którym umieściłam wygodne sformułowanie, że „przykro mi, że nasz związek się nie udał”. Potem rozwinęłam tę myśl i wyjaśniłam, czego mi brakowało podczas naszego wspólnego weekendu. Sprawa była prosta: mimo że miło spędzaliśmy czas, Dick trzymał mnie na dystans. Najzwyczajniej chciałam od niego usłyszeć, jak się czuje, będąc razem ze mną. Mógł to wyrazić słowem, dotykiem, spojrzeniem, żartem. Ale tego nie zrobił. I dlatego byłam przygnębiona. Skończyłam z tego typu związkami.

Po przeczytaniu mojego listu zadzwonił jeszcze raz, twierdząc, że chce się dowiedzieć, jak dokładnie wygląda według mnie zdrowy związek. Te ckliwe sprawy były dla niego zupełnie nowe i chciał się poprawić. Uzgodniliśmy, że porozmawiamy o tym przy kawie w Starbucksie na rogu Osiemdziesiątej Siódmej Ulicy i Lexington Avenue. Kiedy tam dotarłam, siedział przy oknie. Bardzo chciałam go zobaczyć, ale jednocześnie byłam ostrożna. Nie uściskałam go i nie pocałowałam na powitanie, tylko od razu usiadłam. Jeszcze raz wyłuszczyłam, czego od niego oczekuję, kiedy jesteśmy razem. Próbowałam w jasny sposób wyrazić swoją potrzebę emocjonalnej i fizycznej czułości oraz prostego, pełnego miłości i spontanicznego zainteresowania, które według mnie definiuje mocne, intymne partnerstwo. Mogłam mu to wszystko dać, ale oczekiwałam tego

samego w zamian. Przede wszystkim wymagałam całkowitej uczciwości. To wcale nie oznaczało, że miał się ze mną dzielić wszystkimi szczegółami. Po prostu w naszej wspólnej przestrzeni nie dopuszczałam żadnych sekretów. Wszelkie inne rozwiązania byłyby nieuczciwe. Przez całe życie niesłusznie skrywałam sekret, pozwalając, aby zamknął po kolei wszystkie drzwi do mojego serca. Nie zamierzałam powtórzyć tego błędu.

Widząc jego udręczoną minę, czułam, że Dick zмага się z moimi wyjaśnieniami. Przyznał, że nikt nigdy nie mówił do niego w ten sposób. Podniosło mnie to na duchu. Zmagania oznaczały, że mnie słucha.

Pożegnaliśmy się, nie obiecując sobie następnego spotkania. Ja poszłam na północ do swojego domu, powtarzając w głowie własne słowa i czując zadowolenie, że przejęłam kontrolę nad sytuacją i wyraziłam odczucia na temat swojej wizji związku z mężczyzną.

Dick poszedł na przystanek metra przy Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy, kierując się na południe, na przyjęcie z okazji przesilenia letniego organizowane na drugim końcu Manhattanu. Potem zrobił coś absolutnie niezwykłego. Na następnej stacji wysiadł z pociągu i wbiegł po schodach na ulicę. Próbował zapamiętać wszystko, co powiedziałam, i zapragnął to zapisać. Ale nie miał długopisu. Kupił go na ulicy i zanotował to, co zapamiętał, na świstkach papieru znalezionych w kieszeni.

Chyba to czułam, idąc do swojego mieszkania. W końcu poznałam mężczyznę, który nie bagatelizował moich potrzeb, który traktował je z powagą, dopuszczając możliwość zmiany samego siebie.

Wkrótce potem znowu zaczęliśmy się spotykać. Jeśli nastąpił jakiś „elektryzujący” moment, w którym obydwójce poczuliśmy, że znaleźliśmy „tego jedyne” człowieka, to pewnie wtedy, kiedy siedzieliśmy na ławce w parku na rogu Dziewięćdziesiątej Ulicy i Piątej Alei, pod pomnikiem Freda Lebowy, mojego zmarłego szefa i założyciela New York Road

Runners Club. Obydwoje znaleźliśmy Freda. Pomnik przedstawia go patrzącego na zegarek i mierzącego czas biegaczowi, ale kiedy siedziałam obok niego z Dickiem, obydwójmy myśleliśmy o czymś innym – że tak naprawdę Fred spogląda na zegarek i mówi do nas: „Już najwyższa pora”.

2 października 2005 roku wzięliśmy ślub w Alford w stanie Massachusetts. Ja miałam sześćdziesiąt trzy lata, a Dick sześćdziesiąt siedem. Wyprowadziliśmy się z Nowego Jorku i postanowiliśmy spędzić emeryturę w małym domku na wsi. Dzielimy życie pełne długich spacerów, wycieczek rowerowych, gotowania, ogrodnictwa, kultury i podróży, mnóstwa rodziny i przyjaciół oraz miłości, która nieustannie rośnie.

Nasze małżeństwo jest czymś, co lubię nazywać „przyziemną przygodą”. Znajdujemy sposób, by dodawać blasku nawet zwyczajnym, codziennym rytuałom.

Proste życie z emerytury także ma swoje piękne chwile. Pielęgnowujemy cotygodniowy zwyczaj, który nazywamy „piątkami”: wspólnie podliczamy każdego centa wydanego od początku tygodnia – od dwudziestu sześciu dolarów za benzynę, przez dziesięć i pół dolara za seans popołudniowy w Triplexie, po trzysta siedem dolarów i dwadzieścia pięć centów na ubezpieczenie. Sumujemy to wszystko, dzielimy na pół i zwracamy nadwyżkę temu, kto wydał więcej, żeby wyjść na równo. Czasami ktoś wskazuje jakiś artykuł, który był potrzebny tylko jednemu z nas – i odejmuje jego koszt od łącznej sumy. Ten drobny mały gest przypomina mi, że nawet podczas sesji poświęconych domowemu budżetowi znajdujemy okazję do wzajemnego obdarowywania się.

Nie muszę już tłumaczyć Dickowi, jak powinien postępować, będąc ze mną w związku. Dość często sam oferuje mi urocze, pouczające chwile.

Pewnego ranka przygotowywał dla nas śniadanie, kładąc plasterki bekonu na nowiutką patelnię. Zwróciłam mu uwagę, że za bardzo ją rozgrzał.

Spokojnie się odwrócił i powiedział:

– Mimi, czasami muszę popełniać własne błędy.

Oczywiście miał rację.

Innym razem, też przy śniadaniu, w drugim roku naszego małżeństwa, Dick spojrzął mi w oczy i śmiertelnie poważnym, oschłym tonem powiedział:

– Mimi, kiedy się z tobą żeniłem, myślałem, że zdobyłem kobietę idealną. Ale teraz, kiedy przeżyliśmy ze sobą kilka lat, uświadamiam sobie, że masz wiele problemów i wad.

Musiałam mu jakoś odpłacić. Wzięłam go za rękę i powiedziałam:

– Wiem, co masz na myśli. Kiedy się poznaliśmy, zauważyłam w tobie pewne wady. Nie wiedziałam, czy nam wyjdzie. Ale teraz, po kilku wspólnych latach, muszę przyznać, że jesteś ideałem!

Roześmialiśmy się. Żadne z nas nie jest doskonałe, ale tworzymy doskonałą parę.

Wiem, że rozpływam się nad moim mężem i małżeństwem, ale robię to po to, żeby udzielić lekcji pogładowej na temat tego, jak odnaleźć szczęście, kiedy najmniej się go spodziewany – jeśli wiemy, jak go szukać i jak o nie walczyć. Mówię to dlatego, że chyba jak mało kto zasługuję na uznanie za swój obecny zdrowy stan umysłu. Nie tylko spotkałam mężczyznę, który mnie pokochał. Spotkałam mężczyznę, który umożliwił mi poznanie samej siebie.

Na początku 2011 roku wynajęliśmy z Dickiem dom w West Palm Beach na Florydzie, żeby uciec przed srogą zimą w Alford. Kiedy

gościliśmy naszego przyjaciela Marka, Dick zauważył, że dwadzieścia minut drogi z West Palm Beach, w Boca Raton, odbywa się turniej golfa dla zawodowców – i ku jego uciesze wstęp był darmowy. Jak moglibyśmy przepuścić taką okazję?

Wskoczyliśmy do samochodu i wyruszyliśmy na turniej. Dick kierował. Gdy byliśmy już blisko, okazało się, że nie ma gdzie zaparkować. Dick mijał jeden parking za drugim, a potem kolejne, jakby nie zdawał sobie sprawy, że coraz bardziej oddalamy się od wejścia na pole golfowe. Mark zwrócił się do mnie i zapytał:

– Nie doprowadza cię to do szału?

– Ależ skąd! – odpowiedziałam. – Nie pozwalam, żeby takie drobnostki psuły mi dzień. Bycie szczęśliwym jest ważniejsze niż udowadnianie, że wie się lepiej, gdzie zaparkować.

– Bardzo oświecone podejście – powiedział.

Uświadomiłam sobie, że ma rację – i zobaczyłam, jak daleko zaszłam. To, co teraz wydawało się takie łatwe do osiągnięcia – cieszenie się chwilą u boku wspaniałego mężczyzny – musiało wyglądać jak efekt osobistego oświecenia.

Przestałam być bierną, cichą żoną i matką. Mam głos. A sztuka bycia szczęśliwą po części polega na tym, by używać tego głosu i stawać w swojej obronie w chwilach, w których twój emocjonalny dobrostan zostaje zagrożony, natomiast w błahych sprawach milczeć. Jakie znaczenie w szerszej perspektywie miało to, że Dick chciał się pokręcić po okolicy, próbując zaparkować wiele kilometrów od pola golfowego? Znajdzie się jakiś bus, który podwiezie nas pod bramę. I przez cały czas będziemy razem.

Wiem, że jestem szczęśliwa. Ale jeszcze bardziej zadziwiające jest to, że te pozytywne emocje, które czuję w sercu, uwidaczniają się na zewnątrz.

Moja siostra Deb widzi je najwyraźniej – i sprawiają jej ogromną radość. Pewnego razu ja i Dick jeździliśmy po wyspie Bainbridge obok Seattle razem z Deb i jej mężem Perrym. Samochód wypełniały dobre wibracje i głupkowate śmiechy. Bawiliśmy się wspaniale i w pewnej chwili Deb zawołała:

– Och, Dick, to cudownie, że jesteś z Mimi. Przebywanie z wami to świetna zabawa. Należy ci się moneta.

Nie miałam pojęcia, o czym ona mówi.

– Jaka moneta? – zapytałam.

Deb wyjaśniła, że kiedy pod koniec lat dziewięćdziesiątych jechała samochodem przez północną Kalifornię, zadzwoniłam do niej z Nowego Jorku, bo bardzo potrzebowałam siostrzanego wsparcia. Często prowadziłyśmy takie rozmowy między wybrzeżami i zawsze mnie one rozweselały. W tamtym dniu byłam bardziej płaczliwa i smutniejsza niż zwykle. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek będę naprawdę szczęśliwa. Deb zjechała z drogi na pustynny parking, żeby móc ze mną swobodnie porozmawiać. Kiedy się rozłączyłyśmy, wysiadła z samochodu, żeby rozprostować nogi, i na ziemi zauważyła połyskującą w słońcu półdolarówkę z Kennedym. Podniosła ją i pomyślała: „Zatrzymam tę monetę i podaruję ją mężczyźnie, który uszczęśliwi moją siostrę”.

– Żartujesz – powiedziałam. – Nigdy mi o tym nie wspominałaś.

Dwa dni po naszym powrocie z Seattle do Dicka przysłała paczuszkę. Było w niej małe pudełeczko w kształcie serca, a w nim półdolarówka z Kennedym. Deb dołączyła liścik: „Drogi Dicku, przesyłam ją zgodnie z obietnicą. Dziękuję, że tak bardzo uszczęśliwiasz Mimi”.

Dziś rzadko myślę o JFK. Ale teraz dzieje się tak w wyniku mojej osobistej decyzji, a nie czyjś zakazu. Nadal jednak chce mi się płakać, kiedy widzę jego zdjęcie, a gdy o nim mówię, głos czasami więźnie mi w gardle. Moje wspomnienia dotyczące czasu spędzonego z prezydentem mieszają się z obrazami z jego potwornej śmierci oraz z emocjonalną traumą, przez którą przechodziłam w dniu zamachu. Wtedy nagle znowu staję się tamtą dziewiętnastolatką. Prawdopodobnie nigdy się to nie zmieni.

Chcę porozmawiać z tą młodą kobietą, ale nie jestem pewna, czy mam jej do powiedzenia coś istotnego ani czy w ogóle by mnie wysłuchała. Nie jestem pewna, czy umiałabym jej odpowiednio doradzić, co powinna zrobić z sekretem dotyczącym JFK ani jak objąć kontrolę nad własną historią. Nie jestem pewna, czy zwierzenie się rodzinie i przyjaciołom zmieniłoby jej życie, ocaliło małżeństwo, uwolniło ją z emocjonalnej skorupy albo zapewniło jej dziesięciolecia niezmaconego zadowolenia. Mogłoby zmienić kurs jej życia. Albo i nie.

Zawsze się zastanawiałam, czy lata dezorientacji i wątpliwości miały jakiś sens. Na to pytanie mogę udzielić tylko jednej odpowiedzi: zdecydowanie tak. Dlatego że dzięki temu wszystkiemu stałam się osobą, którą jestem dzisiaj. Jestem dowodem na to, że jeśli mamy fart, wychodzimy ze swoich błędów jako mądrzejsi, silniejsi i lepsi ludzie – a jeśli ten fart jest bardzo duży, stajemy się również szczęśliwsi.

Wracam myślami do tej przełomowej chwili przy kawie, kiedy wyjaśniłam Dickowi, czego poszukuję w związku. Najlepiej pamiętam to, z jaką uwagą mnie wtedy słuchał. Kiedy ktoś cię słucha, daje ci wspaniały dar – nawet jeśli sam sobie tego nie uświadamia: robi miejsce dla twojego głosu. Właśnie to dostałam razem z zadowoleniem z małżeństwa: głos. Dzięki niemu jestem w stanie napisać te słowa i tę książkę.

W styczniu 2009 roku pojechaliśmy z Dickiem do Waszyngtonu, żeby odwiedzić grób JFK na Cmentarzu Narodowym w Arlington. Nigdy wcześniej nie widziałam tego miejsca i byłam ciekawa, jakie emocje i wspomnienia może we mnie wzbudzić ta wizyta. Poza tym byłam też zaintrygowana i czułam strach.

Kiedy brnęliśmy przez śnieg ku skromnemu nagrobkowi u stóp wzgórza, na którym stoi wspaniały klasycystyczny Arlington House, termometr wskazywał minus trzynaście stopni, a do tego wiał wiatr. Przed nami rozciągał się Waszyngton. Płaski kamień nagrobny JFK spoczywa obok mogiły Jacqueline Bouvier Kennedy Onassis. Nawet gdyby nie było tak potwornie zimno, nie stałabym tam długo. Patrząc na te groby, czułam się jak intruz. Spuścizna Kennedy'ego długo wisiała nad moim życiem, milcząca i zgubna, ale tak naprawdę nigdy nie byłam częścią jego historii. Jak wspomniałam, byłam jedynie przypisem do przypisu. I kiedy tam stałam, przytulając się do męża, żeby było mi cieplej, i trzymając go pod rękę, czułam się z tym zupełnie dobrze.

Zanim stamtąd odeszliśmy, bezgłośnie poruszając ustami powiedziałam: „Dziękuję”, chcąc wyrazić wdzięczność i zdumienie tym, że mój sekret, źródło ogromnego bólu, okazał się zbawczą siłą w moim życiu. Gdyby nie on i jego ujawnienie nigdy nie poznałabym Dicka i nie odnalazłabym życia, jakie teraz wiodę. Wszystkie moje wspomnienia o JFK tkwią w przeszłości, do której należą i w której pozostaną. Jedyne, co się dla mnie liczyło, to to, że w końcu odnalazłam spokój.

Z radością wypuszczam ten sekret z ukrycia i dzielę się nim.

Podziękowania

Z głębi serca dziękuję następującym osobom:

Mojemu agentowi i przyjacielowi Markowi Reiterowi za pomoc w przekształceniu mojej historii w książkę.

Grupie wspierających mnie przyjaciółek: Marnie Pillsbury, Wendy Foulke, Kirk Huffard, K.C. Hyland i Joan Ellis, za to, że podzieliły się ze mną swoimi wspomnieniami; Mary Hilliard za jej fantastyczne zdjęcie.

Mojemu rodzeństwu: Deb Beardsley, Buffy Havard, Joshowi Beardsleyowi i Jimowi Beardsleyowi, za ich bezwarunkowe wsparcie.

Moim córkom: Lisie Alpaugh i Jenny Axelman, za to, że przy mnie stały i zaakceptowały to, że musiałam opowiedzieć tę historię.

Colette Linnihan za wskazówki i wprawę, z jaką pomogła mi zrozumieć samą siebie.

Jude Elliot Mead i Rebecce Busselle za zachętę na wczesnym etapie; oraz Lindzie Bird Francke za czas i zaangażowanie.

Członkom mojego zespołu w Random House: Susan Mercandetti za danie tej książki domu; Susan Kamil i Andy'emu Wardowi za najintensywniejszą i najwnikliwszą analizę, jakiej można poddać słowa autora; oraz Benowi Steinbergowi i Kaeli Myers za przychylność i uwagę, które nigdy mnie nie zawiodły.

Mojemu ukochanemu mężowi Dickowi Alfordowi za niekończące się czytanie tego, co napisałam, za rozśmieszanie mnie, ocieranie moich łez i przyjmowanie mnie z otwartymi ramionami bez względu na wszystko. Jestem bardzo szczęśliwa, że dzielę z Tobą resztę mojego życia.

* *Fiddle fiddle* (ang.) – tere-fere (przyp. tłum.).

** J. Austen, *Perswazje*, tłum. A. Przedpeńska-Trzeciakowska, Warszawa wa 1996, s. 1 (przyp. tłum.).

*** Popełniłam błąd, przychodząc do Miss Porter's w dwukolorowych skórzanych półbutach – co przysporzyło mi niedorzecznych katuszy psychicznych. Moja mama, jak zawsze spostrzegawcza, musiała to zauważyć, bo potem zafundowała mi jedną z najbardziej pamiętnych chwil radości w życiu nastolatki, obdarowując mnie na Boże Narodzenie parą amercrombiech w przedostatniej klasie. Dla wielu kobiet buty – tak samo jak dzisiaj – były wówczas przyprawiającymi o obsesję symbolami szczęścia. Pod tym względem nie różniłam się od innych.

**** W październiku 1964 roku, kiedy kandydował w wyborach do Senatu w Kalifornii, „Time” umieścił jego zdjęcie na okładce.

***** Ted Sorensen, utalentowany autor przemówień JFK, tak opisał prezydenta Kennedy'ego w swoim opublikowanym w 2009 roku pamiętniku *Counselor* (Doradca): „Jego jedyłą wyraźną słabością w roli szefa była niechęć – wręcz niezdolność – do zwalniania pracowników. Zamiast tego ich awansował (...). Odkryłem tę słabość Kennedy'ego jeszcze w Senacie, kiedy JFK powiedział mi, że Evelyn Lincoln – najbardziej lojalna, oddana, pracowita i godna zaufania członkini jego zespołu – nie ma zasobów intelektualnych potrzebnych do obsługi coraz ważniejszych rozmów telefonicznych i korespondencji. Dodał, że próbował ją zwolnić, ale i tak codziennie zasiadała za biurkiem (...). Ostatecznie JFK ją zatrzymał, zabrał do Białego Domu i nadal cenił jej lojalność”.

***** Sprzedano ponad 7,5 miliona egzemplarzy tego albumu i nadal jest on jednym z najlepiej sprzedających się albumów satyrycznych wszech czasów. W tamtym sezonie ciągle było go słycać w radiu, w akademikach i we wszystkich salonach.

***** W 1962 roku zdobyło ono Nagrodę Pulitzera w dziedzinie dramatu.

***** *Ich bin ein Berliner* (niem.) – jestem berlińczykiem (przyp. tłum.).

***** W 1964 roku Smith zdobył Nagrodę Pulitzera za reportaż o zabójstwie Kennedy'ego.

***** Pod koniec 1964 roku nie było to łatwe. Tydzień do śmierci JFK prezydent Johnson powołał Komisję Warrena do zbadania okoliczności zamachu. We wrześniu 1964 roku komisja opublikowała raport liczący 888 stron, który natychmiast wzbudził kontrowersje (obecne do dzisiejszego dnia); nazwisko JFK i jego twarz znowu stały się wszechobecne.

Tytuł oryginału
*Once Upon a Secret. My affair with president John F. Kennedy and its
aftermath*

Copyright © 2012 by Mimi Alford

Copyright © for the translation by Anna Gralak 2012

Projekt okładki
Magda Kuc

Fotografia na okładce
archiwum autorki

Opieka redakcyjna
Julita Cisowska
Alicja Gaładziej

Adiustacja
Julita Cisowska

Korekta
Barbara Gąsiorowska

ISBN 978-83-240-2280-9

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki

37

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracowany na podstawie *Stażystka. Mój romans z prezydentem
Kennedym i jego skutki*, wydanie I, Kraków 2012

Plik opracował i przygotował Woblink

The logo for Woblink features the word "woblink" in a bold, lowercase, sans-serif font. Above the letters 'o', 'b', 'l', and 'i' are four small, colored circles: light blue, purple, pink, and orange respectively.

www.woblink.com